



MAŁGORZATA

STAROSTA



GDZIE SĄ
MOJE ZWŁOKI?

MAŁGORZATA

STAROSTA

**GDZIE SĄ
MOJE ZWŁOKI?**



Copyright © Małgorzata Starosta, 2023

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Spis treści

Strona tytułowa

Notka redakcyjna

1 Zwłoki nigdy nie są zbędne

2 Na mojej zmianie nikt nie będzie znikać zwłok

3 Nic tak nie podnosi jakości życia jak zdrowe poczucie humoru

4 To nie jest kurza łapka

5 Zbiegi okoliczności

6 Ja od tego umyłam ręce

7 Nie oszaleliśmy

8 To nie muzeum

9 Najlepsze plany są spontaniczne

10 Żaden organek mi nie przeszkodzi

11 Przez płot, a później pójdzie łatwo

12 W moim domu ktoś jest

13 Martwe zwłoki

14 Nadawca nadaje językiem, który zna odbiorca

15 Niech policja sama się zmóżdża

16 Coraz mniej czasu

17 Wyprzemy się każdego słowa

18 Ta historia kupy się nie trzyma

19 Co ty knujesz, Lindo?

20 Czuję, że coś tu się dzieje

21 Ja do władzy mam sentyment

22 Jestem całkiem miłym gościem

23

24 ZSM na mi kluczem

25 Ci dwoje nie chcą mówić

26 Wziął i padł

27

28 Zbyt wiele przypadków

29 Nie podobają mi się cynaderki

30 Skoro kotek przelazł, to my też przejdziemy

31

32 Zwłoki!

33 Jakim cudem to było możliwe?

34 Widok dla ludzi o mocnych nerwach

35 Gdzie diabeł nie może, tam patinkę pośle

36 Czuję, że coś się stało

37 Ona spacyfikowałaby stado upiórów

38

39 Gorzej chyba być nie może?

40 Problemy ze świadkami

41 Wcale ze mną nie rozmawiałaś

42 Kto nie ryzykuje, ten nie ma czym się chwalić

43 Od tego wieczoru wszystko zależy.

44 Nie ma jej już od pięciu dni

45 Gdzie oni tu robią siku?

46 Aspiryna, zostaw pana!

47 Niektóre legendy składają się z prawdy.

48 Wy są swoi

49

50 Nazwiska mają znaczenie

51 To nie ona

52 Przedstawienie czas zacząć

53 Wiem, skąd mam tę łyżeczkę!

54 Der erste schritt ist der schwerste*

55 Przecież pan jest Niemcem!

56

57 Normalnie eukalipsa!

58 Wchodzę w to

Epilog

Od Autorki

Karta redakcyjna

ZWŁOKI NIGDY NIE SĄ ZBĘDNE



Nic nie zapowiadało, że ten dzień zamieni się w najdziwniejszą środę w historii dziejów. A na pewno najdziwniejszą w całym pięćdziesięcioletnim życiu Jeremiego Organka.

Wstał, jak zwykle, kilka minut po piątej, poczłapał do łazienki, ziewając tak szeroko, że jego pociągła, pokryta gęstym zarostem twarz przypominała rozwartą paszczę brodatego węża, wyszorował zęby, wypłukał gardło, gulgocząc jak rasowy indor, wziął szybki prysznic i odsiedział swoje na tronie. Ot, dzień jak co dzień.

Poranny rytuał zwińczyło zmielenie kawy w ręcznym młynku, przesypanie jej do półlitrowego kubka, zalanie wrzątkiem i odczekanie dokładnie sześciu minut, a potem zamerdanie porcelanową łyżeczką w łowickie wzory. Za każdym razem zastanawiał się, skąd wzięła się u niego owa łyżeczka, bo sam z pewnością nigdy by jej nie kupił. I, jak zwykle, nie doszedł do żadnych wniosków.

Zasiadł na barowym stołku – podprowadzonym ongiś z klubu, w którym koncertował – i popijając kawę, oglądał pasmo informacyjne w telewizji. Polityka go nie interesowała, walka z pandemią jeszcze mniej, za to o morderstwach słuchał z wytężoną uwagą.

– Prokuratura zajęła się sprawą bez zbędnej zwłoki – przedrzeźnił reporterkę. – Zwłoki nigdy nie są zbędne, szanowna pani – pouczył ją, kręcąc głową z niesmakiem.

Dopił kawę, ubrał się w przygotowane wieczorem czarne gumowane dżinsy i koszulkę z nieco już spranym Eddiem, maskotką Iron Maiden, narzucił na wierzch sfatygowaną skórzaną ramoneskę i wyruszył do pracy.

Po drodze wstąpił do cukierni, z której odebrał zamówiony wcześniej tort, upewniwszy się, że to ten właściwy.

– Świetnie to paniom wyszło – pochwalił wyraźnie zdeglustowane ekspedientki. – Trzeba go będzie obfotografować na pamiątkę, zanim trafi pod nóż.

Kobiety wymieniły między sobą spojrzenia, a na ich twarzach odmalowała się troska o zdrowie psychiczne ekscentrycznego klienta. Już sam fakt, że zamówił tort w kształcie ludzkiego mózgu, demonstrując pierwowzór w postaci szczegółowych fotografii, odrobinę je przeraził. Na domiar złego zażyczył sobie, żeby fruzelina była koniecznie wiśniowa i wypływała po rozkrojeniu ciasta. Świr jak nic!

Zadowolony i całkowicie nieświadom wrażenia, jakie zostawił po sobie w cukierni, Jeremi powędrował do pracy, z radością myśląc o czekającym na niego zadaniu.

Pierwsza niespodzianka spotkała go już po przekroczeniu progu sali sekcyjnej, kiedy na pozostawionym w idealnym porządku stole prosektoryjnym zobaczył... Nie było właściwie istotne, kogo lub co zobaczył, wszak niczego ani też nikogo nie powinno na stole być. Tymczasem pod białą tkaniną wybrzuszały się ewidentnie ludzkie kształty.

– A to ci ciekawostka – powiedział do siebie, gładząc elegancko przyciętą brodę. – Komuś tu się chyba wyjątkowo śpieszy do wywnętrzeń. Wybacz, drogi przyjacielu, ale jeszcze chwilę musisz poczekać.

Jeremi Organek poza wieloma innymi zaletami posiadał także tę, której brakuje większości ludzi. Był mianowicie człowiekiem niespotykanej cierpliwością. Cierpliwość owa idealnie uzupełniała się z metodycznością, z jaką mężczyzna realizował stojące przed nim zadania. Uwielbiał rutynę, planowanie stanowiło jego hobby, a najmniejsze zakłócenie w szczegółowo obmyślonej agendzie wywoływało w jego wnętrzu płasawicę. Znajdujące się w niewłaściwym miejscu zwłoki nie stanowiły jeszcze wielkiego problemu, ale zaburzenie rytuału było absolutnie niedopuszczalne.

– Tylko się przywitam – usprawiedliwił przed sobą złamanie świętego zakazu zbliżania się do ciała w cywilnym ubraniu. – O! Pani raczej nie jest Marcinem Zygmuntem.

Leżąca na stole kobieta ponad wszelką wątpliwość nie była Marcinem Zygmuntem ani żadnym innym Marcinem bądź Zygmuntem, gwoździ ścisłości. Coraz bardziej zaintrygowany, Jeremi ostrożnie, z zachowaniem godności należytą zmarłej, odkrywał kolejne partie ciała, a doszedłszy do stóp, zdziwił się jeszcze bardziej.

– A gdzie się podziała pani karta serwisowa? – Zamrugał kilka razy, jak gdyby to miało pomóc w dostrzeżeniu nieistniejącego identyfikatora.

Nie, nie pomogło.

Przykrył ciało i cofnął się do drzwi. Uchylił je, wyrzał na pusty korytarz, zerknął na tabliczkę, na której widniało jego nazwisko, jeszcze raz rozejrzał się po korytarzu, po czym ostrożnie zamknął ciężkie odrzwia i wrócił do stołu.

– Droga pani – powiedział z powagą do białego prześcieradła. – Wygląda na to, że to nie dowcip moich kolegów, a ja nie pomyliłem szpitali. Pani pozwoli, że przebiorę się na naszą randkę i zaraz wracam. Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzało, że wspólnie posłuchamy muzyki?

Wyglądało na to, że kobieta także była melomanką, nie zgłosiła bowiem sprzeciwu, nie skrzywiła się, nie potrząsnęła głową, a zatem nic nie stało na przeszkodzie, by Jeremi mógł przywrócić temu porankowi jego należne status quo.

Z wrażenia, jakie zrobiło na nim zaskakujące odkrycie, zupełnie zapomniał o pudełku z tortem, które postawił pod stołem, co samo w sobie świadczyło o stanie ducha pięćdziesięciolatka.

Po kilku minutach z niewidocznych na pierwszy rzut oka głośników popłynęły dźwięki *Fear of the Dark*, utworu oznaczającego rozpoczęcie procedury nazywanej – w zależności od płci poddawanych obdukcji zwłok – randką lub spotkaniem biznesowym. Kiedy wybrzmiały słowa „*When the light begins to change*”, zapaliła się lampa nad stołem, a zaraz potem pojawił się on: cały na biało, promieniejący wewnętrznym blaskiem sobowtór George’a Clooneya, którego uroda nie onieśmiała jedynie goszczących w jego progach kobiet, niezdolnych już do odczuwania emocji. On za to każdą z nich traktował z nabożnym szacunkiem, delikatnością i czułością, na którą zasługiwały zarówno przed, jak i po śmierci.

– I jak ja mam się do pani zwracać, moja piękna? – zapytał cicho, odkrywając twarz kobiety. – Nie dali pani imienia, nie dali życia, zupełnie jakby nigdy go pani nie miała. – Powoli i delikatnie zdjął tkaninę z ciała. Złożył ją w równą kosteczkę, odłożył na dolną półkę stolika, na którym leżały przygotowane narzędzia, i zabrał się do pracy. Z głośników popłynęły pierwsze takty *Wasting Love*. Jeremi zamknął oczy i zaczął się rytmicznie kołysać, po czym zanucił razem z wokalistą: „*Maybe one day I’ll be an honest man*”, i rozpoczął procedurę.

W trakcie oględzin zewnętrznych nie zauważył niczego, co mogłoby wskazać przyczynę śmierci. Żadnych zadrapań, zasinień, jedynie kilka blizn po

dawnych urazach. Bładość skóry świadczyła o niedawnym zgonie, choć równie dobrze mogła wynikać z wyjątkowo jasnej karnacji kobiety. Splątane włosy w kolorze lnu i takie same brwi i rzęsy upodabniały ją do wyobrażeń słowiańskich rusalek.

– Czas na zwierzenia, moja śliczna – szepnął Jeremi, pochylając się nad ustami, które wyglądały na nieomknięte. – Chcesz mi coś powiedzieć? Mów, kwiatuszku, mów, nikt inny już cię nie wysłucha.

Rozchylił sine wargi skrywające równe, białe zęby. Zajrzał do gardła, świecąc doń latarką, i nagle zamarł. Chwyił szczypce, lewą ręką odciągnął żuchwę na maksymalną szerokość, a prawą włożył instrument głęboko do krtani. Pogmerał trochę, po czym z mieszaniną ekscytacji i zdumienia ostrożnie wyciągnął szczypce, którymi uchwycił metalowy przedmiot znajdujący się w przełyku kobiety.

– A po coś ty to, aniołku, połykała? – Uniósł rękę pod lampę i obejrzał znalezisko z każdej strony. – Ja z trudem radzę sobie z paracetamolem, a ty poradziłaś sobie z kluczem?

Rozejrzał się w poszukiwaniu tacki, ale jej nie znalazł. Zapomniał ją przygotować, wytrącony z równowagi przez zaskakujące wydarzenia poranka. Zaklął nieładnie, za co od razu przeprosił, składając pełen szacunku ukłon w stronę zwłok.

Wciąż trzymając klucz jak trofeum, podszedł do szafki, w której znajdowały się zdezynfekowane naczynia, i sięgnął po metalową nerkę, kiedy nagle drzwi się otworzyły, ktoś krzyknął, a Jeremi podskoczył i rozluźnił uchwyt szczypiec. Uderzając o podłogę, klucz brzdęknął głośno, po czym wpadł pod szafkę.

– O Jezu, przepraszam – pisnął kobiecie głos.

Medyk odwrócił się i rzucił do stołu sekcyjnego. Chwyił złożoną tkaninę, narzucił ją na obnażone ciało nieboszczki i dopiero wtedy odezwał się do równie jak zwłoki bladej intruzki:

– Zgubiła się pani?

– Tak... Przepraszam! Nie spodziewałam się zobaczyć... No, wie pan, trupa. – Rudowłosa dziewczyna wpatrywała się w Jeremiego przerażonym wzrokiem.

– Proszę mi wierzyć, że gorzej by było, gdyby zobaczyła tu pani kogoś żywego – odparł miękko. – W czym mogę pani pomóc?

– Szukam kierownika zakładu.

– Korytarzem do końca, potem w lewo i ostatnie drzwi z tabliczką „Kierownik”.

Dziewczyna kiwnęła głową, po czym bez słowa zamknęła drzwi.

Jeremi odwrócił się do stołu, odkrył twarz kobiety i wyszeptał przepraszającym tonem:

– Bardzo cię przepraszam, zapomniałem zamknąć drzwi. Gdzie ja mam dzisiaj głowę?

Wspomniana głowa zaczęła go nagle bardzo boleć. Zaburzenie porządku dnia i utrzymujący się wysoki poziom kortyzolu zwiastowały nadchodzącą migrenę. Ból głowy był jedyną rzeczą, której Jeremi Organek bał się panicznie, a miał ku temu poważne powody. Zaniechał więc natychmiastowego powrotu do przerwanej pracy, zdjął rękawiczki, umył ręce i opuścił prosektorium, ukłoniwszy się uprzednio pięknej nieznajomej. Musiał się pośpieszyć i zażyć tabletkę, zanim pełzający po skroniach ból rozbestwi się na dobre.

W kantine kupił wodę, pogawędził chwilę z panią Heleną, która jak zwykle nie mogła oderwać wzroku od przystojnej twarzy patologa, popił lekarstwo i przegryzł podsunętym mu rogalikiem z konfiturą z róży, która przypomniła mu o torcie. Na myśl o spoczywającym pod stołem sekcyjnym pudle zerwał się nagle i pognał z powrotem do prosektorium.

I wtedy dopiero zaczęła się heca.

NA MOJEJ ZMIANIE NIKT NIE BĘDZIE ZNIKAĆ ZWŁOK



– Przepraszam uprzejmie, gdzie są moje zwłoki? – zapytała głowa George’a Clooneya, wetknąwszy się między drzwi.

– Pardon? – Siwowłosa i siwowąsy mężczyzna uniósł głowę, a jego krzaczaste brwi zetknęły się na środku czoła.

– Zapytałem: „Przepraszam uprzejmie, gdzie są moje zwłoki?” – powtórzył cierpliwie Jeremi Organek.

– Jakbym miał zgadywać, to odpowiedziałbym, że po drugiej stronie drzwi, przyrośnięte do głowy – odparł mężczyzna. – A zaraz potem zapytałbym pana, czy zaczął pan pić w pracy.

– W żadnym wypadku, panie doktorze! – obruszył się Jeremi. – Ja nie zwłoki, ona zwłoki, to znaczy zwłoki kobiety. Zginęły mi.

– Zgubił pan zwłoki? – Na twarzy siwowłosego i siwowąsego kierownika prosektorium pojawił się nieprzyjemny grymas.

– Ja nie, ktoś je zgubił. A raczej zabrał.

– Panie Organek! – Kierownik uniósł głos, ale zaraz się uspokoił. – Doktorze Organek, bardzo proszę wejść do środka razem z odwołkiem, zamiast tkwić tu głową jak jakiś karaibski potępieniec.

Jeremi posłusznie wprowadził odwołok razem z odnóżami do środka gabinetu przełożonego i zamknął za sobą drzwi. Poza siwym profesorem w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze jedna osoba, a spod jej płomiennorudej grzywki wpatrywały się w patologa rozbawione oczy w kolorze bursztynu.

– Pani Lindo, proszę wybaczyć, mój pracownik zdaje się borykać z jakimś życiowym kryzysem.

– Naprawdę zgubił pan zwłoki? – zapytała dziewczyna z wyraźną ekscytacją.

– No... Tak jakby – odparł Jeremi niepewnie. – Jak inaczej określiłaby pani sytuację, kiedy przed chwilą były, a teraz ich nie ma?

– Jeremi! – Kierownik nie wytrzymał. – Niech pan wreszcie skończy z tymi bredniami albo będę musiał skierować pana do psychiatry.

Organek zacisnął zęby, ale nie skomentował, choć właściwą ripostę miał na końcu języka. Przełknął złośliwość i odrzekł całkiem spokojnie:

– Doktorze Kurzawa, z całym należnym panu szacunkiem pragnę zauważyć, że psychiatra raczej niewiele miałby do powiedzenia w temacie zniknięcia zwłok, ponieważ oddział psychiatryczny znajduje się w innym budynku.

Dziewczyna zachichotała, za co dosięgnął ją surowy wzrok siwego wásacza. Widocznie on poczucia humoru nie miał za grosz.

– Panno Miller, proszę tu na mnie poczekać – zwrócił się do niej. – A pan pójdzie ze mną, panie Organek. Ostrzegam pana jednak, że jeśli to kolejny pański żart, to inaczej będziemy rozmawiać.

Jeremi wzruszył ramionami i opuścił gabinet. Kierownik zakładu, doktor Kurzawa, ruszył za nim, mruczając pod nosem niezrozumiałe dla nikogo mantry.

Pozostawiona sama sobie, Linda Miller rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, w którym poza dwoma fotelami, niewielkim biurkiem i jedną dwudrzwiową szafą nie było żadnego innego wyposażenia. Nie tak wyobrażała sobie gabinet szefa patologów, spodziewała się słoików z wnętrznościami w formalinie, stert czaszek, wiszącego pod sufitem poźółkłego szkieletu ze zmianami spowodowanymi skutkami leczenia rzeżączki. Nic z tego, nudy na pudy. Zaczęła żałować, że umówiła się na rozmowę z Kurzawą, powinna była od razu uderzyć do tego, jak mu tam? Organka! A może... A może nie jest jeszcze za późno?

– Lepiej się pośpieszę, zanim faktycznie wezmą go do czubków – stwierdziła na głos, po czym wbrew prośbie gospodarza opuściła gabinet i pomknęła do sali, z której wciąż dochodziły dźwięki miłej jej uszom muzyki.

Kiedy minęła zakręt dzielący ją od części korytarza prowadzącego do miejsca, z którego miały zniknąć zwłoki, miłą uszom muzykę przerwały dwa podniesione męskie głosy. Linda przykleiła się do ściany, jakby miało jej to pomóc w staniu się niewidzialną, i nadstawiła uszu.

– Czy pan uważa mnie za durnia?! – wrzeszczał Kurzawa.

– To pytanie zdaje się zupełnie irrelewantne – odpowiedział Organek głosem zbliżonym do krzyku.

– A niby co pan przez to rozumie?!

– Nie wiem, czy można rozumieć cokolwiek innego, niż definiuje słownik – odparł tym razem spokojnie Jeremi. – Irrelewantny oznacza

„nieistotny, marginalny, pomijalny”. Nie wiem, co moja opinia na pański temat miałyby wnosić do obecnej sytuacji.

– Nie kpij ze mnie, Organek – wywarczał siwowłosa kierownik prosektorium. – Stąpasz po cienkim i już popękany lodzie! Jaja sobie robisz?!

Nagle do uszu coraz bardziej zafascynowanej Lindy doleciało soczyste przekleństwo zawierające bardzo wyraźny akcent na „r” oraz „a”, a towarzyszyło mu jakby... chlupnięcie?

– Mój mózg!!! – wydarł się Organek. – Co pan najlepszego zrobił?!

– Ja co zrobił?! JA zrobił?! – W głosie Kurzawy słychać było kotłującą się pianę. – Ja dopiero zrobię, a pan niech zabiera swoje rzeczy i nie pokazuje mi się na oczy bez pozytywnej opinii psychiatry! – Siwa głowa wychynęła na korytarz, lecz już po chwili zniknęła znowu. – A najlepiej to wcale!

Kurzawa wypadł z sali sekcyjnej, w jego oczach widać było prawdziwy szal. Minął Lindę bez słowa, prawdopodobnie w ogóle jej nie zauważając. Ona tymczasem doskonale widziała czerwone ślady, jakie zostawiał na podłodze prawy but mężczyzny. Kiedy zniknął za zakrętem, dziewczyna odkleiła się od ściany i ostrożnie podeszła do otwartych na oścież drzwi.

– O rany, a co tu się odjaniepawliło? – zapytała, wytrzeszczając oczy.

– Proszę? – Organek klęczał na podłodze i grzebał w czymś, co wyglądało jak wielka breja. Wyjął utaplane brunatnoczerwona mazią ręce, po czym wsmarował ją apetycznie we włosy.

– Ble. – Linda się skrzywiła. – Oryginalne ma pan podejście do naturalnych kosmetyków.

– Co? – Medyk spojrział na dziewczynę nieprzytomnym wzrokiem. – A nie, to nie kosmetyk. Tłuszcz, cukier i trochę migdałów.

– Migdałów? Takich z gardła?

– Takich z drzewa – wyjaśnił odruchowo, a po chwili dotarł do niego sens komentarza. – O rety, pani chyba nie myśli, że to ludzkie wnętrze?

– Naprawdę staram się o tym nie myśleć, ale sam pan chyba rozumie, że to raczej... trudne. W tych okolicznościach.

Okoliczności zaiste sprzyjały skojarzeniom rodem z filmów gore: sala sekcyjna, trup na stole, a pod stołem patolog z rękami po łokcie umoczonymi w mózgu.

– Racja – zgodził się Jeremi. – Można tak pomyśleć.

– Nieźle pan wkurzył swojego szefa – stwierdziła dziewczyna, a w jej głosie nie było ani krzty przygany. – Ale jakoś wcale mi go nie żal. Odpychający typ.

– Mhm – mruknął Jeremi, podnosząc się z kłęczek. – Proszę mi wybaczyć, muszę umyć ręce.

– Proponuję nie zapomnieć o włosach, żeby pana faktycznie za wariata nie wzięli.

Organek skinął głową i ruszył na zaplecze, skąd po chwili doleciał dźwięk puszczonej wody. Nie było go raptem kilka minut, w którym to czasie Linda obejrzała wyposażenie pomieszczenia. Tego właśnie potrzebowała!

– Czyli jednak to był kawał? – zapytała, kiedy medyk wrócił, wycierając włosy papierowym ręcznikiem.

– Co takiego?

– To zniknięcie zwłok. Jak widać, są na miejscu.

Jeremi nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł do stołu i uniósł materiał zakrywający głowę leżącego na nim ciała.

– Na miejscu, owszem. Tylko czy na pewno? – zapytał cicho.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy i nieświadomie wykonała krok w tył.

– O holender! – szepnęła. – Kto to jest?

– Według identyfikatora: Marcin Zygmunt. *Mortis causa*: upadek z dużej wysokości i przerwanie rdzenia kręgowego.

– A gdzie się podziała ta blondynka?

Medyk zakrył twarz denata i spojrzał w bursztynowe oczy dziewczyny.

– Nie wiem, ale się dowiem – odparł ze stanowczością. – Na mojej zmianie nikt nie będzie znikać zwłok.

NIC TAK NIE PODNOSI JAKOŚCI ŻYCIA JAK ZDROWE POCZUCIE HUMORU



Mieczysław Kurzawa ze złością wycierał but papierem toaletowym, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Zajęty jestem! – warknął.

Być może zrobił to zbyt cicho albo też osoba po drugiej stronie nieszczególnie się tym przejęła, bo klamka powędrowała w dół i zaraz potem drzwi stanęły otworem.

– Przeszkadzam? – zapytała Linda Miller tonem niewiniątka.

– Odrobinę.

– A to dobrze, że tylko odrobinę. – Dziewczyna zamknęła drzwi od wewnątrz, szeroki uśmiech nie zniknął z jej ust. – Ooooo, wdepnął pan w ten tort? Kiepska sprawa, wiśnie ciężko wywabić. Niezłe tu macie zabawy, w życiu bym się nie spodziewała takich fajerwerków w miejscu o raczej sztywnej atmosferze.

– To chyba nie najlepsza pora na takie żarty, panno Miller – odburknął Kurzawa.

– No co też pan? Nic tak nie podnosi jakości życia jak zdrowe poczucie humoru. Czytał pan kiedyś Chmielewską? Gdyby nie jej prześmiewcze książki, ludność peerelu zwariowałaby jak dwa razy dwa – tokowała dziewczyna, ani na chwilę nie przerywając. – Moja mama do dzisiaj truchta po świńsku i cały czas powtarza, że kiedy poznała mojego tatusia, to jej się szaleństwo w zwojach mózgowych zrobiło takie samo jak u Joanny. Ale niech się pan nie martwi – uspokoiła oszołomionego mężczyznę – szaleństwo zdechło, jak tylko mamusia zorientowała się, że tatuś to swołocz i rąbie wszystko, nawet szczególnie nie selekcyjując przedmiotu rąbania.

Kurzawa zastygł w dziwacznej pozie pomiędzy skłonem prostym a wyprostem niepełnym i patrzył na dziewczynę z mieszaniną zniesmaczenia, politowania i niechęci. Ona tymczasem ani myślała spuszczać z tonu.

– Ale właściwie nie ma się czemu dziwić, w końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni, a genów się nie wyprzemy. Dziadzius Miller też świętym raczej nie został, cztery żony wykończył, a rogate wszystkie jak *Megaloceros giganteus*. Wie pan, co to *Megaloceros giganteus*?

Kurzawa nie wiedział, ale z wrazenia nawet nie zdążył zaprzeczyć.

– To taki bydlęcy jelen, znaczy nie że bydlę, bo w końcu to jelen, tylko taki bydlak wielki, olbrzymi wręcz. I wie pan, jakich rozmiarów ten bydlak jeleni miał poroże?

Siwy mężczyzna niepewnie pokręcił głową.

– No, niech pan zgaduje! – zachęciła go dziewczyna.

– Dwa? Metry dwa?

– Zimno! – Dziewczyna się roześmiała. – Trzy sześćdziesiąt! Da pan wiarę?

Ciężko było stwierdzić, czy dał, czy też nie, bo wyglądał na wyjątkowo wstrząśniętego, i to raczej nie osiągnięciem przez jelenia olbrzymiego wyjątkowo efektownego rozmiaru poroża.

– Pani Lindo, może jednak przełożymy nasze spotkanie na jakiś bardziej sprzyjający moment? – poprosił cicho.

– Sprzyjający czemu? – Dziewczyna mrugała tak szybko, że przypuszczalnie ekran w smartfonie wolniej się odświeżał.

– Przyzna pani, że dziś warunki do rozmowy są raczej... hm... nie najlepsze.

– Czy ja wiem? Znikanie zwłok, taplanie się w mózgu... Zasięgi mi poszybują jak orzeł, co to jego cień widziała Kasia Stankiewicz.

– Niech pani idzie, pani Miller – poprosił rozdrażniony Kurzawa. – Umówimy się na kiedy indziej, nie czuję się najlepiej.

Linda zrobiła smutną minę, którą wielokrotnie ćwiczyła na kolegach. Tym razem jednak zamierzonego efektu nie osiągnęła, najprawdopodobniej dlatego, że mężczyzna był z natury odporny na kobiece manipulacje.

– No dobrze, skoro tak... – skapitulowała. – Szkoda, ale rozumiem. Może pan Organek będzie miał ochotę na pogawędkę.

Odwróciła się w stronę drzwi, ale ostry głos Kurzawy zatrzymał ją w pół kroku.

– Nie! Niech pani tego nie robi! Doktor Organek zdaje się wypierać swoją kondycję, a ja miałem nadzieję, że już z nim wszystko w porządku.

– Co ma pan na myśli?

– Nie powinienem o tym mówić, więc powiem tylko, że dziś zostanie wysłany na przymusowy urlop zdrowotny. Jestem mu to winien jako przełożony.

– Strasznie pan zagadkowy... – Dziewczyna lekko zmarszczyła nos, wyczuwając w tonie lekarza nutkę fałszu.

– Przepraszam, ale naprawdę nie wolno mi o tym mówić. Proszę mi jednak wierzyć, że tak będzie lepiej.

– Czyli o zwłokach, które znikają, też mam nie pisać? – upewniła się.

– Chyba że chce się pani ośmieszyć tak jak doktor Organek – odparł ze smutkiem. – Jak sama pani widziała, żadne zwłoki nie zniknęły, co świadczy jedynie o stanie zdrowia mojego podwładnego.

Linda skinęła głową i otworzyła drzwi. Zawahała się w progu, ale ostatecznie zrezygnowała z zadania pytania, które chodziło jej po głowie.

Kiedy drzwi zamknęły się za dziewczyną, Kurzawa wypuścił powietrze i opadł ciężko na fotel. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczami, a następnie chwycił telefon i wybrał numer.

– Nie wiem, co tym razem odstawiłeś, i nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Jeszcze jeden taki numer i sam wylądujesz na stole Organka – warknął tonem, od którego martwym jeżyły się włosy.

Rozłączył się, wyciągnął z kieszeni paczkę cameli, po czym drżącą ręką zapalił cienkiego papierosa.



– Pssst! – Ruda głowa zajrzała do sali sekcyjnej. – Panie Jeremi!

– Hmm? – Patolog podniósł wzrok znad stołu. – A, to pani. Coś pani tu zostawiła?

– Nie, pomyślałam, że zajrzę do pana, zanim pójde. – Linda weszła do środka i zamknęła ostrożnie drzwi. – Pomóc panu?

Organek miotał się trochę, co wybitnie nie pasowało do jego spokojnego usposobienia. Rozdeptana przez Kurzawę krwawa miazga wciąż leżała w miejscu, w którym pechowo trafiła pod but kierownika.

– Trochę szkoda, co? – zagaiła dziewczyna, podwijając rękawy bawełnianej sukienki. – Pomogę panu to sprzątnąć.

– Szkoda? Ma pani na myśli tort?

Ładny rudzielec skinął głową i kucnął nad pudełkiem uwalanym fragmentami szaroróżowego biszkoptu ociekającego wiśniową frużeliną.

– Dziękuję, ale nie musi pani sobie robić kłopotu – bąknęła nieco zafrasowany patolog.

– No co pan, to żaden kłopot! – uśmiechnęła się Linda. – I tak nici z mojego wywiadu, a innych planów na dzisiaj nie miałam. Mogę pana o coś zapytać?

– Właśnie to pani zrobiła – odparł machinalnie.

– O rety, strasznie pan dosłowny. – Dziewczyna przewróciła oczami. – Okej, to czy mogę pana o coś jeszcze zapytać po tym, jak pytam, czy mogę zapytać?

Organek skinął głową, ale wciąż wydawał się rozkojarzony.

– Ma pan jakiś pomysł, co stało się z tymi zwłokami? – zapytała Miller, zgarniając fragmenty tortu spod stołu.

– Mówiłem pani: przerwanie rdzenia kręgowego.

– Nie pytam o te zwłoki, tylko o TE zwłoki – wyjaśniła z naciskiem. – Tej dziewczyny, którą widziałam wcześniej.

Jeremi zatrzymał się w pół kroku między jedną a drugą szafką, do których chował zdezynfekowane narzędzia.

– Nie mam pojęcia i właściwie zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem Kurzawa nie ma racji... – Zawiesił głos i spojrzał w oczy dziewczynie. – Myśli pani, że zwariowałem?

– Trudno stwierdzić, nie znam pana jeszcze, ale z pewnością tamte zwłoki się panu nie przywidziały.

– Może powie pani o tym kierownikowi? – Patolog się ucieszył. – Wyjaśni mu pani, że widziała na stole dziewczynę, a teraz zamiast dziewczyny leży mężczyzna. Pani uwierz na pewno!

– Wykluczone – stwierdziła stanowczo Linda. – Jeśli teraz wyskoczyłabym z czymś takim, uznałyby, że działam z panem w zмовie. On już podjął decyzję i jedyne, co możemy zrobić, to udawać, że się z nią godzimy, a następnie udowodnić mu, że jest w błędzie.

Organek uniósł brwi, zastanawiając się, czy najpierw powinien zapytać o decyzję Kurzawy, czy może o użycie zaimka „my”. Na szczęście Linda Miller

nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa i sama udzieliła odpowiedzi na niezadane pytania:

– Pański przełożony zamierza wysłać pana na zieloną trawkę, żeby pan wyleczył swoją „kondycję”, czymkolwiek by ona była, a więc będzie pan miał więcej czasu na powęsenie. A ja panu chętnie pomogę, bo czuję swoim słynnym siódmym zmysłem, że „zagadka znikniętych zwłok” to będzie prawdziwa petarda i otworzy mi drogę do blogerskiej sławy.

– Pani Lindo? – odezwał się lekko oszołomiony medyk. – Teraz to ja muszę zadać pani kilka pytań, bo nieco się pogubiłem.

– Proszę się nie przejmować – wyszczerzyła się dziewczyna. – Za mną mało kto nadaża, bo ja myślę z prędkością nadświatlną i werbalizuję swoje myśli skrótami, więc trzeba się przyzwyczaić. Albo nie – dodała ze stoickim spokojem – ale wtedy marne szanse na nadażenie.

Jeremi przysiadł na stołku i przyglądał się dziewczynie z rozbawieniem. Była jego całkowitym przeciwieństwem: gadatliwa, żywiółowa i naiwnie otwarta, a mimo to wzbudziła w nim sympatię.

– Ile ma pani lat? – zapytał w końcu, zaskakując nawet samego siebie.

– Dwadzieścia pięć – odpowiedziała z nutką rezerwy. – I bardzo mi pan, oczywiście, schlebia, ale ja lubię młodszych, z całym szacunkiem. Pan by się nadawał raczej dla mojej mamusi.

Patolog zaśmiał się szczerze, bo nawet mu do głowy nie przyszło, że jego pytanie może zostać odebrane w ten sposób. Pomimo swych pięćdziesięciu wiosen doświadczenie w sprawach uczuciowych miał mniejsze niż niejeden nastolatek. Jakoś nigdy się nie złożyło, a później już przestał zwracać sobie głowę pierdołami. Inna sprawa, że jego ekstraordynaryjna uroda przyciągała kobiety jak najsilniejszy magnes, podczas gdy on nie potrafił przyjmować tych awansów. Wypracował więc system ochronny polegający na uciekaniu w pracę i wyładowywaniu emocji we własnym rockowym zespole. Ewentualne potrzeby natury fizjologicznej zaspokajał w ramach przelotnych romansów – które okazywały się przelotne głównie na życzenie partnerek. Całkiem możliwe, że gdyby na pierwszej randce nie opowiadał ze szczegółami o przebiegu swojego dnia w pracy, byłyby i drugie randki.

– Jest pani bardzo młodą osobą – stwierdził – więc pani entuzjazm i chęć przeżycia przygody zdają się całkowicie zrozumiałe. Obawiam się jednak, że będzie pani zawiedziona, kiedy okaże się, co wydaje mi się coraz bardziej prawdopodobne, że ta kobieta trafiła na stół z pomocą jakiegoś studenta, który

przygotowuje się do egzaminu i któremu znudziło się uczenie „na sucho”. Jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Linda podniosła się z kucek, a na jej czole pojawiła się poprzeczna zmarszczka. Po chwili rozpoznała się jednak i celnie zripostowała:

– Gdyby chodziło o jakiegoś niesubordinowanego studenta, to ciało leżałoby tu dalej. Po co miałyby robić sobie tyle kłopotu, żeby je zniknąć i zastąpić tym drugim? Przecież nikt by nie wiedział, czyja to sprawka.

– Słusznie – zgodził się z nią Organek. – Bardzo logiczna konkluzja. Ale to wcale nie oznacza, że wyjaśnienie nie okaże się równie trywialne.

– Szkoda, że nie zdążył pan jej pokroić, może kryła w sobie jakąś tajemnicę...

Jeremi poczuł, jak zalewa go fala gorąca. No przecież!

Rzucił się na podłogę i z policzkiem przyklejonym do gumoleum zaglądał pod szafki, wycierając przy okazji podłogę białym fartuchem.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała z troską dziewczyna. Przez jej głowę przemknęła myśl, czy aby nie pomyliła się w ocenie stanu umysłu Organka.

– Do... Dob... rze! – wysapał. Jego prawa ręka zniknęła pod rzędem szafek i prawdopodobnie zbierała właśnie cały znajdujący się pod nimi kurz. – Ha! Mam cię! – krzyknął triumfalnie.

Ostrożnie wyjął rękę spod mebli, podniósł się z klęczek i zaprezentował znalezisko.

– Oto i tajemnica, którą kryła nasza zaginiona denatka.

– I wypluła ją prosto pod szafkę? – Dziewczyna zmrużyła oczy krótkowidza.

– To akurat moja wina – odparł Organek z zawstyżeniem. – Dziś ewidentnie nie jest mój najlepszy dzień.

Linda podeszła do niego, nie spuszczać wzroku z metalowego przedmiotu.

– Czy ja chcę wiedzieć, w której części jej ciała pan to znalazł? – zapytała z niepokojem. – Bo, wie pan, ja oglądałam *Krwawy diament*, i to chyba ze trzy razy, czytałam też *Papillon* i trochę mnie przeraża ludzka inwencja w kwestii przemykania różnych skarbów.

Organek co prawda ani nie oglądał filmu z Leonardem DiCaprio, ani nie czytał głośnej książki o kolonii karnej w Gujanie Francuskiej, ale intencję pytania zrozumiał w lot.

– Biedaczka usiłowała go połknąć, lecz najprawdopodobniej utknął jej w przełyku, zablokował aparat oddechowy i stał się przyczyną śmierci –

wyjaśnił. – Tyle mogę wnioskować, bez ciała i tak niczego więcej się nie dowiemy.

– I tak wolałabym, żeby pan go odkaził – oznajmiła uspokojona dziewczyna. – Ciekawe, do czego ten klucz pasuje...

Jeremi nalał do plastikowego pojemnika jakiegoś płynu, a następnie ostrożnie zanurzył w nim klucz.

– Nie wygląda na pasujący do współczesnych zamków. Jak pani myśli?

– Myślę, że powiem panu, co myślę, kiedy pozbędzie się pan z niego trupiego jadu i wszystkich potencjalnych chorób współistniejących...

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo za drzwiami rozległy się głośne kroki. Instykt kazał jej się ukryć, rzuciła się więc na zaplecze, gdzie przywarła do ściany, modląc się, żeby to nie była żona patologa, której na przykład zebrało się właśnie na amory i która postanowiła natychmiast zaspokoić swoje chore seksualne fantazje.

– Kto tu ma chore fantazje, Lindo? – szepnęła do siebie i pacnęła się w czoło. – Skąd ci w ogóle te bezceństwa przyszły do głowy?

Usłyszała dźwięk otwierania ciężkich drzwi, po czym głos Mieczysława Kurzawy oznajmił:

– Doktorze Organek, proszę pójść ze mną do mojego gabinetu. Doktor Malinowski już tam na pana czeka.

Kilka sekund później drzwi się zamknęły i w prosektorium zapanowała grobowa cisza. Dziewczyna ostrożnie wychyliła się ze swojej kryjówki, następnie zaś ruszyła do szafki, na której patolog zostawił niewielki pojemnik z płynem odkażającym, a do jego środka wrzucił znaleziony klucz.

Linda pochyliła się nisko, niemalże mocząc nos w żrącej substancji, co było możliwe wyłącznie dlatego, że jako dziecko straciła węch. Przyglądała się metalowemu przedmiotowi spoczywającemu na dnie naczynia i z każdą sekundą rosło w niej przekonanie, że rozpoznaje dziwny symbol wytłoczony na główce klucza. Całkowitej pewności jednak mieć nie mogła, musiałyby go obmacać, a nie wiedziała, czy wszystkie choroby współistniejące zostały już anihilowane.

Wpatrywanie się w nieruchomy przedmiot zdruzgotało jej się po kilku minutach, zaczęła więc się rozglądać, myszkować po szafkach, a nawet coraz śmielej zerkać w kierunku leżących na stole zwłok. Zaskoczył ją fakt, że zupełnie się nie boi, wbrew temu, co całe życie sobie wyobrażała. Pewnie padłaby na zawał, gdyby ciało nagle się poruszyło albo wydało jakiś dźwięk, ale

kiedy tak sobie leży, nic nie robi, nie chce pożyć jej mózgu, to nie ma w nim niczego straszego.

Chwyliła brzeg tkaniny i ostrożnie ją zdjęła, odsłaniając czoło zmarłego. Czoło jak czoło, ani ładne, ani brzydkie, całkiem zwyczajne, bez fajerwerków. Pociągnęła mocniej i odkryła łuki brwiowe, powieki, policzki. Przy policzkach zatrzymała się nieco dłużej, bo okazało się, że denat miał wyjątkowo ładnie zarysowane kości policzkowe.

– Fiu, fiu – stwierdziła z uznaniem. – I po coś ty, chłopaku, ten rdzeń przerywał? Szkoda takie geny marnować.

Nos i usta także były niczego sobie, ale broda! O święci pańscy, za taki dołeczek w podbródku to się słono płaci w gabinetach chirurgii estetycznej.

– Właśnie zostałam wdową – stwierdziła ze smutkiem. – Świeć, Panie, nad jego duszą i spraw, żeby miał brata bliźniaka, który ma cały kręgosłup.

Na korytarzu rozległy się pośpieszne kroki, nasunęła więc prześcieradło na twarz nieboszczyka, rzuciwszy uprzednio pełne żalu ostatnie spojrzenie na najpiękniejszy podbródek na świecie, i czmychnęła na zaplecze.

Drzwi otworzyły się z impetem i do środka wmaszerował Organek z miną zbitego psa i starszy o dekadę.

– Jest pani tu jeszcze? – zawołał cicho, kiedy drzwi odgrodziły ich od ewentualnych intruzów.

– Jestem! – Dziewczyna wyszła zza załomu ściany. – Wszystko w porządku?

– Ze mną tak, ale wyraźnie coś jest nie w porządku z tym miejscem.

Linda oblała się pąsem i zerknęła na niestaranie zatarte dowody swojej zbrodni. Organek jednak nawet nie zauważył, że spod sfałdowanego materiału wystaje ucho Marcina Zygmunta.

– Musimy się zbierać – rzucił patolog, a dziewczyna przez chwilę nie miała pewności, czy mówi do niej, czy też ma na myśli właściciela odkrytego ucha.

– Ja też? – upewniła się.

– Jeśli chce pani uniknąć konfrontacji z Kurzawą, to mocno bym to doradzał.

Czterdzieści minut później opuścili szpital – on, w swojej czarnej ramonesce, gumowanych dżinsach i z twarzą George’a Clooneya, odprowadzany powłóczytymi spojrzeniami mijanych kobiet; i ona, w bawełnianym kombinezonie podwędzonym któremuś z lekarzy, maseczce na twarzy

i flizelinowym czepku zakrywającym jej rude włosy. Taksówkarz nieco się zdziwił na ich widok, ale skoro płacili gotówką, to co się będzie czepiał.

TO NIE JEST KURZA ŁAPKA



– Jeremi? – zapytała Linda, nachylając się w stronę patologa. – Mogę tak się do pana zwracać?

– Głupio by było, gdyby zwracała się do mnie pani per „Zenek”.

– Ale mam mówić „panie Jeremi” czy „Jeremi”?

– Jak pani wygodniej.

– Najwygodniej będzie, kiedy nie będziesz mi paniował. Linda jestem. – Dziewczyna wyciągnęła rękę, którą Organek uściskał. Uśmiechnął się przy tym ciepło. – Od razu lepiej. A więc dokąd jedziemy, Jeremi?

– Zaraz zobaczysz, jesteśmy prawie na miejscu.

Rzeczywiście, po niespełna minucie taksówkarz zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec. Nie odezwał się ani słowem, kiedy dziwaczna para o dziwacznych imionach opuszczała jego wóz. Odjechał natychmiast, jak tylko drzwi zamknęły się za Organkiem.

– Trochę tu jakby dziwnie... – stwierdziła Linda, rozglądając się z niepokojem.

Stali w przejściu do oficyny, która w najlepszym razie mogłaby robić za tło w filmie o kłoszardach. Ściany kamienic rozpaczliwie upraszały się o renowację, a w większości okien brakowało szyb.

– Dziwnie? – zapytał Organek. – Dlaczego dziwnie?

– Może faktycznie to nie najwłaściwsze słowo. Powinnam była powiedzieć: strasznie, przerażająco, odrażająco, zwyrolowato. To twoja meta?

Jeremi nie zrozumiał ani słowa „zwyrolowato”, ani słowa „meta”, spojrzał więc na Lindę jak dziecko, do którego odezwano się w obcym języku.

– Zdaje się, że powinienem czuć się obrażony, ale zrzuć to na karb twojego młodego wieku – odezwał się miękko.

– Mam nadzieję, że z wiekiem gust mi się aż tak nie popsuje, żebym chciała przebywać w takich miejscach. A już na pewno nie chciałabym tu

mieszkać.

Patolog pokręcił głową z rozbawieniem i ruszył w głąb odpychającego podwórka. On także nie chciałby tu mieszkać, chyba że byłby szczurem. Na szczęście był człowiekiem, w dodatku wykształconym i ceniącym wygodę.

– Jeśli jesteś seryjnym mordercą i zaraz zobaczą stopy trofeów w postaci brudnych majtek, to ostrzegam: kop w krok i zwiewam. – Linda ruszyła za Jeremim. – Wolałabym, żebyś zaprosił mnie na kawę w jakieś przyjemniejsze miejsce.

– W tym stroju mogłabyś wzbudzić niepotrzebną sensację – zauważył. – Spędzimy tu tylko chwilę, a później możemy iść na kawę.

– Nie wiem, czy chcę spędzić tu choćby ułamek sekundy – stwierdziła kwaśno Linda, czując się coraz bardziej nieswojo. – Gdzie my właściwie jesteśmy? Jeremi? Jeremi!!! Nie zostawiaj mnie tu!

Organek zniknął w którejś z ciemnych bram, podczas gdy ona zadzierała głowę, przyglądając się obskurnym elewacjom. Mimo że nie zaliczała się do osób lękliwych, Linda Miller poczuła dreszcze biegnące jej po plecach jak stada wściekłych mrówek.

– Lepiej, żebyś nie czał się na mnie z zardzewiałą rurą – bąknęła pod nosem, zмирzając w stronę najbliższych drzwi. – Bo jeśli okażesz się psycholem, to przyjaźni między nami nie będzie i wrócimy do „pana”.

Przekroczyła próg ciemnej bramy i natychmiast poczuła chłód charakterystyczny dla starych budynków. Brak wężu oszczędził jej atrakcji w postaci zapachu kurzu, zwierzęcych ekskrementów i amoniaku. Otaczał ją półmrok, rozpraszany gdzieniegdzie wpadającym przez dziurawe okna światłem z zewnątrz. Szła przed siebie, starając się nie myśleć o tym, gdzie się znalazła, i nie zauważać scenerii jak z horroru.

Korytarz skrzył ostro w lewo i doprowadził ją do niepasujących do całej reszty masywnych czarnych drzwi. Przyłożyła do nich ucho, ale nie doleciał do niej żaden dźwięk. Nacisnęła klamkę, wstrzymała oddech i popchnęła ciężkie skrzydło.

– Trafiaś! – ucieszył się patolog. – Wybacz, że cię tak zostawiłem, ale strasznie mnie przypiliło za potrzebą.

– O ja cię nie chromolę, co to za miejsce?!

Dziewczyna weszła do pomieszczenia i rozglądała się z szeroko otwartymi ustami. Podłoga i ściany wyłożone były granatową aksamitną tkaniną, pod jedną ze ścian stała perkusja, nieco bliżej środka kilka stojaków

z mikrofonami, w kątach rozstawiono ogromne głośniki. Po podłodze wiły się splątane kable.

– To moja próbnia – wyjaśnił Organek z wyraźną dumą. – Tutaj gramy z moim zespołem, czasami zapraszamy znajomych na koncerty.

– Zespół? Koncerty? – Linda wybałuszyła oczy. – Ty tak serio?

– Ja wszystko robię serio – obruszył się odrobinę. – Jesienią planujemy ruszyć w trasę koncertową, więc będziesz mogła się przekonać.

– U la, la, tego się nie spodziewałam. I jak się nazywacie? Sztynny Pal Azji i Skalpel chyba już zajęte?

– Rigor Mortis niestety też – odpowiedział patolog z wyraźnym żalem. Kątem oka zauważył kpiący uśmiech na ustach dziewczyny, dodał więc szybko: – My wszyscy jesteśmy medykami sądowymi.

– No to jak się nazywacie?

– Anus Mundi – bąknął tak cicho, że ledwo go usłyszała.

– Jezu, poważnie? Ale obciach... Chociaż lepiej tak niż po polsku, mniej osób poczuje urazę.

Jeremi wzruszył ramionami, bo niewiele go obchodziły odczucia innych ludzi, zwłaszcza gdy w grę wchodziła nazwa jego zespołu. Zresztą aktualnie niewiele rzeczy go obchodziło, wyjątek stanowiła tajemnicza dziewczyna, która w równie tajemniczy sposób zniknęła z jego stołu.

– Możesz się przebrać, a ja w tym czasie znajdę kryjówkę dla klucza. To jedyne miejsce, w którym z pewnością nikt nie będzie chciał go szukać.

– Myślisz, że ktoś będzie go szukał? – zdziwiła się Linda.

– Mam niejasne wrażenie, że ten klucz jest, nomen omen, kluczem do rozwikłania zagadki śmierci tej kobiety. Skoro ona zadała sobie tyle trudu, żeby go ukryć, mam obowiązek zrobić to samo.

– Przecież nie wiemy nawet, kim była ta kobieta i dlaczego połączyła klucz – zaproponowała Linda. – Może miała po prostu dziwne hobby albo pracowała w cyrku i jej zadaniem było oswobodzenie się z jakichś kajdan?

Organek spojrział na rudzielca w lekarskim kombinezonie i cmoknął z uznaniem.

– Niezły z ciebie detektyw, Lindo – pochwalił ją – ale takim kluczem nie otwiera się zamków w kajdanach, a już na pewno ciężko byłoby trzymać go w ustach. Jest za duży i prawdopodobnie bardzo stary.

– Może masz rację... – zgodziła się niechętnie. – I ten znak, widziałeś?

Jeremi wyjął z kieszeni papierowe zawiniątko i położył je na otwartej dłoni.

Dziewczyna zbliżyła się, po czym delikatnie odchyliła papier. Odkazony i pozbawiony nalotu metalowy klucz wyglądał zdecydowanie lepiej.

– Masz na myśli to coś, co wygląda jak kurza łapka?

– To nie jest kurza łapka, Jeremi. To jest runa. – Dziewczyna sięgnęła po telefon komórkowy i zaklęła siarczyście. – Nie ma zasięgu.

– Nie ma, rzeczywiście. Próbnia jest wytłumiona, a w okolicy nie ma żadnego nadajnika.

Linda obesza pomieszczenie dookoła z ręką wyciągniętą jak antena, ale nie udało jej się złapać sieci.

– Zróbmy zdjęcie klucza i wróćmy do cywilizacji – poprosiła. – Fajnie tu, klimatycznie, Ozzy Osbourne odnalazłby się doskonale, ale ja jednak wolę kawiarnie z dostępem świeżego powietrza.

Jeremi wskazał jej drogę do toalety, która – o dziwo! – była czysta i spełniała swoją funkcję, sam tymczasem zajął się ukrywaniem klucza. Z niejasnych dla siebie przyczyn, kierowany intuicją, uważał, że należy go zabezpieczyć.

Kiedy przebrana w swoją bawełnianą sukienkę dziewczyna wróciła po pięciu minutach, czekał na nią przy drzwiach. Opuścili salę prób zespołu o uroczej nazwie Anus Mundi, Organek starannie zamknął wszystkie trzy zamki Gerda, po czym ruszyli z powrotem. Pogoda była piękna, zdecydowali się więc na spacer.

– Mogę ci zadać pytanie? – Linda nie potrafiła nie mówić dłużej niż dwa mrugnięcia okiem. I nie czekając na odpowiedź, owo pytanie zadała: – Z jakiej okazji był ten tort? Masz dzisiaj urodziny?

– Tak jakby – odparł, a na jego twarzy pojawił się grymas złości. – Można powiedzieć, że dziś jest pierwszy dzień mojego nowego życia.

– Rozwiodłeś się? – zgadywała dziewczyna.

– Ależ skąd! Nigdy nie byłem żonaty.

– Wygrałeś w totolotka?

– Nie uznaję hazardu.

– No to już nie mam pomysłów...

– Wczoraj zostałem uznany za całkowicie zdrowego – przyszedł jej w końcu na ratunek. – Po guzie w mózgu nie ma już żadnego śladu poza tą blizną. – Pochylił głowę i odgarnął włosy, demonstrując zgrubienie biegnące niemal przez całą długość czaszki. – Nigdy więcej chemii, naświetlań i drżenia przed każdą wizytą na onkologii.

Linda zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na mężczyznę z czułością. Najchętniej wzięłaby go teraz w objęcia, pogłaskała po tej głowie Frankensteina i rozbeczała się ze wzruszenia.

Jeremi wyczuł jej nastrój i przyśpieszył kroku. Choć jak nikt inny wiedział, że każdy skończy na stole w prosektorium, jemu również wcale się do tego nie śpieszyło, a na prezentowanie łez przed kobietą znali się odrobinę zbyt krótko.

– O, kawiarnia! – ucieszył się jak nigdy w życiu. – Wejdźmy, może będą mieli jakieś ciastka albo i tort.

– Ale o mózg może lepiej nie pytajmy... – poradziła Linda, ocierając ukradkiem łzę.

ZBIEGI OKOLICZNOŚCI



– „Runa Algiz to piętnasta runa z drugiej ósemki w Futharku. Odpowiada ona literze Z. Oznacza wzmocnioną siłę, opiekę i jedność. Ma za zadanie ochraniać siebie i innych, dawać poczucie bezpieczeństwa, otwartość i wsparcie” – przeczytała Linda na ekranie smartfona, który znów połączył się ze światem. Kliknęła coś na wyświetlaczu i czytała dalej: – „Zwana również runą życia, używana była przez stworzone przez Heinricha Himmlera Ahnenerbe oraz organizację Lebensborn, która była odpowiedzialna za przyrost naturalny oraz odtworzenie rasy aryjskiej. Runa ta również była powszechnie używana w III Rzeszy, między innymi w przepisach prawnych i urzędowych oraz na mundurach Sturmabteilung” czy jak to się tam wymawia. „Odwrócona do góry nogami, interpretowana była jako runa śmierci. Podczas drugiej wojny światowej te dwie runy zastąpiły na nagrobkach tradycyjne symbole gwiazdki i krzyża, a runę śmierci znaleziono w wielu dokumentach pochodzących z nazistowskich obozów zagłady”.

Do ukrytego za filarem stolika, przy którym usiedli, podeszła kelnerka i postawiła przed nimi tacę z dwiema filiżankami kawy oraz dwoma talerzykami z obłędnie wyglądającą truskawkową tartą.

– Może nie jest tak pomysłowa jak twój tort, ale ślinianki uaktywniła natychmiast – oceniła Linda, patrząc na ciastko z nieskrywanym zachwytem.

– Jesteś pewna, że ten znak to runa? – zastanawiał się Organek, mieszając kawę.

– No sam zobacz, tu masz zdjęcie klucza. – Podstawiła ekran pod oczy patologa. – A tu runę Algiz.

Jeremi kilkakrotnie przeskakiwał między fotografiami, w końcu jednak musiał przyznać dziewczynie rację.

– Czyli mamy stary klucz z wygrawerowaną runą, ale nie wiemy, ani skąd pochodzi ten klucz, ani jakie znaczenie miała owa runa – stwierdził poważnie. –

Niewiele nam to daje, nie sądzisz?

– Może niewiele, a może bardzo dużo. Nie ma co się poddawać z powodu drobnych przeciwności. Musimy się zastanowić nad tym, gdzie ten symbol mógł być wykorzystywany, i metodą eliminacji w końcu znajdziemy zamek, do którego pasuje klucz. – Linda Miller zdawała się należeć do osób, dla których szklanka nigdy nie jest w połowie pusta, a wiatr zawsze wieje we właściwą stronę.

– Wnioskuje z przeczytanych przez ciebie informacji, że musielibyśmy odwiedzić wszystkie obozy koncentracyjne, ośrodki badań, w których naziści robili swoje eksperymenty, i najlepiej objechać całe Niemcy wzdłuż i wszerz – podsumował patolog. – Brzmi jak plan na długie lata.

– A, przepraszam, śpieszy ci się do pracy? – zakpiła dziewczyna. – Zdaje mi się, że wcale cię tam nie chcą, więc jeśli nie zamierzasz podbić świata muzyką swojego Odbytu, to masz czas, żeby poświęcić się rozwiązaniu zagadki.

– W sumie racja – zgodził się. – Kurzawa wyraźnie dał mi do zrozumienia, że długo jeszcze doktor Malinowski nie dopuści mnie do pracy. I tyle w temacie przysięgi Hipokratesa.

– Szkodzi ci to? Nie szkodzi, więc przysięgi, co do zasady, nie złamał. A że trochę nagiął i właściwie wysnuł diagnozę od czapy, to już inna rzecz. Czekaj, czekaj! – W oczach dziewczyny błysnęło olśnienie. – A może wcale nie musimy od razu jechać do Niemiec, przecież w Polsce też zakładano ośrodki Lebensborn!

Organek spojrział na nią z zaciekawieniem. Takie ośrodki istniały, owszem, choć niewiele na ten temat mówiono czy pisano. On sam nigdy nie interesował się historią współczesną, więc tematu nie zgłębiał.

– Lindo? – zapytał ostrożnie.

– Hm? – Dziewczyna stuknęła kciukami w ekran, nie odrywając wzroku od telefonu.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robiłaś w szpitalu.

– A, faktycznie. Miałam przeprowadzić wywiad z Kurzawą na temat wykorzystania tanatologii we współczesnej medycynie sądowej.

– Jesteś dziennikarką?

– Blogerką, pracuję tylko dla siebie. Jeden z moich sponsorów zamówił artykuł na temat śmierci w różnych kontekstach kulturowych i społecznych, a mój tatuś jest jakimś starym znajomym Kurzawy, więc na coś raz w życiu się przydał.

– Drugi raz – poprawił ją Jeremi. – Pierwszy był ściśle związany z twoim poczęciem.

– Myślisz? – Dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to stało się przypadkiem, a on zupełnie by nie wiedział, w jaki sposób. Chwała Bogu, że moja mamusia ma silne geny, niestety kolor włosów odziedziczyłam po Millerach.

– Przykro mi, że przeze mnie nie udało ci się zrobić wywiadu – wyznał mężczyzna ze szczerą skruchą.

– No coś ty, nawet tak nie myśl! Ta cała tanatologia jest nudna jak flaki z olejem, trzy razy zasnęłam na pierwszej stronie podręcznika dla studentów medycyny. Znikające tajemnicze zwłoki to jest coś! Ahoj, przygodo! – Linda machnęła trójzębnym widelczykiem, z którego odkleiły się okruszki ciastka i poszybowały do filiżanki z kawą. – Przynajmniej słodzić już nie muszę – zachichotała.

– Może lepiej będzie, jak przestaniemy mówić głośno o – ściszył głos do szeptu – zet-wu-eł-o-ka-a-ce-ha.

Linda zerknęła w stronę kelnerki, która przyglądała im się z wyraźnym zainteresowaniem.

– Okej, może faktycznie. Już wiem, co będziemy robić, kiedy wypijemy kawę, a ja zjem jeszcze jeden kawałek tarty – oznajmiła z szerokim uśmiechem, po czym położyła telefon przed oczami patologa. – Przyjrzyj się czwartemu zdjęciu.

Organek zbliżył smartfon do oczu i dwoma palcami powiększył obraz. Patrzył na rozpixselowane zdjęcie przedstawiające fragment elewacji opuszczonego budynku, a im dłużej się w nie wpatrywał, tym więcej zmarszczek znaczyło jego czoło.

– Gdzie to jest? – zapytał szeptem.

– Całkiem niedaleko, maksymalnie godzina jazdy samochodem. Jeśli nie wierzysz w zbiegi okoliczności, to musisz przyznać, że chyba jednak ta runa dała nam całkiem sporo.

Jeremi Organek w zbiegi okoliczności nie wierzył, a runa życia na zdjęciu wyglądała dokładnie tak jak ta, która zdobiła klucz bezpiecznie spoczywający w próbowni.

Drugi kawałek tarty zniknął w ustach Lindy równie szybko jak pierwszy, co rzeczywiście było godne podziwu, zważywszy, że usta te ani na chwilę nie przestawały mówić.

– Zawsze fascynowała mnie historia, szczególnie ta dotycząca królewskich rodów i ich gierk – szczebiotała dziewczyna między kolejnymi kęsami ciasta. – Bitwy, walki, jakieś powstania nieszczególnie, ale taki Henryk VIII albo te zwyrole naziści. Normalnie aż żałuję, że nie byłam sędzią w Norymberdze, bobym ich wszystkich wysłała do Afryki i kazała im sadzić lasy deszczowe. Miałam też kiedyś pomysł, żeby pojechać do Ameryki Południowej i szukać ukrywających się hitlerowców.

Organek słuchał jej z zainteresowaniem. Dawno już nie miał okazji rozmawiać z przedstawicielami młodszego pokolenia i wyglądało na to, że nie wszyscy młodzi są skrajnie głupi, nieoczytani i wiedzę czerpią z popularnych portali internetowych.

– Wiedziałeś, że w Paragwaju nadawano dzieciom imię Hitler? Ja wszystko rozumiem, Jezusów tam jak mrówek, ale Hitler? Chyba umarłabym ze wstydu albo od razu zmieniła płeć razem z imieniem. – Przerwała, bo najwyraźniej zaschło jej w gardle, i pociągnęła solidny łyk kawy. – Słuchaj, Jeremi, a ty dlaczego zostałeś patologiem? Kara jakaś? Gdybyś został chirurgiem, zarabiałbyś krocie na powiększaniu biustów, penisów i odsysaniu tłuszczu.

– Dlaczego uważasz, że moja praca jest gorsza od odsysania tłuszczu?

– Ja wcale tak nie uważam, ale raczej nie otworzysz prywatnej kliniki dla sztywniaków, bo nie miałby ci kto zapłacić za usługi.

– Historycy chyba też zbyt dobrze nie zarabiają? – zapytał bez cienia złośliwości.

– Gorzej już chyba nie można. Właśnie dlatego postanowiłam założyć blog, potem zdobyłam patronów i sponsorów, a pewnego dnia może ktoś zainwestuje w jakiś program dla tivi. A ty nigdy nie myślałeś o karierze w showbizie? Facjatę masz jak ta lala, więc miałbyś mnóstwo fanek.

– Jakoś nigdy mnie nie ciągnęło. Zdecydowanie wolę obcować z ludźmi, którzy niewiele mówią.

Linda ściągnęła brwi, odbierając słowa Jeremiego jako osobisty afront.

– Skoro nie odpowiada ci moje towarzystwo, to nie ma sprawy, nie będę się narzucać. Chciałam ci pomóc, a to oznacza, że albo bierzesz mnie z dobrodziejstwem inwentarza, albo wcale.

– Wybacz, nie zamierzałem cię urazić, twój słowotok wcale mi nie przeszkadza. Miałem na myśli tych wszystkich celebrytów taplających się w samouwielbieniu. A co w nich takiego wspaniałego? Po śmierci rozkładają się

tak samo jak wszyscy inni, a niekiedy nawet gorzej przez te ich implanty i ulepszacze.

– Kroileś kiedyś jakiegoś celebrytę? – W oczach Lindy pojawił się błysk zaciekawienia.

– Kilkoro, owszem. I dlatego twierdzę, że żadni z nich nadludzie.

– Opowiedz? – emocjonowała się dziewczyna. – Chociaż troszeczkę, tyci, tyci?

Jeremi pokręcił głową. Mimo że jego szef zdawał się hołdować zupełnie innym zasadom, dla Organka etos pracy był najważniejszym kodeksem, którego złamanie uznawał za grzech cięższy od śmiertelnego. Nie było na tym świecie siły, która zmusiłaby go do ujawnienia sekretów powierzonych mu przez zmarłych, nawet celebrytów.

Linda poczuła lekki zawód, któremu dała wyraz głośnym cmokaniem. Nie oznaczało to jednak, że zamierzała się poddać, kiedyś w końcu to z niego wyciągnie.

– No dobrze, najadłam się – oznajmiła. – Możemy ruszać. Gdzie masz samochód?

– Po drugiej stronie miasta, pod domem – odpowiedział.

– Właściwie to całkiem dobrze się składa, tobie też przyda się zmiana stroju, bo w tej koszulce za bardzo rzucasz się w oczy. Wystarczy, że twoja twarz zwraca uwagę wszystkich kobiet.

– Twary nie zmienię! – zastrzegł stanowczo.

– Zawsze możesz czymś ją zakryć – poradziła Linda. – Chodźmy, zanim zastanie nas wieczór, wolałabym nie kręcić się tam po ciemku.

Opuścili przytulną kawiarenkę ku rozczarowaniu kelnerki, doskonale bawiącej się w podsłuchiwanie. Poza tymi dwojgiem w lokalu nie było nikogo, więc przynajmniej miała rozrywkę.

Linda zamówiła taksówkę, która podjechała niemal natychmiast i zawiozła ich pod adres wskazany przez Jeremiego. Osiedle wyglądało na nowe, co w jakiś sposób wydało się dziewczynie nieodpowiednie.

– Tutaj mieszkasz? – zapytała, rozglądając się dookoła. – W życiu bym cię o to nie podejrzewała.

– Dlaczego? – zdziwił się medyk. – Osiedle jak osiedle, cóż w nim wyjątkowego?

– Ty jesteś wyjątkowy i pasujesz tu jak pięść do nosa. Na takim osiedlu mieszkają milenialsi albo studenci, których rodzice śpią na pieniądzach.

– A ja powinienem mieszkać w kostnicy? – Organek się zaśmiał.

– Czy ja wiem... Bardziej myślałam o miejscu takim jak to, w którym jest próbnia. No wiesz: brudno, mroczno i straszno.

Jeremi pokręcił głową z politowaniem i ruszył do furtki. Mroczno i straszno, myślał rozbawiony, a przecież taki miły ze mnie gość.

Weszli na podwórko, które ciągnęło się wzdłuż bloku. Było kilka minut po dwunastej, większość mieszkańców przebywała w pracy lub w szkole, nie spotkali więc żywego ducha. Jeremi zatrzymał się przed wejściem do trzeciej z kolei bramy i skinął na Lindę.

– To tutaj – poinformował. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci brak windy, niestety w czteropiętrowcach ich nie wstawiają.

Linda wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać zarówno zgodę, jak i niezadowolenie.

Mężczyzna otworzył drzwi kluczem i zaprosił dziewczynę do środka.

– Czwarte piętro, mieszkanie po prawej – poinstruował.

Przyjemny chłód czystej klatki schodowej sprawił Lindzie radość. Przeskakiwała po dwa stopnie, dzięki czemu znalazła się na górze znacznie szybciej niż jej gospodarz. I znacznie szybciej niż on zrozumiała, że czeka na nich kolejna niespodzianka.

JA OD TEGO UMYWAM RĘCE



Mieczysław Kurzawa wypalił pół paczki papierosów naraz i już mu się zaczynało kręcić w głowie od nadmiaru nikotyny. Z rosnącą niecierpliwością zerkał co chwilę na drzwi swojego gabinetu, jakby mogło to cokolwiek zmienić.

Kiedy jego komórka zaczęła wibrować, rzucił się na nią, ale ręce tak mu się trzęsły, że nie mógł trafić w zieloną słuchawkę. Zaklął brzydko, a nawet bardzo brzydko, zapalił kolejnego papierosa i oddzwonił.

– Gdzie jesteś? – warknął, kiedy ktoś odebrał połączenie. Słuchał odpowiedzi, wydychając nerwowo dym, po czym się rozłączył.

Po kilku minutach z korytarza dobiegł go odgłos zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł mężczyzna wyglądający jak żywcem wyjęty z programu o kulturystach. Jego jasne włosy wyraźnie odcinały się od opalonej na pomarańczowy brąz twarzy, a w niebieskich oczach kryła się nieufność. Wyraźnie zarysowana, wysunięta do przodu szczęka sprawiała, że przypominał wiecznie wściekłego psa.

– Melduj! – rozkazał Kurzawa, nie bawiąc się w powitania.

Przybyły stanął na baczność i złożył meldunek:

– Pojechali do starej kamienicy i przez chwilę ich nie było. Dziewczyna wyszła w sukience, a potem poszli do kawiarni. Pojechałem do jego mieszkania, ale niczego nie znalazłem.

– Zupełnie niczego?

– Niczego. Tak jakby nigdy się nie znali.

– To niemożliwe – ocenił szef patologów. – Gdzie są teraz?

– Wrócili do jego mieszkania.

– Czyli muszą się znać. Nikt, a zwłaszcza ten dziwak Organek, nie zaprasza obcych ludzi do domu.

Osiłek skinął głową, zgadzając się z tą teorią. Dziwaczna para nie sprawiała wrażenia obcych sobie ludzi, ich zażyłość wyraźnie temu przeczyła.

– Trzeba będzie ich obserwować, na pewno coś knują. Musisz pojechać do mieszkania dziewczyny – zdecydował Kurzawa.

– Ktoś już je obserwuje, nie martw się. Jak tylko jej współlokatorka wyjdzie, wszystko sprawdzimy.

– Cholera jasna – syknął siwy wąsacz, kiedy popiół z papierosa spadł mu prosto na czarne spodnie. – Trzeba znaleźć wszystko i zabezpieczyć. I nie życzyć sobie żadnych więcej wtop.

– Tak jest – potwierdził blondyn o rozmiarach Hulka Hogana. – To się już nie powtórzy.

– Czy ja chcę wiedzieć, co z nią zrobiliście?

– Nie, szefie, wszystko jest załatwione.

Kurzawa odwrócił się do biurka i zgasił niedopałek w pełnej popielniczce. Wziął kolejnego papierosa, ale nie zapalił go od razu. Zamiast tego odwrócił się do górującego nad nim mężczyzny i wycedził:

– Chcę wiedzieć o każdym ruchu dziewczyny. Macie przetrząsnąć wszystkie miejsca, w których się pojawi ona lub Organek. I ostrzegam: jeszcze jeden błąd i będziecie się tłumaczyć przed najwyższym. Ja od tego umyвам ręce.

Blondyn spuścił głowę i w milczeniu czekał na pozwolenie odmeldowania się, które jednak wciąż nie nadchodziło. Siwowłosy profesor usiadł w fotelu i zapalił cienkiego papierosa.

– Jeżeli włos spadnie jej z głowy, nie rękę za siebie – wycedził głosem tak zimnym, że nawet nieboszczyk by się wzdrygnął. – Zrozumiałeś, Seifert?

– Zrozumiałem – szepnął olbrzym.

– *Herauskommen!** – rozkazał Kurzawa.

Mężczyzna odwrócił się i niemal wypadł z drzwiami, tak mu się śpieszyło.

* *Herauskommen* (niem.) – wyjść.

NIE OSZALELIŚMY



– Co się stało? Drzwi też mam nieodpowiednie? Spodziewałaś się desek trumiennych? – zażartował Jeremi, wstępując na piętro.

– Zdaje się, że powinny być zamknięte. A nie są.

Jeremi spojrział na uchylone drzwi i zdębiał. Rzeczywiście, powinny być zamknięte, akurat o tym nigdy nie zapominał.

– Ostrożnie – szepnęła Linda. – Tam ktoś może być.

Organek delikatnie pchnął drzwi i na wszelki wypadek natychmiast się cofnął. Nic się nie wydarzyło, więc można było przypuszczać, że żaden złodziej nie czai się za progiem. Starając się nie hałasować, wkroczył do środka i chwycił stojący pod ścianą parasol – wyglądał na solidny, a jego metalowy szpic mógł służyć za ewentualną broń.

Poruszał się na palcach, trzymając oręż obiema rękami. W mieszkaniu panowała cisza, ale nie musiało to wcale oznaczać, że nikogo w nim nie ma. Organek zajrzał do wszystkich pomieszczeń, dla pewności poszurał parasolem także pod łóżkiem i dopiero wtedy zawołał Lindę.

Dziewczyna zmaterializowała się niemal natychmiast i wybałuszyła swoje naturalnie wielkie bursztynowe oczy.

– O matko z córką i papieżu z październiku! – Gwałtownie wciągnęła powietrze na widok panującego w mieszkaniu kipiszu. – Jeśli mi powiesz, że to twoja robota, bo lubisz żyć w kontrolowanym chaosie, to zmieniam o tobie zdanie i odwołuję ofertę pomocy dożywotnio!

Jeremi odstawił parasol do stojaka i zamknął drzwi na zamek. Podrapał się po głowie, a na jego przystojnej twarzy malowało się zdumienie.

– Ja... ja nie wiem, jak to wytłumaczyć – bąknął zawstydzony.

– To może ja ci powiem, bo chyba już wymyśliłam: ktoś włamał się do twojego mieszkania, bo czegoś szukał. I o ile nie trzymasz milionów w skarpecie, to nie po pieniądze tu przyszedł.

– Wszystkie sprzęty są na swoim miejscu, z kuchni też nic nie zginęło – gorączkował się Organek. – Czego ten ktoś mógł tu szukać?

– Oesu, ale z ciebie wolnomyśliciel! – zestrofowała go Linda. – A czy to przypadkiem nie ty sam uznałeś klucz za istotny i założyłeś, że ktoś będzie go szukał?

– No tak... Ale przecież nie mogłem schować go w domu, skoro w domu mnie nie było?

– Widocznie mamy do czynienia z jakimś wyjątkowo tępym włamywaczem, któremu logika jest obca. Tym lepiej dla nas!

– Ale to oznacza jeszcze jedną rzecz, Lindo.

– Tak?

– Ten ktoś, Einstein czy nie, wie, że mam klucz.

– PODEJRZEWA, że masz klucz – poprawiła go dziewczyna. – Gdyby miał pewność, to przede wszystkim zaczekałby tu na ciebie, żeby się dowiedzieć, co z nim zrobiłeś.

– Być może masz rację – zgodził się niechętnie. – Ale to oznacza także, że wie, gdzie ów klucz mogłem znaleźć, czyli...

– ...czyli wie o znikniętych zwłokach – dokończyła Linda. – To dowodzi, że nie oszaleliśmy, więc już nie musisz zastanawiać się nad swoim stanem psychicznym.

Jeremi usiadł na kanapie, starając się nie przygnieść niczego, co mogłoby pęknąć pod jego ciężarem. Oparł się o poduszkę i pogrążył w zadumie.

– To dowodzi jeszcze jednej rzeczy – odezwał się po chwili. – Ktoś, kto wiedział o kluczu, musiał także wiedzieć, że kobieta go połknęła, więc prawdopodobnie wie, co to za klucz.

– Tak, to samo przyszło mi do głowy – przyznała Linda. – A skoro połknięcie klucza przyczyniło się do jej śmierci, to możemy również założyć, że nasz włamywacz widział, jak umierała. Zastanawia mnie tylko, po co przywłókł ją do prosektorium w publicznym szpitalu.

– Mogę jedynie zgadywać, że hołdował zasadzie „najciemniej pod latarnią”. Gdzie bez zwracania niczyjej uwagi można grzebać w zwłokach?

– Racja! – wykrzyknęła dziewczyna. – Tylko skoro nie ty miałeś w nich grzebać, to dlaczego ktoś zostawił je na twoim stole?

Jeremi gwałtownie się wyprostował, a w jego oczach pojawił się zaskakujący błysk.

– Chyba wiem, co tu się wydarzyło – rzucił szybko.

– Chętnie zostanę zalana blaskiem olśnienia.

– Co? – Jeremi nie zrozumiał. – A, blaskiem. No tak... Co ja...?

– Że chyba już wiesz, co się wydarzyło – odpowiedziała oczekująca na olśnienie Linda.

– Przypuszczam, że wiem, ale nie jestem pewien, czy to ma sens. Powiedziałaś, że ktoś zostawił zwłoki „na moim stole”. A to niezupełnie prawda. Ja nie jestem jedynym anatomopatologiem w szpitalu, łącznie z Kurzawą jest nas siedmioro i pracujemy na zmiany. Dziś zgodnie z grafikiem na rannej zmianie miał być mój kolega, ale coś mu wypadło, potrzebował z kimś się zamienić, więc się zgodziłem.

Linda przysiadła na oparciu kanapy i wpatrywała się w oczy Jeremiego.

– Ja nie wiem... – Pokręciła głową. – Ja naprawdę nie wiem, jakim cudem ty jeszcze chodzisz po tym świecie. Nieogar z ciebie, że klękajcie narody! Nie widzisz, że to jest bardzo ważny trop?

– No... teraz jakby widzę... – mitygował się Organek.

– Dobrze, że teraz, a nie kiedy ktoś cię na ten stół podrzuci – parsknął rudzielec. – Trzeba dorwać tego twojego kolegę, bo wygląda mi na umoczonego.

– Marek?! Ależ nie ma takiej możliwości! To porządny facet i ręczę za niego własną głową.

– Czyli trafisz na stół szybciej, niż ustawa przewiduje, w dodatku zdekapitowany. Dzwonź do niego! – rozkazała. – Przekonamy się, czy on też będzie robił z ciebie wariata.

Jeremi niechętnie sięgnął do kieszeni po telefon, a następnie wybrał numer kolegi. Usłyszał pocztę głosową, rozłączył się więc bez zostawiania wiadomości.

– Mogę zadzwonić do jego żony – zaproponował nieśmiało, wciąż granitowo pewny, że Linda jest w wielkim błędzie, a całą sytuację da się logicznie wytłumaczyć.

Wybrał numer małżonki kolegi i po chwili przywitał się z nią grzecznie:

– Dzień dobry, Aniu, bardzo przepraszam, że cię niepokoję, ale nie mogę dodzwonić się do Marka. Wiesz może, jak go złapię?

Przez kilkanaście sekund słuchał odpowiedzi po drugiej stronie słuchawki, po czym podziękował i się rozłączył.

– No? – ponagliła go Linda, nie spuszczając oczu z odrobinę pobladłej twarzy Jeremiego.

– Podobno jest w pracy. Od rana – powiedział cicho.

– A ja jestem aniołkiem Victoria's Secret – prychnęła Linda.

Jeremi nie wiedział, kim są aniołki Victoria's Secret, domyślił się jednak, że Linda do nich nie należy. Czarne myśli zasnuły jego wysokie czoło, przez co nagle się postarzał. I równie nagle opuściły go wszystkie siły.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, powinniśmy natychmiast ruszać – zaordynowała dziewczyna. – Musimy zdążyć przed zachodem słońca, bo po ciemku tam nie wejść – zastrzegła.

Orgonek podniósł się z kanapy i odkleił od pleców koszulkę, która przyłgnęła do nich w mgnieniu oka. Nie od upału tak się spocił, rzadko kiedy bowiem upał wywołuje lodowate poty i sprawia, że żołądek podchodzi do gardła. Dzieje się tak natomiast wtedy, gdy człowiek zaczyna się bać. A Jeremi zaczął bać się nie na żarty, tym bardziej że jego krąg zaufanych osób momentalnie się skurczył.

TO NIE MUZEUM



– TO jest twój samochód?! – Mina Lindy zdradzała, że nie tylko nie spodziewała się takiego obrotu spraw, ale w najśmielszych marzeniach nie przyszło jej do głowy, że w garażu niepozornego, acz ździebko ekscentrycznego patologa może stać takie чудо.

– No... tak... A coś z nim nie w porządku?

– Nie w porządku?! Człowieku! Ja całe życie marzę, żeby taki skarb zobaczyć, może trochę pomagać, bo o przejażdżce nim nie śmiałam nawet fantazjować!

Po zdjęciu czarnego pokrowca udekorowanego gustownymi pirackimi insygniami niewielki garaż rozświetlił się blaskiem, którego źródłem był mercedes-benz 280 SL cabriolet w kolorze tunis beige. Linda z czułością pogładziła wypolerowane na błysk chromowane detale, po czym zajrzała do środka i głośno wciągnęła powietrze.

– Nie gadaj, że masz tu oryginalne radio!!! – wykrzyknęła, a oczy niemal wyszły jej z orbit.

– Becker grand prix z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego – odparł z szerokim uśmiechem Jeremi. Po raz pierwszy w życiu ktoś, w dodatku zupełnie niespodziewany ktoś, podzielał jego pasję. – I działa.

– Jasny gwint, ale cacuszko!

Organek wyglądał, jakby zaraz miał pęknąć z dumy. Coraz bardziej podobała mu się ta dziewczyna. Nie była głupia, miała bystry umysł, odwagi mógłby jej pozazdrościć niejeden mężczyzna, a w dodatku znała się na motoryzacji. Niebywałe!

– To co, jedziemy? – zapytał patolog i otworzył drzwi od strony pasażera. – Pani pozwoli.

Linda pozwoliłaby mu teraz nawet wywieźć się do lasu i zostać w nim porzuconą, sama bowiem możliwość posadzenia tylnego aspektu swojej rudej

osobowości na fotelu tego zjawiska stanowiła dla niej wystarczającą nagrodę. Nagle jednak, tknięta niespodziewanym przebłyskiem geniuszu, powstrzymała rozpierającą ją potrzebę wepchnięcia tylnego i każdego innego aspektu do pojazdu i spojrzała na Jeremiego:

– Chyba nie jedziemy... – stwierdziła cicho. – A przynajmniej nie powinniśmy jechać tym autem.

– Ależ ono jest idealnie sprawne! – zaprotestował Organek.

– Nie o to chodzi, Jeremi. Aż mnie skręca, żeby wyjechać tym na drogę, ale działamy trochę incognito, a to auto wyróżni nas z tłumu.

– Racja... – Mężczyzna się zasępił. – Niestety innego nie mam.

– Nic nie szkodzi, wypożyczymy – zdecydowała Linda, po czym obrzuciła samochód ostatnim, pełnym żalu spojrzeniem.

Jeremi założył piracki pokrowiec z powrotem na pojazd i oboje opuścili garaż. Czas uciekał, musieli więc nieco zdynamizować działania, bo rzeczywiście groziło im odwiedzenie Mokrzyszowa po zmroku. I choć ani jedno, ani drugie nie bało się spotkania z duchami, brak światła mógłby skutecznie utrudnić odnalezienie interesujących ich symboli.

Wypożyczenie samochodu zajęło im marne czterdzieści minut, z czego lwią część pochłonęła kłótnia o model. Jeremi upierał się przy typowo miejskim, Linda koniecznie chciała zaszaleć.

– Nie macie jakiegoś porsche? Albo ferrari? – marudziła, przeglądając ofertę.

– Jasne, że mamy. Pokazać? – Facet za kontuarem niemal podskoczył ze szczęścia.

– I niby jak porsche ma być lepsze do mojego Kazika? – zapytał Organek z nutą kpiny.

– Nazwałś samochód „Kazik”? O jeryny, ty naprawdę jesteś wyjątkowy, nawet wśród wyjątków... – Linda pokręciła swoją rudą głowę i cmoknęła z niezadowoleniem. – No dobra, weźmy tę yaris, niech stracę.

Cena za wypożyczenie toyoty yaris była całkiem znośna, więc dla bezpieczeństwa wypożyczyli ją na trzy doby. W końcu nie wiadomo, czy wycieczka do Niemiec nie okaże się konieczna, a zawsze to lepiej mieć pod ręką środek lokomocji.

Przebili się przez jak zawsze zakorkowany o tej porze dnia Wrocław, na A4 nie było wcale lepiej, jakby się wszyscy uwzięli, a na krajowej trzydziestce piątce posuwali się ruchem jednostajnym zwalniającym, co chwilę zgrzytając zębami. Prowadziła Linda, a to oznaczało, że zgrzytanie zębami od czasu do

czasu przybierało na sile, a gdy już nie wystarczało, pojawiały się wiązanki przekleństw, niekiedy wyjątkowo wybrednych.

– Jasna twoja skórkowana chędożona zbyt rzadko mać! – syczała na kierowcę jadącej przed nimi skody, który nagle wyhamował do zera i postanowił skręcić na pole, bo zobaczył stragan z truskawkami. – Jełopie ty niemyty! – wrzasnęła do mężczyzny, otworzywszy okno. – Mam nadzieję, że dostaniesz uczulenia na te pryskane truskawki i nie wyjdiesz z kibla przez dwa dni!

– To całkiem prawdopodobne – ocenił Jeremi. – Truskawki są bardzo silnym alergenem.

– I bardzo dobrze. Prawo jazdy zrobił na traktorze i wydaje mu się, że może jeździć po drogach publicznych!

– Zasadniczo może – powiedział cicho Organek, zanim ugryzł się w język.

– A tobie przypadkiem życie niemiłe? Nie wiesz, że nie wolno denerwować kierowcy, bo może cię dowieźć na tamten świat?!

– Wybacz, przepraszam, taki odruch...

– Odruch to ja mam, wymiotny, jak widzę tych wszystkich niedzielnych kierowców. Kto im dał prawo jazdy?!

Utyskiwania Lindy trwały jeszcze kilka minut; na swoje szczęście Jeremi nic więcej nie powiedział, rozsądnie założywszy, że dziewczyna musi spuścić z siebie parę. Kiedy już się uspokoiła, podróż zrobiła się znośna i w niespełna półtorej godziny dojechali na miejsce.

Przy głównej ulicy w niewielkiej wsi, oddalonej zaledwie o dziesięć kilometrów od Świdnicy, zalany promieniami słońca pysznił się wzniesiony z żółtej cegły budynek. Otoczony bujnym parkiem potężny neogotycki pałac, którego bryła wyraźnie górowała nad okolicą, dopiero z bliska straszyl powybijanymi oknami i równocześnie zachwycał architektonicznymi detalami.

– Nie wygląda jak pałac – stwierdził Jeremi, zadzierając głowę. Niszczący gmach budził w nim równocześnie podziw i żal.

– No bo to żaden pałac. To szpital, albo raczej sanatorium – wyjaśniła Linda. – W tysiąc osiemset osiemdziesiątym właściciel tutejszych ziem, ostatni z rycerskiego rodu Jacobi-Klöst, panów na Mokrzyszowie, umarł bezpotomnie, a część swoich dóbr zapisał suwerennemu zakonowi kawalerów maltańskich.

– Joannitom? – upewnił się Organek, bo swojej wiedzy historycznej nie był całkiem pewien.

– Tak, joannitom. – Linda spojrzała na Organka z uznaniem. – I właśnie oni, szpitalnicy, sześć lat później wzniesli tenże gmach w celu stworzenia tu

szpitala i ośrodka sanatoryjno-wypoczynkowego. Pełnił swoją funkcję do połowy lat dwudziestych dwudziestego wieku, kiedy to zakon popadł w tarapaty finansowe i musiał sprzedać posiadłość.

– Skąd więc nazwa „pałac”?

– Skoro byli rycerze, był i pałac. Spójrz tam, jakieś dwieście, trzysta metrów dalej. – Wskazała ręką na południe. – Tam stał piękny barokowy pałac, a dziś mieści się w nim zespół szkół rolniczych.

– Typowe... – skwitował Jeremi. – Albo spichlerz, albo szkoła rolnicza. Tak kończyło nasze dziedzictwo narodowe.

Linda wzruszyła ramionami, bo na temat idiotycznych decyzji i marnowania architektonicznych perełek miała swoje bardzo mocno skryształizowane zdanie, ale jej zszargane wcześniej nerwy potrzebowały choć chwili odpoczynku.

Ruszyli na teren kompleksu, zadzierając głowy, żeby przyjrzeć się elewacji gmaszyska, kiedy nagle zostali zatrzymani.

– A państwo dokąd się wybierają? – zagrzmiął głos gdzieś za nimi.

Odwrócili się natychmiast i ujrzeli zgarbionego siedemdziesięciolatka, który przyglądał im się spod krzaczastych brwi.

– Zwiedzać chcieliśmy – odpowiedziała Linda natychmiast, przywołując na usta olśniewający uśmiech zarezerwowany na specjalne okazje.

– To nie muzeum – warknął dziadzio. – To teren prywatny, wstęp wzbroniony.

– Napraaaaaawdę? – Dziewczyna wybałuszyła oczy i zrobiła taką minę, że nawet Jeremi uwierzył w jej zaskoczenie.

– Naprawdę. Zbierajcie się, możecie zwiedzać wieś.

Linda już otwierała usta, żeby powiedzieć temu mało uprzejmemu człowiekowi, co sobie może zrobić ze swoją radą, ale Organek ścisnął jej rękę.

– Chodź, córeczko – powiedział miękko. – Nie będziemy panu przeszkadzać. Przepraszamy za pomyłkę.

Pociągnął dziewczynę w kierunku samochodu, czując na plecach przenikliwe spojrzenie staruszka.

– Co to miało być?! – syknęła Linda. – Córeczka? *Lolity* się naczytałeś?!

– Ćśśśśś – upomniał ją Jeremi. – Chodź szybciej, musimy stąd odjechać.

– Kiedy ja nie chcę stąd odjeżdżać, chcę znaleźć runę! – protestowała dziewczyna, wciąż ciągnięta jak niesforne dziecko.

– Znajdziesz, uspokój się. Widziałaś, co ten facet miał na szyi?

Linda zatrzymała się i patrzyła na Organka, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

– Na szyi? Czyżbym nie zauważyła koloratki? – zastanawiała się.

– Nie, Lindo. Mówię o wisiorku z symbolem identycznym z tym na naszym kluczu.

Nagle nogi rudzielca same nabrały rozpędu i gnały do samochodu, jakby się paliło.

– Nie ociągaj się, tato! – krzyknęła przez ramię. – W krzakach sikać nie będę!

NAJLEPSZE PLANY SĄ SPONTANICZNE



Tym razem za kierownicą usiadł Jeremi, co było o tyle zrozumiałe, że żaden normalny ojciec nie pozwoliłby prowadzić samochodu córce, chyba że cierpiałby na paraliż. A, skądinąd całkiem rozsądnie, Jeremi bardzo chciał, żeby krzaczastobrewy staruszek zapamiętał go jako zupełnie normalnego ojca tylko trochę nienormalnej córki.

– Musimy odjechać – zdecydował bezdzienny tatuś, kiedy nadąsana Linda zajęła miejsce na fotelu pasażera.

– Ale chyba nie musimy jakoś bardzo daleko? Wystarczy, że znikniemy ze światopoglądu cerbera i obmyślimy dalszy plan.

Organek skinął głową, odpalił silnik i ruszył w głąb wsi, spoglądając we wsteczne lusterko. Pilnujący terenu dawnego szpitala mężczyzna odprowadził ich wzrokiem, aż toyota yaris zniknęła za zabudowaniami Mokrzeszowa.

– Zdaje się, że trudno będzie dostać się do środka – stwierdził patolog. – To chyba prawda z tą prywatną własnością.

– A czy my chcemy komuś tę własność odebrać? Większych szkód już nie narobimy, ten budynek wygląda jak ruina. – Linda grzebała w telefonie komórkowym, nerwowo przygryzając dolną wargę. – Bla, bla, bla... kupił ktoś tam, bla, bla, komornik go ścigał, bla, bla, bla, bla, bla, odkupiła gmina i wystawiła na sprzedaż. Półtora miliona? Jak za darmo!

Organek zerknął na rozemocjonowaną dziewczynę i uniósł brwi.

– A co? Masz tyle? – zapytał z rozbawieniem.

– Ja nie mam, ale na pewno są ludzie, którzy mają.

– Z całą pewnością jest wiele takich osób, wystarczy zajrzeć do „Forbesa” i znaleźć ich nazwiska, ale obawiam się, że mogą nie być zainteresowani kupnem zrujnowanego szpitala.

– Powinieneś mieć trochę więcej wiary w ludzi, Jeremi – pouczyła go dziewczyna. – Jest całkiem spora grupa zapaleńców, którym zależy na dobru

narodowym.

– Pod warunkiem że to dobro nazywa się polski złoty denominowany na koncie na Kajmanach – skwitował kwaśno. – O, zobacz, może tu się zatrzymamy?

Minęli gotycki kościół pod wezwaniem Świętej Jadwigi, u którego stóp znajdował się dawny cmentarz otoczony fragmentarycznie zachowanym kamiennym murem. Tuż za nim rozciągał się obecny cmentarz i obok niego postanowili zaparkować samochód.

Żeby dodatkowo usprawiedliwić swoją obecność w tym miejscu, Linda kupiła dwa znicze i zapaliła je na przypadkowych grobach, a następnie ruszyli piechotą wzdłuż wsi, rozglądając się ciekawie.

– Mamy jakiś plan? – zagadnął Jeremi, który nie pamiętał już nawet, kiedy ostatnio spacerował bez żadnego celu.

– Jeszcze nie, ale najlepsze plany są spontaniczne.

– Pierwszy raz o takich słyszę, ale niech ci będzie – stwierdził Jeremi. – Ja bym spontanicznie czegoś się napił.

– No i widzisz? Miałam rację. Dopóki tego nie powiedziałaś, to nawet nie wiedziałam, że tak bardzo chce mi się pić. A tu spontanicznie pojawił się plan.

Po kilkunastu metrach trafili na sklep, nabyli więc w drodze kupna odpowiednią ilość zabutelkowanej cieczy zawierającej zbyt dużą ilość cukrów i substancji, o których istnieniu mało kto wie, po czym postanowili skosztować ją na łonie natury i usadowili się na czyjejs łące.

Na reakcję miejscowych oczu i uszu długo nie musieli czekać. Najpierw niepozornie wyglądająca postać o nieokreślonej płci zaczęła z wyjątkową wnikliwością liczyć dziury w asfalcie, za punkty orientacyjne obierając sobie dwa słupki stojące wzdłuż pobocza. Jeremi początkowo nie zwrócił na postać uwagi, ale bystre oko Lindy natychmiast dostrzegło w niej źródło informacji.

– Jesteśmy obserwowani – szepnęła półgębkiem. – Autochtoni wzięli nas na celownik.

– Będą do nas strzelać?

– Czekaj, strategię obmyśl. Udawaj, że nie widzisz.

Organek ostentacyjnie odkręcił nakrętkę butelki z oranżadą, po czym jeszcze bardziej ostentacyjnie wydudlił połowę jej zawartości, przyglądając się przyglądającemu spod zmrużonych powiek.

– Aha, będzie atak – ocenił, otarłszy usta przedramieniem. – Dalej udaję?

– Jesteś ślepy, głuchy i w ogóle lekko niedorozwinięty, a choćby się o ciebie przewrócił, to powiesz, że powietrze było jakieś gęste.

– A ty też jesteś niedorozwinięta? – zainteresował się. – W końcu to może być dziedziczne.

– Ja dziedziczę po mamusi i jestem bystra jak woda w klozecie o poranku.

Jeremi powstrzymał się przed prychnięciem, bo postać zbliżała się do nich ruchem żmijowym, pewnie dla niepoznaki. Z bliska zyskała także płeć, ku radości Lindy – właściwą.

– Dzień dobry pani! – Rudzielec wyszczerzył się i zaczął machać ręką w kierunku kobiety.

– Dzień dobry – odpowiedziała odruchowo, ale nie podeszła bliżej.

– Piękny dzień dzisiaj mamy! – Linda bez problemu weszła w rolę bystrej córki niedorozwiniętego ojca. – Niech się pani nie boi, my nie gryziemy. Tak sobie tutaj odpoczywamy po długiej podróży.

– Z Wrocławia to chyba niezbyt długa ta podróż – odparła kobieta, wykazując się doskonałą znajomością tablic rejestracyjnych.

– A nie, my z Lublina, tylko auto mamy w leasingu – kłamała jak z nut dziewczyna.

Kobieta najwyraźniej nie zrozumiała, co oznacza słowo „leasing”, ale brzmiało wystarczająco egzotycznie, żeby mogło być z Lublina.

– A dokąd jadą? – Kobieta zbliżyła się o kilka kroków, wciąż jednak przyglądała się dwojgu obcych z nieufnością.

– Do Niemiec, do rodziny. Tatuś już niedomagający, z bliskimi chce się pożegnać, rozumie pani.

Linda szturchnęła tatusia, bo nie wyglądał ani trochę na niedomagającego, po czym Jeremi zaczął stękać i mamrotać. Brakowało tylko, żeby się ślinił.

– Na cmentarzu byli, szukali tam kogo?

– Grób pradziadka chcieliśmy odwiedzić, ale bramka zamknięta.

– A który to pani pradiadek?

Na to pytanie Linda czekała i dla niego tylko pozwoliła ciągnąć tę inwigilację.

– Herman Kurtz – odpowiedziała natychmiast.

Kobieta obrzuciła taksującym spojrzeniem siwą brodę Jeremiego, a następnie przyjrzała się rudej czuprynie dziewczyny. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę ulicy.

– Idą czy nie? Zaraz ciemno będzie, a mnie strach po mogiłach nocą chodzić.

Linda zerwała się na równe nogi i z nadmierną czułością pomogła podnieść się swojemu zniedołężniałemu ojcu, który utkwiał w niej pytające spojrzenie.

– Widziałam to nazwisko w artykule o grobach hitlerowców – szepnęła w odpowiedzi. – Główka pracuje, co?

Jeremi sam nie wiedział, czy pracująca główka Lindy budziła w nim aktualnie podziw, czy też obawę. W dodatku właśnie uznano go za potomka hitlerowca, co nie powinno stanowić powodu do dumy. Przypomniał sobie jednak, że jest trochę niedorozwinięty, a to oznaczało, że jednak jakaś sprawiedliwość dziejowa jest. Pamiętając, żeby nie ruszać się zbyt żwawo, podążył za Lindą, która z pewnością uknuła już kolejny spontaniczny plan.

ŻADEN ORGANEK MI NIE PRZESZKODZI



W pomieszczeniu panowała całkowita ciemność. Było tak zawsze, kiedy spotykali się w nim najwyżsi rangą członkowie organizacji, a choć znali nawzajem swoją tożsamość, mrok zabezpieczał ich przed ewentualnym wyciekami.

Na środku pięciobocznej sali stało pięć krzeseł, a kolejnych uczestników narady wprowadzało do pokojów dwóch mężczyzn z latarkami czołowymi na głowach. Wprowadzani mieli na oczach opaski, których nie wolno im było zdjąć, dopóki nie dostaną stosownego sygnału.

Mieczysław Kurzawa został wprowadzony jako ostatni, zajął miejsce na jedynym wolnym krześle i czekał, aż jego eskorta zamknie drzwi do pomieszczenia. Zdenerwowanie mężczyzny zdradzały poruszające się co chwilę wąsy i kropelki potu występujące na wysokie czoło.

Kiedy drzwi zamknęły się z głośnym zgrzytem, w pomieszczeniu zapanowała przejmująca cisza. Przez krótki moment pięciu mężczyzn siedziało na krzesłach, a ich pozbawione zmysłu wzroku mózgi przyzwyczajały się do obecnej dla nich sytuacji. Po chwili rozległ się niski baryton:

– Możecie zdjąć opaski.

Mężczyźni zsunęli z oczu paski czarnej tkaniny, niewiele to jednak zmieniło, gdyż do wnętrza pomieszczenia nie wpadał ani jeden promień światła. Okna zostały od środka zabite wiórowymi płytami, a na zewnątrz zapadł już zmierzch.

– Witajcie, generałowie – rozbrzmiał ten sam głos, odbijając się echem od ścian. – To nasze ostatnie spotkanie przed ceremonią, zatem czas na podsumowanie. Generale północny zachód, czy wszystko przebiega sprawnie?

– Tak, najwyższy dowódco – odpowiedział pierwszy z mężczyzn.

Kolejno w identyczny sposób na to samo pytanie odpowiedzieli generałowie północny wschód, centrum i południowy wschód. Generał nazwany

południowym zachodem, którym okazał się Mieczysław Kurzawa, odpowiedział inaczej.

– Z niewielkimi perturbacjami, ale wszystko będzie na czas – zabrzmiała jego odpowiedź.

Głos należący do najwyższego dowódcy nie odezwał się. Oznaczać to mogło tylko jedno, z czego Kurzawa doskonale zdawał sobie sprawę. Przełknął głośno ślinę i złożył wyjaśnienia:

– Udało mi się do niej dotrzeć, niestety pojawiły się nieprzewidziane okoliczności i nie mogłem przeprowadzić rozpoznania. Zapewniam jednak, że sytuacja jest opanowana i błąd zostanie naprawiony.

W pomieszczeniu rozległy się głosy, najpierw przyciszone, a następnie coraz głośniejsze, dopytujące o owe nieprzewidziane okoliczności. Kurzawa zacisnęła zęby, przeklinając w myślach, ale nie powiedział już ani słowa.

– Do ceremonii pozostały dwa tygodnie. Co zrobicie, jeśli znów pojawią się nieprzewidziane okoliczności?

Patolog milczał, bowiem odpowiedzi na to pytanie nie był w stanie udzielić, a „wezmę i się rozplączę” nie wchodziło w rachubę.

– Generale południowy zachód?! – ponaglił go głos, coraz bardziej surowy.

– Nic takiego się nie wydarzy – odparł Kurzawa, skupiając całą wolę na tym, żeby zabrzmiało to przekonująco.

– A jeśli? – Zniecierpliwienie w głosie najwyższego dowódcy stawało się niemal fizycznie wyczuwalne.

– Naprawdę nie ma się o co martwić.

– Do ciężkiej cholery, Mietek!!! – ryknął głos z któregoś krzesła. – A jak złamiesz nogę albo cię ktoś w tym szpitalu ebolą poczęstuje, to co wtedy?!

– Pamiętaj, że nie jestem sam, Andrzej – warknął Kurzawa, choć czuł, że przekracza granicę. – A od truposzy trzymam się z daleka.

– W prosektorium? Z daleka od truposzy? – zakpił inny głos.

– Zejdźcie ze mnie, okej? Skoro mówię, że wszystko ogarniam, to ogarniam. Dziewczyzna stawi się na ceremonii, choćby skały srały. I żaden Organek mi w tym nie przeszkodzi.

– Co powiedziałaś? – podchwycił najwyższy dowódca. – Organek?

– A taki jeden lamus, dziwak i odludek, zupełnie niegroźny – wyjaśnił inwigilowany. – Nim też już się zajęliśmy.

– Złóż dokładny raport i upewnij się, że żadne... skały już ci nie przeszkodzą – rozkazał baryton.

Gdzieś wysoko rozległy się miarowe kroki, po chwili umilkły i w pomieszczeniu znów zapanowała cisza. Dla siedzących na krzesłach pięciu mężczyzn był to znak, że powinni założyć na oczy opaski i czekać na eskortę. Zebranie zostało zakończone.

Kurzawa, zlany potem ze zdenerwowania i rozemocjonowany do granic możliwości, opaski nie założył. Dzięki temu po opuszczeniu ciemnej komnaty, w której odbywała się odprawa, udało mu się dojrzeć, jak jeden z żołnierzy strzegących wejścia na teren pałacu odprawia z kwitkiem rudowłosą dziewczynę i szpakowatego mężczyznę, którego twarzy co prawda nie mógł dostrzec, ale doskonale wiedział, że przypomina tę George'a Clooneya. Zgrzytnął zębami i spocił się po raz kolejny.

PRZEZ PŁOT, A PÓŹNIEJ PÓJDZIE ŁATWO



– Ciężko musi być z taką rodziną – zagadnęła ni stąd, ni zowąd kobieta, kiedy Linda znalazła się tuż za nią.

– Ciężko? – zdziwiła się dziewczyna. Faktycznie łatwo nie było, zwłaszcza kiedy okazywało się, że szanowny tatuś wziął sobie do serca piosenkę zespołu Atrakcyjny Kazimierz i jako mąż i nie mąż, a głównie jako nie mąż, hojnie rozsiewał swoje geny.

– Ojciec niemota, a dziadek morderca, to łatwo nie może być – wyjaśniła mieszkanka Mokreszowa.

– Aaaaa, o to pani chodzi! No co poradzić, geny to geny, rodziny się nie wybiera. Zaraz, zaraz. – Zatrzymała się nagle, z opóźnieniem zrozumiawszy sens usłyszanej informacji. – Morderca?

– A co się tak dziwi? Te wszystkie esesmany to mordercy byli, swołocz taka. A skoro pani dziadek tu leży, to i z niego żaden święty.

– Pradziadek – poprawiła ją Linda. – Dziadek to złoto nie człowiek, serce miał gołębie i plugastwem się brzydził.

– No, skoro tak mówi... – powątpiewała kobieta. – Ja tam nie wiem, ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby z wściekłej krowy się zdrowe cielę urodziło.

Dotarli do furtki i autochtonka dała Lindzie znak, żeby stanęła nieco dalej, ona sama zaś przystąpiła do walki w wihajstrem. Jeremi, wciąż udający niedorozwiniętego i w dodatku niedomagającego, doczłapał do wspólniczki i rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem.

– Nieźle się wczułeś – pochwaliła go Linda szeptem.

– Pardon?

– Mówię, że całkiem ładnie wszedłeś w rolę. Gdyby nie to, że nie mamy kamery, zasłużyłbyś co najmniej na nagrodę festiwalu w Gdyni.

– Że ja w rolę? Całkiem ładnie? – zdziwił się polski George Clooney, laureat nagrody dla najlepszego aktora *in spe*. – Noga mi zdrętwiała i ledwo na

niej chodzę.

Rudowłosa dziewczyna spojrzała na niego swymi bursztynowymi oczami, po czym jęła kręcić głową z politowaniem. Na szczęście w tym samym momencie furtka zgrzytnęła i szorstki głos przywołał ich do porządku:

– Szybko, niech wchodzą, zanim kto nas tu zobaczy.

Zgodnie z rozkazem przyspieszyli kroku, a gdy tylko przekroczyli umowną granicę cmentarza, ich przewodniczka z łoskotem zatrzasnęła furtkę. Linda wzdrygnęła się lekko, bo stare, niszczące nagrobki budziły dreszczyk grozy.

– Ten, którego szukacie, jest tam. – Kobieta wskazała ręką na grupę płyt nagrobnych wyglądających, jakby przytulały się do siebie.

Potomkowie Hermana Kurtza skierowali swe kroki w tamtą stronę, starając się przy okazji odczytać jak najwięcej z mijanych po drodze pomników. Nagle w oko Lindzie wpadło nazwisko von Miller, którym legitymowali się jej prawdziwi antenaci.

– Na co patrzy? – zagadnęła ją lokalna strażniczka ziem.

– Nie spodziewałam się tu tego nazwiska, myślałam, że wszyscy Millerowie od dziewiętnastego wieku byli spolszczeni.

– Ten nie Polak, to Niemiec, niech panienka zobaczy, że wszystko po szwabsku napisane.

Panienka zauważyła to już sama, a kiedy podeszła bliżej, dostrzegła coś jeszcze.

– Tatusiu! – zawołała. – Niech tatuś tu się dogramoli, coś ciekawego znalazłam.

Nietrudno się domyślić, że szybciej od tatusia przy boku Lindy zjawiła się ciekawska mieszkanka Mokrzeszowa, jakby jej głównym zadaniem było niedopuszczenie do wynoszenia sekretów wsi poza jej granice.

– Co takie ciekawe panience się zdało?

– Widzi pani datę śmierci? – Dziewczyna wskazała teatralnym gestem na sam dół płyty. – To strasznie ciekawe, bo moja cioteczna babka od strony matki zmarła dokładnie w tym samym dniu!

Kobieta zerknęła na Lindę ze zdziwieniem, które stopniowo ustąpiło miejsca zniesmaczeniu. Po chwili machnęła ręką i odeszła w głąb cmentarza.

– Jaka znowu cioteczna babka? – szepnął Jeremi, kiedy było to już bezpieczne.

– Nie wiem jaka, coś musiałam wymyślić. Patrz na symbol przy dacie śmierci.

Jeremi wyteżył wzrok i w mig pojął powód zaciekawienia swojej współpracownicy. Zamiast tradycyjnego krzyża datę zgonu Bernhardta von Millera oznaczono znaną im już odwróconą do góry nogami runą życia, innymi słowy: runą śmierci.

– I co, dalej uważasz, że źle wytypowałam miejsce? – zapytała z satysfakcją.

– Wcale tak nie uważałem – zżymał się Organek, bo faktycznie wcale tak nie uważał. Sam nie miał lepszego pomysłu, więc nie wypadało mu torpedować cudzych.

– A to pan jednak umie mówić? – Nic się nie ukryło przed czujnym okiem tej kobiety, system monitoringu wsi na medal!

– A i owszem, umiem, tylko nie zawsze mam ochotę – odpowiedział jak zwykle szczerze. – A teraz akurat miałem ochotę, zatem przemówiłem.

– Idą do tego pradziadka? – Kobieta się zniecierpliwiła, bo słońce już od dłuższej chwili świeciło bardzo nisko.

Ruszyli w stronę przytulających się pomników, jak mieli je nazywać jeszcze długo później, a kiedy do nich dotarli, ich uwagę przykuł fakt, że na wszystkich płytach widniało dokładnie to samo nazwisko. Imiona różniły się od siebie, rzecz jasna, wszyscy jednak, których upamiętniono granitowymi pomnikami, nosili nazwisko Kurtz. Był między nimi Herman Kurtz, a więc wymyślone naprędce alibi póki co działało.

Linda przeżegnała się, Jeremi zrobił to samo, a następnie dwoje potomków nieżyjącego od tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku prawdopodobnego hitlerowca pogrążyło się w modlitwie. Dla dodania sprawie fajerwerków dziewczyna wymruczała wszystkie znane jej niemieckie słowa, szczególnie wyraźnie akcentując głoski szeleszczące.

Kiedy obowiązek rodzinny spełnili, podziękowali swojej przewodniczce, która wyglądała, jakby od dłuższej chwili coś ją męczyło. Mimo że Linda od razu to zauważyła, postanowiła poczekać, aż kobieta pęknie. Stało się to, dopiero kiedy dotarli do furtki.

– A czy ja nie widziałam państwa pod zamkiem?

– Mogła nas pani widzieć – odparła dziewczyna ze stoickim spokojem. – Tatuś chciał mi pokazać ten pałac, ale okazało się, że teren prywatny i kazali nam iść precz.

– Prywatny, prywatny, jakieś Niemce lata temu kupiły, my się cieszyli, że remont zrobią i turystów przyciągną, a tam coraz to gorzej się dzieje.

– I nikt tam nie przyjeżdża? To kto tego miłego pana na straży zatrudnia? – Linda poczuła, jak na słowie „miłego” język lekko jej zdrętwiał, ale skoro Jeremi potrafił grać oscarową rolę, to ona gorsza nie będzie.

– Czasem przyjeżdżają, zwykle na wieczór, ciemnymi samochodami, zamykają się za tymi ogrodzeniami, a rano już ich nie ma. A dzisiaj to w środku dnia byli. Nie widzieli samochodów?

– Nikogo nie widzieliśmy, poza tym ochroniarzem z piekła rodem.

– Oni? – wtrącił się Jeremi. – To może jacyś robotnicy?

– Widział kiedyś robotników w takich odstawionych samochodach? Ciemne szyby, czarny lakier i dziwaczne rejestracje?

Wszystko z osobna Jeremi widział, nie raz i nie dwa, ale wszystkiego razem – jeszcze mu się nie zdarzyło. Pokręcił głową, choć nikt na jego odpowiedź nie czekał, a po chwili furka skrzypnęła, co oznaczało, że wycieczka się skończyła.

Kiedy znaleźli się znów na ulicy, kobieta pogmerała przy skobelku, zapadka zaskoczyła i dziedzictwo należące do wsi Kunzendorf było bezpieczne. Jedno z dziedzictw, należałoby powiedzieć; to drugie, górujące nad wsią, wciąż pozostawało tajemnicą domagającą się odkrycia.

– Jak chcecie tam wejść, to musicie zejść z drugiej strony, od parku – rzuciła przewodniczka, nie patrząc na nich. – Jak wam się uda przejść przez płot, to potem już będzie łatwo.

Ledwo wypowiedziawszy te słowa, kobieta odwróciła się, przebiegła przez jezdnię i zniknęła z pola widzenia, zostawiając Jeremiego i Lindę w stanie osłupienia.

– Czy ona nam właśnie powiedziała, jak się włamać do szpitala? – spytała dziewczyna.

– Na to wygląda. Miejmy tylko nadzieję, że nikt tam na nas nie będzie czekał...

W MOIM DOMU KTOŚ JEST



– Ciemno się robi – obwieścił Jeremi, jakby ta prawda objawiona jakimś cudem miała umknąć uwadze Lindy.

– Nie mów, że nagle zacząłeś się bać ciemności. Przecież ty pracujesz w katakumbach.

– Masz całkowitą rację, pracuję w piwnicach, z tą drobną różnicą, że miewam tam oświetlenie – odparł ze stoickim spokojem. – I to oświetlenie zasadniczo bardzo się przydaje, kiedy chcę cokolwiek widzieć.

– Aaaaaa! – Linda klepnęła się w czoło. – No jasne, teraz zakminiłam. A nie masz przy sobie żadnej latarki?

– Oczywiście, że mam. Trzymam ją w bagażniku wypożyczonego samochodu obok zestawu narzędzi chirurgicznych i składanego stołu sekcyjnego.

Dziewczyna przyjęła tę odpowiedź z uznaniem dla sarkazmu i refleksu współnika.

– Jeszcze wyjdiesz na ludzi – pochwaliła go. – Chyba więc nie mamy wyboru i musimy wrócić po latarkę, co?

Organek wyglądał na zakłopotanego, o czym świadczył przede wszystkim błędzący wzrok z doskonałą wręcz precyzją omijający twarz Lindy.

– Hej, co jest grane? – zapytała w końcu.

– A moglibyśmy pojechać po tę latarkę do ciebie? – odpowiedział pytaniem. – Bo ja nie mam w domu latarki, zostawiłem ją w szpitalu.

– O matko, no jasne, że byśmy mogli. Było od razu mówić, że nie masz narzędzi do iluminacji, a nie bawić się w jakieś podchody.

Zapakowali się do wypożyczonej yariski i pomknęli z powrotem do Wrocławia. Prowadził Jeremi, a jego pasażerka wydawała się z tego stanu rzeczy zadowolona.

Mieszkanie Lindy znajdowało się w zachodniej części miasta, dojechali więc obwodnicą do Stadionu Miejskiego; na Maślicach ruch był niewielki, dzięki czemu dotarli na miejsce w miarę szybko. Po zaparkowaniu samochodu Organek rozejrzał się z ciekawością, bo choć mieszkał we Wrocławiu całe swoje życie, zupełnie nie rozpoznawał tej jego części.

– Ależ tu się zmieniło – stwierdził, przyglądając się nowiusieńkiemu osiedlu składającemu się z szeregowek i bliźniaków. – Za moich czasów był tu jedynie las.

– Za twoich czasów to ludzie jeździli dużymi fiatami i polonezami – zakpiła dziewczyna. – A teraz mogą sobie wypożyczyć ferrari za tysiąka dziennie.

Ruszyli do jednego z kilkudziesięciu identycznych domków z niewielkim ogródkiem z przodu. Ten, w którym mieszkała Linda, wyróżniał się spośród pozostałych pustym podjazdem – przed każdym innym domkiem stało co najmniej jedno auto.

Linda zatrzymała się nagle przed drzwiami wejściowymi i wlepiła wzrok w klamkę. Jeremi, wciąż rozglądając się dookoła, wszedł jej na plecy.

– Auu! – syknęła dziewczyna. – Weź mnie nie taranuj, z łaski swojej. Tu się odbywa dedukcja!

– Co takiego? – Organek osłupiał i z tego osłupienia cały czas tkwił na plecach Lindy.

– Dedukcja, taki wywód logiczny.

– I co takiego wywiodłaś?

– Że w moim domu ktoś jest. A przynajmniej był.

– Mówiłaś, że masz współlokatorkę?

– Mówiłam. I mam. Ale ona raczej otwiera zamek kluczem, a nie łomem.

Organek spojrział natychmiast na miejsce, do którego wkłada się klucz, i zrozumiał dedukcję Lindy. Futryna była uszkodzona dokładnie tam, gdzie zwykle chowa się język zamka.

– Mam *déjà vu* jak stąd do Australii – szepnęła Linda. – To raczej nie jest przypadek, że tego samego dnia ktoś włamuje się do ciebie, a później do mnie.

– Zgadza się, to zupełnie nieprawdopodobne.

– Wchodzimy?

– Wchodzimy – potwierdził Jeremi. – Tylko się przygotuję.

Rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnej broni i po chwili dostrzegł sporych rozmiarów kamień. Rzucił się na niego, jak gdyby ten miał zamiar przed nim uciekać, chwycił w dłoń i z zadowoleniem poczuł solidny ciężar.

- Jak walnę, to zabiję – pochwalił się Lindzie.
- Bardzo dobrze, staraj się tylko niczego nie stłuc przy okazji.

Z kamieniem w dłoni Jeremi ostrożnie otworzył drzwi i odczekał chwilę, spodziewając się ataku ze środka. Nic się nie wydarzyło, wewnątrz panowała cisza. Wszedł więc na palcach, wciąż kurczowo ściskając kawałek granitu, a tym razem to Linda przyczepiła się do jego pleców.

Przeszli przez niewielkich rozmiarów przedpokój, następnie po prawej minęli drzwi do garażu, które były zamknięte na zamek znajdujący się od strony mieszkania. Kilka kroków dalej, tym razem po lewej, znajdowały się schody prowadzące na piętro. W tym miejscu przedpokój przeistaczał się w salon z aneksem kuchennym, z którego można było wyjść na ogród. Drzwi tarasowe były zamknięte.

- Idziemy na górę – zarządził Jeremi, upewniwszy się, że włamywacz nie schował się w żadnej z kuchennych szafek, tudzież w pojemniku na pościel stanowiącym część kanapy.

Linda kiwnęła rudą głową i kurczowo uczepliła się koszulki patologa. Krok za krokiem, noga za nogą wspięli się po dwudziestu dwóch dębowych stopniach: Jeremi z kamieniem przygotowanym do walenia w celu zabicia, Linda miętosząc tył jego koszulki z Iron Maiden. Stanęli na piętrze, wciąż sczepieni kurczowym uściskiem dłoni dziewczyny, decydując, gdzie zajrzeć najpierw. Do wyboru mieli cztery pomieszczenia, pośród których jedno było łazienką, jedno garderobą, a dwa pozostałe służyły jako sypialnie.

- Idźmy może od lewej – zaproponowała Linda. – To pokój Igi.

Jeremiemu było wszystko jedno, w którym pokoju będzie walił najpierw, zgodził się więc zacząć od lewej.

- O cholera, tu chyba ktoś czegoś szukał – szepnął, kiedy drzwi stanęły otworem.

Linda wychyliła się zza jego pleców i zajrzała do sypialni współlokatorki.

- E, nie. To standardowe wykończenie pokoju Igi. Wszystko w porządku.

Organek spojrział na Lindę, jakby właśnie odezwała się do niego językiem któregoś z afrykańskich plemion. Akurat w porządku to tam nic nie było, brakowało jedynie baby i dziada.

- No co? – fuknęła dziewczyna. – Kiedyś posprząta.

- Chyba łatwiej będzie wrzucić granat, zamknąć drzwi i wywieźć gruzy...

Rudzielec przewrócił oczami i ponaglił patologa. Mieli jeszcze trzy pomieszczenia do sprawdzenia, a prawdopodobieństwo spotkania w którymś z nich włamywacza niebezpiecznie wzrastało.

Kolejne drzwi prowadziły do łazienki, a ta, ku radości Organka, wykazywała o wiele wyższe standardy czystości. Włamywacza jednakże w niej nie było. W sąsiadującej z łazienką garderobie nikt by się nie zmieścił, ewentualnie mógłby zostać przygnieciony dziesiątkami pudełek z butami. Zamknęli drzwi i z coraz większym niepokojem dotarli do ostatniego pomieszczenia.

– Jeśli będziesz tu musiał walić, to staraj się z dala od dywanu, bo jego prać nie można – poprosiła Linda. – A najlepiej to blisko ścian, i tak miałam je przemalować.

Jeremi nacisnął klamkę, delikatnie popchnął drzwi i zamarł.

– O wielkie nieba! – szepnęła z emfazą.

– Nie gadaj, że tam jest trup! – pisnęła Linda i zacisnęła powieki.

– Przecież nie gadam – odpowiedział wciąż zahipnotyzowany Organek.

– No to co tam jest?! – nie wytrzymała napięcia. – Mów mi od razu, bo ja patrzeć nie mogę, a bardzo chcę wiedzieć!

– Zaścielone łóżko, książki ustawione w idealnym porządku, równiutko ułożony dywan...

– Ale co ty mi tutaj opowiadasz o umeblowaniu? Przecież ja wiem, co się znajduje w mojej sypialni!

– Miałem mówić, to mówię – zachnął się Jeremi. – Ale mogę oniemić z zachwyty, proszę bardzo.

Linda nie była pewna, czy mężczyzna, którego wciąż trzymała za chabety, natrząsał się z niej, czy mówił szczerze. Odważyła się więc wyrzec z za jego pleców.

– Nic tu nie ma... – stwierdziła ze zdziwieniem. – Wszystko jest na swoim miejscu.

– No właśnie! – W głosie Jeremiego mieszały się radość, podziw i uwielbienie.

– Wiesz co, ty to jednak zupełnie normalny nie jesteś i chyba wcale aż tak bardzo nie nakłamałam tej babie we wsi...

Przywykły do uchodzenia za dziwaka, Jeremi ani myślał się obrazić. Wzruszył ramionami, ale głupawy uśmiech wciąż nie zniknął z jego twarzy. Wyglądało na to, że rudowłosa Linda zaskarbiła sobie jego względy na amen i w jej obronie gotów był walić kamieniami wszystkich, którzy się napatoczą.

Zeszli na dół, zamierzając znaleźć latarki, które powinny gdzieś tu być...

– Czekaj, czekaj, zaraz wymyślę, gdzie Iga mogła je wetknąć. – Linda zajrzała już nawet do piekarnika, wszak istniała możliwość, że lampka w nim się

przepaliła, a Iga często piekła biszkopt.

Ani w piekarniku, ani w szafce z naczyniami, ani w kubie na śmieci, ani w toalecie, ani tym bardziej w schowku, w którym powinny leżeć; latarek nigdzie nie było.

– Zostało nam tylko jedno miejsce, ale to mało prawdopodobne, że tam są – poinformowała Linda.

– Mało prawdopodobne, że są w garażu? Ja chyba tam szukałbym ich najpierw.

– Garaż nie jest garażem, tylko moją pracownią i Iga zasadniczo ma do niej zakaz wstępu. Ja tam trzymam mnóstwo książek, artykułów, materiałów. Wyobraź sobie, co mogłaby tam zrobić.

Na wspomnienie sypialni Igi Jeremi się wzdrygnął i ostatkiem silnej woli powstrzymał wyobraźnię od wykonania zadania, które podrzuciła mu Linda.

– Jeśli nie ma ich nigdzie indziej i nie ma ich w garażu – myślał na głos – to znaczy, że ten, kto się tu włamał, przyszedł po latarki.

– I zamierza je sprzedać na targu staroci?

– Trudno powiedzieć, może to jakiś wariat.

– Dobra, wejdźmy do tego garażu. A potem trzeba zadzwonić na policję.

Zamek w drzwiach szczęknął, Jeremi nacisnął klamkę, uchylił drzwi i zamknął je z hukiem.

– Dzwon na policję – powiedział spokojnie, patrząc w oczy oszołomionej Lindzie. – I możesz od razu po pogotowie. Zwłoki się znalazły.

MARTWE ZWŁOKI



Linda stała jak słup soli himalajskiej, usiłując odnaleźć w głowie właściwy dekodery do usłyszonej przed chwilą wiadomości. Zwłoki. Się. Znalazły. Zwłoki. Się znalazły.

– Zwłoki się znalazły w moim garażu? – wychrypiła w końcu.

– Tak dokładniej to my je znaleźliśmy, więc może ten zaimek zwrotny trochę bez sensu...

– I one tam leżą? Takie martwe?

– Stać byłoby im raczej trudno, bo grawitacja działa. I na żywe mi nie wyglądały, a co nieco się na tym znam.

Oszołomiona Linda z trudem przypominała sobie, że na zwłokach akurat Jeremi rzeczywiście się zna i z całą pewnością potrafi odróżnić żywe od martwych. Skoro więc mówi, że martwe i leżące, to trzeba mu wierzyć. Oszołomienie na chwilę osłabło, dzięki czemu synapsy w mózgu dziewczyny przepuściły do świadomości istotne pytanie:

– A to te zniknięte?

– Owszem, zniknięte, ale nie te. – Opanowanie, z jakim odpowiadał na pytania Lindy, wystawiały znakomite świadectwo jego profesjonalizmowi. Zero paniki, ani grama strachu, nic, tylko stoicki spokój i kwiat lotosu.

– To ich zniknęło więcej niż jedno? – Dziewczyna wytrzeszczyła bursztynowe oczy.

– Martwe zniknęły jedno, ale te tutaj musiały być żywe, kiedy zniknęły.

Linda zmarszczyła się i potrząsnęła głową, jakby chciała się upewnić, że ta wciąż jest przymocowana do szyi.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Organek nie zdążył zaprotestować, a kiedy Linda otworzyła drzwi do garażu, było już na to za późno.

– A kto to, do jaśnieniepokalanejpanienki, jest?! – zawołała głosem, który nagle odzyskał swą czystość.

– To jest Marek. To znaczy martwe zwłoki, które żywe były Markiem.

– Tym, którego zastąpiłeś w pracy?

– Ewentualnie może to być jego brat bliźniak – zastanawiał się Jeremi, mrużąc oczy.

– A on ma brata bliźniaka?

– Skąd, jest jedynakiem!

Linda rąbnęła go w ramię, bo strzępić języka jej się już nie chciało. Organek zrozumiał swój błąd i przyjął karę z pokorą. Należało mu się.

– Co on tu robi? – zapytała retorycznie i bez wahania ruszyła w kierunku martwego mężczyzny.

– Uważaj! Niczego nie dotykaj, nie gub DNA, a najlepiej to może nie wchodzić.

– Za dużo naoglądałeś się siesajów, przecież to moja pracownia. Tu leżą tony mojego DNA.

– No dobra, ale przynajmniej zwłok nie dotykaj – skapitulował Jeremi.

– O fujka! Nigdy w życiu, przecież to obrzydliwe!

– Dzięki...

Linda nie zwróciła uwagi na urazę w tonie kolegi, tak bardzo zaabsorbowało ją to, co zobaczyła w dłoni martwych zwłok będących znikniętym Markiem. Zbliżyła się na akceptowalną odległość, starając się nie patrzeć na bladą twarz mężczyzny. Jeszcze mocniej starała się nie zauważyć zaschniętej krwi na jego lewej skroni.

– Jeremi? – szepnęła, pochylona w dziwnej pozycji. – Pozwolisz tu na momencik?

Niechętnie, gdyż jego DNA nie zalegało na każdym milimetrze kwadratowym przestronnego pomieszczenia, zbliżył się ostrożnie do dziewczyny.

– Czy mnie się wydaje, czy może te martwe zwłoki napisały list pożegnalny? – zapytała Linda cicho.

– Martwe na pewno nie, ewentualnie żywe, zanim umarły – odrzekł z typową dla siebie logiką. – I nie sądzę, żeby to był list pożegnalny. Nikt nie pisze takich listów szyfrem.

– Myślisz, że możemy go pomacać?

– Mówiłem, żebyś nie dotykała zwłok – upomniał ją.

– Nie zwłoki, list. Nie widać, co tam jest napisane, a mnie to niezmiernie frapuje.

Akurat co do tego Jeremi nie miał wątpliwości, a i jego tajemniczy list odrobinę zafrapował. Zgodził się więc na wyjęcie kartki z dłoni kolegi, zalecając daleko posuniętą ostrożność i delikatność, a zarazem stanowczość w ruchach.

Linda chwyciła dostępny jej fragment papieru i następnie delikatnie, a zarazem stanowczo pociągnęła, uwalniając kartkę z uścisku martwej jak jej właściciel dłoni. Zwłoki nie zaprotestowały, co oznaczać mogło wyłącznie to, że ich intencją było przekazanie listu Lindzie. A ona na pewno wymyśli, co z nim zrobić.

– No patrz, użył mojej papeterii! – oburzyła się. – I zmarnował ją na bezsensowne bzdury. Czy ludzie przed śmiercią bełkoczą również pisemnie?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale niewykluczone. Pokaż ten bełkot.

Rudowłosa dziewczyna wyciągnęła przed siebie nieco sfatygowany śmiertelnym uściskiem kredowy papier w kolorze beżowym. Jeremi przebiegł wzrokiem po nierównych rzędach cyfr i liter, zmarszczył brew, znów spojrzął na notatkę i się zasępił.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytała Linda.

– Ni w ząb. Chyba faktycznie rzuciło mu się na mózg. Odłóż tę kartkę na miejsce i dzwońmy po policję.

– Czekaj, niech się rozejrzę – zastopowała go dziewczyna. – Chcę wiedzieć, co mówić, jak mnie zapytają, czy nic nie zginęło.

Obeszła zwłoki i przyjrzała się książkom ustawionym na regałach. Panował na nich porządek, taki, jaki zostawiła. Poza martwymi zwłokami właściwie wszystko znajdowało się na swoim miejscu. W ostatniej chwili przypomniała sobie o tajnej skrytce, w której trzymała najważniejsze dla siebie rzeczy.

– A to swołocz jedna niemyta w ciepłej wodzie! – krzyknęła, otworzywszy ukryty za obrazem sejf ścienny. – A żeby go w nocy sraczka złapała i nie miał żadnej apteki całodobowej w pobliżu!

Jeremi zdawał się przyzwyczajając do oryginalnych przekleństw Lindy, a nawet, co stwierdził z zaskoczeniem, całkiem mu się one podobały.

– Czyli jednak coś zginęło? – domyślił się.

– A żebyś wiedział – warknęła. – Tylko po co komu mój akt urodzenia?

– To rzeczywiście dziwne – przyznał patolog. – A jeszcze dziwniejsze jest to, że ten ktoś szukał go w sejfie, o którym nie powinien nawet wiedzieć.

Tę myśl dziewczyna przywitała już wcześniej, chciała ją jednak przetrwać, zanim zacznie wysnuwać domysły. Nie mając nic więcej do roboty w zainfekowanym zwłokami garażu, wrócili do mieszkania i usadowili się w kuchni. Linda wykonała krótki telefon pod numer sto dwanaście, dwa razy zapewniła, że nie jest pod wpływem alkoholu, narkotyków, dopalaczy, substancji halucynogennych, leków psychotropowych, kadełek ani żadnych innych poprawiaczy nastroju, po czym zaparzyła kawę i zajęła się czekaniem na wizytę stróża porządku publicznego. A ci, jak wiadomo, mają czas.

NADAWCA NADAJE JĘZYKIEM, KTÓRY ZNA ODBIORCA



Podkomisarz Michał Bączek z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu od samego rana udawał, że jest zarobiony po pachy.

Tak dobrze szło mu to udawanie, że ani drgnął, kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się z rozmachem i ukazała się w nich korpulentna sylwetka Bączkowego pryncypała.

– Nad czym to tak ciężko pracuje moja gwiazda? – zapytał z szerokim uśmiechem nadinspektor Kazimierz Wilczyński.

– Próbuję rozwikłać sprawę morderstwa.

– Chwali się, wydział kryminalny z tego słynie. A czyjego tym razem?

– Jacka Kotulaka. Anna Kańtoch Kalibra w tym roku dostała, to sprawdzam, czy zasłużenie. – Bączek oderwał wreszcie wzrok od książki i odłożył ją na biurku. – A co u ciebie, Kazik?

– U mnie? Stara nuda... Małżonka z moją siostrą na wywczasach, na Netfliksie wszystko już obejrzone, przydałaby się jakaś rozrywka.

Niekiedy życzenia wypowiedziane w złą godzinę spełniają się z nawiązką, zwłaszcza gdy usłyszają je te bardziej złośliwe duchy. Nadinspektor Wilczyński zaś musiał trafić na wyjątkowo wredny egzemplarz, który na dodatek miał z nim jakieś rachunki do wyrównania – przez co następnym razem życzeń głośno już nie wyrażał.

Telefon na biurku Bączka rozdzwonił się tym irytującym dźwiękiem charakterystycznym dla aparatów przeznaczonych na służbowe i ani myślał przestać, mimo że podkomisarz dzielnie go ignorował.

– Bączek, słucham – westchnął do słuchawki, a irytacja na jego przyjemnej twarzy odtańczyła kankana. I choć wbrew swoim własnym słowom słuchaniem nie był wcale zainteresowany, po chwili nadstawił uszu, a nawet bezwiednie wyprostował się na krześle. – Rozumiem, przyjąłem – odpowiedział

na koniec, po czym ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki i zanotował coś na kartce.

Wilczyński przyglądał mu się z zainteresowaniem, usiłując wyczytać z twarzy podkomisarza treść zakończonej właśnie rozmowy. Na usiłowaniach jednak się skończyło, bo Bączek potrafił zachować kamienną twarz, nawet gdy w środku wszystko mu się gotowało.

– Krzysiek się wścieknie – oznajmił wreszcie. – I znowu będzie pluł we mnie jadem.

– Sam sobie jest winien, Michaś, ty mu dzieci płodzić nie kazałeś ani na tacierzyńskie latać – uspokoił go Wilczyński. – Dokąd jedziemy?

Bączek spojrział na szefa z wyraźnym zaniepokojeniem. Przez jedenaście lat wspólnej służby ani razu nie widział, żeby Kazik osobiście brał udział w czynnościach na miejscu zbrodni. Bo też i wcale nie musiał, w końcu był szefem, od dawna powinien siedzieć na emeryturze, ale za bardzo się bał, że bez pracy stetryczeje.

– Jesteś pewien? – Bączek starał się, by to pytanie zabrzmiało najdelikatniej, jak tylko się da. Studia psychologiczne i wrodzona inteligencja emocjonalna na coś się czasem przydawały.

– A co ty mnie pytasz jak jakiej dziewczicy? Mówiłem, że mi rozrywki potrzeba, i patrz: z nieba spada.

Podkomisarz wymruczał pod nosem jakąś nieszczególnie pochlebną opinię na temat definiowania rozrywki przez Wilczyńskiego, chwycił kartkę z zapisanym adresem i ruszył do wyjścia. Nadinspektor truchtał za nim, cmokając z zadowoleniem.

– Mogę cię odwieźć do domu – zaproponował Bączek, kiedy wsiadali do zaparkowanego pod komendą samochodu. – Późno się robi, a ty już i tak walisz nadgodziny.

Wilczyński nie raczył zareagować na tę jawną impertynencję, zamiast tego zasiadł w fotelu pasażera, odgiął oparcie fotela maksymalnie do tyłu i splótł dłonie na wydatnym brzuchu.

Podkomisarz na szczęście doskonale wiedział, kiedy ze sceny zejść i nie drażnić szefa, bez słowa wsiadł więc do samochodu i ruszył pod adres, który kompletnie nic mu nie mówił. Z nawigacji wynikało, że to koniec świata, a na pewno Wrocławia. Na miejscu okazało się, że choć administracyjnie osiedle Malownicze znajduje się w granicach miasta, równie dobrze mogłoby znajdować się poza nimi, nikt nie zauważyłby różnicy. Lasy, pola, łąki, kurki, dzieci łązące

środkiem jezdni, lokalne moczymordy na ławeczce pod lokalnym sklepem – wsi spokojna, wsi wesoła.

Jedynie, co nie wpisywało się w ruralistyczne zagospodarowanie przestrzeni, to ciągnące się aż po horyzont osiedle nowoczesnych domków, żywcem wyjęte z mokrego snu jakiegoś amerykańskiego architekta z lat sześćdziesiątych.

Bączek lawirował między jednokierunkowymi uliczkami, usiłując dojechać w miejsce oznaczone na mapie pinezką, wciąż jednak skręcał nie tam, gdzie powinien. W rezultacie odnalezienie właściwej ulicy zajęło mu więcej czasu niż dojechanie z centrum Wrocławia do jego zachodniej granicy. Wściekły na siebie, a jeszcze bardziej na idiotę odpowiedzialnego za zaprojektowanie infrastruktury w tym labiryncie, Bączek zaczął przeklinać, co zdarzało mu się równie rzadko jak urlop wypoczynkowy.

– Spokojnie, Michaś, mamy czas, gdzie ci się śpieszy? – uspokajał go rozłożony niczym Neron w lektyce Wilczyński. – Do umierającego karetką nie jedziemy, a trupowi to już wsio rawno. Leży w garażu, tam w miarę chłodno, więc szybko się nie zaśmierdnie.

Po tych słowach Bączek poczuł ulgę, choć mogło to mieć również związek z odnalezieniem właściwej drogi, która zaprowadziła ich pod właściwy dom.

Karetki jeszcze nie było, prokurator poinformowała ich, że utknęła na zjeździe z obwodnicy, mogli więc spokojnie się rozejrzeć.

Osiedle wyglądało, jakby nikt na nim nie mieszkał, najwyraźniej zapracowani lokatorzy spędzali wieczory w swoich małych azylach, a kontakty sąsiedzkie pielęgnowali wyłącznie przy okazji odbierania od siebie przesyłek zostawianych przez kurierów.

Bączek podszedł do drzwi domu, przed którym stała zaparkowana toyota yaris, i nacisnął dzwonek. Rozległa się melodyjka przypominająca muzykę umilającą oczekiwanie na połączenie z konsultantem infolinii dowolnego banku, a po chwili otworzyła rudowłosa dziewczyna o wielkich bursztynowych oczach. Jej widok odrobinę zaskoczył podkomisarza, przez co pierwsze wrażenie zrobił raczej kiepskie.

– Dzień dobry, wreszcie panowie są – przywitała ich i uchyliła drzwi szerzej. – Proszę wchodzić, czekamy tu na panów, dwie kawy zdążyliśmy wypić.

Policjanci weszli do środka, spodziewając się, że za owym „my” kryje się rówieśnik dziewczyny, ze zdziwieniem więc odkryli epicko przystojnego pięćdziesięciolatka, ubranego jak podstarzały rockandrollowiec.

– Podkomisarz Bączek, nadinspektor Wilczyński, wydział zabójstw komendy wojewódzkiej – przedstawił siebie i szefa Michał. – Otrzymaliśmy zgłoszenie o odnalezieniu zwłok.

– Chyba o odkryciu, bo raczej ich nie szukaliśmy – poprawiła go Linda. – Linda Miller, a to jest Jeremi Organek.

Po zadaniu kilku standardowych pytań i wylegitymowaniu odkrywców zwłok przyszła pora na prezentację gwiazdy wieczoru, co prawda przedwcześnie zgasłej wskutek zabójstwa, ale jednak bez niej ta impreza by się nie odbyła.

Linda odmówiła wejścia do garażu, odczuwała przesyt martwych zwłok na jeden dzień, honory czynić musiał więc Jeremi, dla którego, jak wiemy, zwłoki nigdy nie są zbędne i nie istnieje pojęcie „za dużo zwłok”. Policjanci okazali się bystrzejsi, niż wydawali się na początku, każdy miał ze sobą rękawiczki, mogli więc do woli wszystko macać, w tym kartkę z pisemnym bełkotem. I właśnie owa kartka wzbudziła ich szczególne zainteresowanie.

– Państwo jesteście pewni, że tę notatkę wykonał denat? – zapytał Bączek, oglądając elegancką papeterię z każdej strony.

– Oczywiście – zapewniła Linda natychmiast. – Przecież żadne z nas nie mogło tego zrobić.

– I nie wiedzą państwo, co to może znaczyć?

Tym razem oboje pokręcili przecząco głowami.

– Jesteście pewni? – naciskał Bączek, machając kartką jak flagą.

– Dlaczego uważa pan, że powinniśmy wiedzieć, co to znaczy? – Jeremi odniósł wrażenie, że dokładnie to policjant usiłuje im przekazać między wierszami.

– Zwykle nadawca nadaje językiem, który zna odbiorca. – Podkomisarz skończył studia psychologiczne z wyróżnieniem, a teoria komunikacji była jednym z jego ulubionych przedmiotów.

– Pan myśli, że on zostawił tę kartkę dla nas?! – Linda z wrażenia przekroczyła próg garażu.

– Nie sądzę, żeby dla mnie. Pan Organek mówi, że znał denata, a denat został znaleziony w pani domu, w którym przebywa pan Organek. To chyba logiczny wniosek?

Wniosek był aż nadto logiczny, a jego oczywistość uderzyła zarówno Lindę, jak i Jeremiego. Żadne z nich nie pomyślało, że to do nich skierowano bełkot, który prawdopodobnie wcale nie jest bełkotem.

– Dwa, dwa, jeden, dziewięć, osiem, jeden, trzy, i, i, c, g, t, s, f, h, i, d, g, m, o, o, t, f, s – przeczytał z niejakim trudem Wilczyński. – Ten pański kolega to

może był jakiś geniusz i zostawił panu w spadku odkrycie warte Nobla?

– Szczerze wątpię... – Jeremi naprawdę szczerze wątpił, co wyraźnie widać było po jego minie. – Jeśli to jest kod, który ja mam złamać, to sukcesu nie wróżę. Niestety nie posiadam Enigmy.

– A ta data nic panu nie mówi? – Bączek przyglądał się cyfrom mogącym oznaczać dokładnie wszystko. Albo zupełnie nic.

– Jaka data? – zainteresowała się Linda, dla której daty stanowiły chleb powszedni. – Niech pan pokaże.

– Drugi lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego? – zgadywał podkomisarz. – Tylko ta trójka tak bez sensu...

– Nic mi się nie kojarzy z tą datą – stwierdziła Linda. – A tobie, Jeremi?

Trzy pary oczu spojrzały na mężczyznę, który wyglądał, jakby spłynęły na niego mądrość, łaska i może nawet boskie objawienie. Uśmiechał się do siebie, wpatrując w twarz martwego kolegi. Policjanci poczuli, że powinni wzmóc ostrożność, a przynajmniej spodziewać się niespodziewanego, bo z wariatami to nigdy nie wiadomo, co i kiedy im strzeli do głowy. Odetchnęli więc z ulgą, a zarazem poczuli zdumienie, kiedy z ust uśmiechającego się do trupa George'a Clooneya spłynęło:

– Ja wiem, co znaczy ta wiadomość.

NIECH POLICJA SAMĄ SIĘ ZMÓŹDŹA



– Ha! – Bączek uniośł ręce w geście zwycięstwa. – Ja od razu wyczułem, że to do pana ten list miłosny.

– Obawiam się, że z miłością ta wiadomość niewiele ma wspólnego...

Orgonek urwał, bo nagle dotarły do nich podniesione głosy rozlegającej się najpewniej na podjeździe. Linda podeszła do drzwi, uchyliła je i natychmiast została zrugana.

– Proszę niczego nie dotykać bez rękawiczek! – krzyczał młody mężczyzna. – Niech pani odejdzie od tych drzwi!

– Dobrze już, dobrze, odchodzę – zachnęła się dziewczyna. – Nie musi pan od razu na mnie wrzeszczeć.

– Zgadzam się z panią... Miller? – Zza srebrnego opla wyłoniła się szczupła kobieta, której nieskazitelną figurę dodatkowo podkreślała obcisła grafitowa sukienka. Na smukłej szyi zaś znajdowała się wyjątkowo interesująca twarz, okolona burzą czarnych loków sięgających ramion. Kobieta wyciągnęła rękę, którą Linda odruchowo uścisnęła, i przedstawiła się: – Kalina Rumin, prokurator.

Ostatnie trzy słowa na Lindzie zrobiły wrażenie co najwyżej umiarkowane, podczas gdy podkomisarz Bączek zareagował całkowitą paniką.

– Ty mówiłeś, Kazik, że kto prowadzi sprawę?

– Nie mówiłem.

– Ale wiedziałeś?

– No, wiedziałem.

– To czemu nie mówiłeś?

– Żebyś nie zareagował tak jak teraz. – Wilczyński obrzucił podwładnego krytycznym spojrzeniem. – Weź się w garść, Michaś, brzuch wciągnij, portki poluzuj i pełna profeska.

– Przepraszam, że podsłuchuję, ale nie da się nie słyszeć, skoro panowie stoją pięć centymetrów ode mnie. – Jeremi wcale nie wyglądał na skruszony i pewnie chętnie podsłuchiwałby dalej. – To jakiś problem jest, że ta pani Rumin prowadzi tę sprawę?

– A skąd! Żaden problem! – zapewnił go nadinspektor. – Kalina to jeden z najlepszych i najbystrzejszych prokuratorów, więc raz-dwa znajdzie tego, kto panu kolegę zaciukał.

– A, to fajnie – ucieszył się Organek. – Czy niefajnie, panie komisarzu?

– Obojętnie, wszystko mi jedno – uciał Bączek. – Prokurator to prokurator.

Jeremi mu nie uwierzył, bo gołym okiem było widać, że podkomisarzowi wcale nie było wszystko jedno, a już na pewno czarnowłosa pani prokurator nie wzbudzała w nim obojętności. Ekscytację, panikę, zidiociały uśmiech, ale w żadnym wypadku obojętność.

– Dobry wieczór panom – przywitała się grzecznie kobieta po wejściu do domu.

Wilczyński, jak zwykle, ucałował jej dłoń, za co odwdzieczyła mu się ujmującym uśmiechem. Bączek tylko skinął głową, bo na dłoniach wciąż miał rękawiczki.

– Jeremi Organek. – Patolog ukłonił się szarmancko.

– Pan także tu mieszka? – zdziwiła się Kalina, która zdążyła sprawdzić, że pod adresem zgłoszenia zameldowane są jedynie właścicielka domu i jej lokatorka, Iga Nowocień.

– Nie, nie, ja jestem...

– ...moim partnerem – weszła mu w słowo Linda. – Biznesowym, nie seksualnym, bo ja gustuję w młodszych, chociaż Jeremi jest niczego sobie, musi pani przyznać.

Wilczyński parsknął, Bączka zatkało, a czarnowłosa Rumin uśmiechnęła się życzliwie.

– Przyznaję, widziałam podlejszych – odpowiedziała. – A teraz prosiłabym państwa o oddalenie się na chwilę, musimy wpuścić ekipę techniczną i ustalić pewne rzeczy ze śledczymi.

Ze względu na konieczność oblecenia całego domu przez ubranych w kombinezony ludzi Linda i Jeremi musieli odczekać w samochodzie. Kolejny raz pochwalili samych siebie za genialny pomysł wypożyczenia go na dłużej, w przeciwnym razie musieliby teraz szukać jakiegoś ustronnego miejsca, żeby wymienić poglądy. Na szczęście ani policja, ani prokuratorka nie zabronili im

rozmawiać na temat bieżących wydarzeń, a zatem ta wymiana poglądów przebiegała w atmosferze burzy mózgów.

– Musimy ustalić wspólną wersję – zarządziła Linda. – Jak nas będą przepytywać krzyżowo, to gadamy w kółko jedno i to samo, a przeważnie używamy partykuły „nie”. Nie wiem, nie rozumiem, nie widziałem. Ogólnie to jesteśmy mało bystrzy i nic z tej cza-czy nie rozumiemy.

– Trochę mi się to gryzie z tym, że rozumiem wiadomość – stwierdził Jeremi. – Już im powiedziałem i chyba nie ma co liczyć, że zapomnieli.

– To zależy, czy ta wiadomość ma coś wspólnego ze znikniętymi zwłokami. Ma?

– Jestem prawie pewny, że ma.

– To nie możesz im tego przekazać, bo wtedy trzeba od razu całą historię od początku do końca streścić, a Kurzawa znowu wszystkiemu zaprzeczy i wyjdziemy na wariatów.

– Przecież coś im muszę powiedzieć – upierał się Organek, choć w głębi duszy całkowicie zgadzał się z argumentacją dziewczyny.

– To coś wymyśl, przecież martwe zwłoki nie zaprotestują.

– Łatwo ci mówić: „wymyśl”. Ten kretyn wykorzystał pierwsze litery z fragmentu piosenki, jakby nie mógł po ludzku napisać...

– Serio? Piosenki? No dawaj, ciekawa jestem.

Organek łypnął przez okno i dla bezpieczeństwa nacisnął guzik blokady drzwi. Nie wiadomo, czy przez to toyota yaris robiła się dźwiękoszczelna, ale z pewnością trudniej byłoby się komukolwiek dostać do środka. Wydostać ze środka zresztą też.

– „*If I could go to somebody for help It'd get me out of trouble for sure*” – zacytował doskonałą angielszczyznę. – To z albumu *Killers*, data wydania: drugi lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, trzeci utwór. *Murders in the Rue Morgue*.

– Piosenka Iron Maiden? – domyśliła się Linda. – Niezłe z was świry, w życiu bym na to nie wpadła. No i co niby znaczy ta wiadomość?

– Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że w ten sposób dał mi znać, że był umoczony w cokolwiek, co ukrywa Kurzawa, ale nie mógł nikomu o tym powiedzieć.

– Szkoda, że nie powiedział od razu, o co chodzi – zezłościła się dziewczyna. – Guzik wiemy, a w dodatku nic z tym nie możemy zrobić.

– Wiemy tyle, że faktycznie coś się dzieje. I że nie powinniśmy nikomu mówić o tym, że o tym wiemy, bo skończymy jak Marek.

Rozumowanie Jeremiego było słuszne, ale jednocześnie oznaczało, że na gwałt potrzebna im była jakaś ściema dla policji. Tymczasem, o ile szyfr użyty przez nieżyjącego kolegę Organka zaliczał się do tych genialniejszych, o tyle wymyślenie drugiego, którym zakoduje się sensowną wiadomość, stanowiło już niejaki problem.

– Słuchaj – odezwała się nagle Linda. – A może właśnie powinieneś im powiedzieć o tej piosence, ale bez żadnego komentarza. Zgadłeś, co to za cytat, bo jesteś psychofanem, o czym zaświadczy twoja koszulka, ale nie rozumiesz, co miałyby to oznaczać. A niech policja sama się zmóżdża, może dojdą do Kurzawy i wtedy my jesteśmy bezpieczni, a przy okazji i zniknięte zwłoki powinny się znaleźć.

– Jest to jakaś myśl...

– To jest genialna myśl, możesz mi już nawet nie gratulować, znam swoją wartość. Jedyny mankament tego planu polega na tym, że nie zadziała, jeśli organy ścigania okażą się tępe jak Maczuga Herkulesa w Ojcowskim Parku Narodowym.

O poziomie bystrości organów ścigania mieli się za chwilę przekonać, bo właśnie troje śledczych ukazało się na podjeździe. Jeremi zwolnił blokadę drzwi, po czym wraz z Lindą opuścili samochód.

– Jeszcze chwilę to potrwa, ale możemy usiąść w ogrodzie i tam zapytamy państwa o kilka rzeczy – poinformowała grzecznie prokuratorka.

– Oczywiście, a przy okazji: napiją się państwo czegoś? – Linda nie czuła się ani trochę speszona, a nawet wstąpiła w nią jakaś nowa energia.

– Kawy! – krzyknęli równocześnie Bączek z Wilczyńskim.

– Z ekspresu może być? Sypana się skończyła, a rozpuszczalnej nie uznaję.

– Lubię ją – szepnął Wilczyński do rozanielonego Bączka. – Jak się okaże, że to ona, to spreparujemy jakiś dowód, żeby jej karę złagodzili.

– Jak będzie trzeba, to alibi też się spreparuje – odszepnął podkomisarz, który gotów był bronić każdego, kto otwarcie krytykował kawę rozpuszczalną.

– Uznam, że tego nie słyszałam – odezwała się nagle Rumin. – Ale protokół sprawdzę dokładniej, panie komisarzu.

Biedny Bączek oblał się rumieńcem i zaklął w duchu. Akurat teraz, kiedy zbierał się wreszcie na odwagę, żeby zaprosić ją na kawę...

CORAZ MNIEJ CZASU



Mieczysław Kurzawa do swojej willi na Oporowie dojechał na autopilocie. Mimo że starał się robić dobrą minę do złej gry, nerwy miał już na postronkach i niewiele brakowało, żeby się rozsypał. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy zwolnił przed mijanymi po drodze radarami mierzącymi prędkość, nie pamiętał, czy rozmawiał przez telefon, trzymając go w ręce, bo jedynym, na czym potrafił się skupić, była myśl o rudowłosej dziewczynie i spektakularnym fiasku planu, za którego realizację odpowiadał.

Zaparkował byle jak, zamknął bramę wjazdową i wszedł do domu, marząc jedynie o kąpiel i wieczorze z piosenkami Marleny Dietrich.

Już od progu przywitał go przyjemny zapach pieczonego mięsa, przypominający mu, że tego dnia nic nie zjadł. Wypalił za to dwie paczki papierosów, co niewątpliwie nie pomagało na męczącą go od lat nadkwasotę. Kiedy zamknął drzwi, z kuchni znajdującej się po prawej stronie domu wyłoniła się jego elegancka, jak zwykle uśmiechnięta żona. Rزتaczając wokół siebie zapach szyprowych perfum, przytuliła się do niego.

– Ciężki dzień? – zapytała aksamitnym głosem, a w jej błękitnych oczach pojawiła się troska. – Piotr dzwonił i prosił, żebyś mu wybaczył. Jak rozumiem, znów coś nabroił?

– Nabroił, a ja jak zawsze muszę po nim sprzątać – odpowiedział ze złością. – Nie mogę w kółko martwić się jeszcze jego indolencją, zamierzam zerwać naszą umowę.

– Może to i lepiej, skarbie, niepotrzebne ci dodatkowe stresy. Do emerytury został ci tylko rok, tak niewiele, nie warto tracić zdrowia.

Kurzawa pokiwał głową i się rozpogodził. Rok do emerytury, to brzmiało jak spełnienie marzeń; jeszcze tylko jeden mały krok, a będzie mógł dożyć swoich dni w należnych mu luksusach.

Pocałował żonę w policzek i poszedł umyć ręce, całkiem słusznie spodziewając się, że za chwilę zasiądą do kolacji. Ta myśl odpędziła czarne chmury znad jego głowy, dzięki czemu spokojny wieczór mógł wynagrodzić mu zaskakująco intensywny dzień.

Umywszy dłonie tak samo dokładnie, jak robił to w pracy, oparł je o granitową umywalkę i spojrzał w oczy swemu sobowtórowi, patrzącemu na niego z owalnego lustra. Zmęczenie, lęk, ale i determinacja – wszystko to wyczytał z siatki zmarszczek i podkrążonych oczu. Ochlapał twarz chłodną wodą, oklepał ją dłońmi, a następnie wytarł siwe wąsy papierową chusteczką. Krople wody na czole przyniosły mu ulgę, pozwolił im więc wyschnąć, co w panującej temperaturze trwało zaledwie kilkanaście sekund.

– Usiądź, skarbie. Smacznego – zachęciła go żona, choć właściwie pięknie przypieczone żeberka same w sobie stanowiły najlepszą zachętę.

Kurzawa nałożył na talerz dwa wyjątkowo okazałe kawałki mięsa i kilka młodych ziemniaczków posypanych koperkiem, po czym oddał się przyjemności płynącej z konsumpcji. Jego żona pośród wielu zalet posiadała niezwykły dar czarowania w kuchni. Wszystko, co wychodziło z jej garnków, było prawdziwą ambrozją. Pytana o sekretne składniki, zawsze odpowiadała tak samo: wystarczy szczypta prawdziwej miłości.

– Była u mnie Linda Miller – odezwał się Kurzawa, zaspokoiwszy pierwszy głód. – Niestety nie udało mi się poruszyć tematu, bo wszystko zepsuł Organek.

– Jeremi? – Żona Kurzawy uniosła brwi. – W jaki sposób ten uprzejmy i niezwykle kompetentny człowiek mógł cokolwiek zepsuć?

– Właściwie masz rację, to wina Piotra. Niestety trafiło na Organka, a ten wpadł do mnie, narobił paniki, a w końcu ja sam spanikowałem i wysłałem go na urlop zdrowotny.

– Och, Mieciu... Faktycznie Piotr nabroił, rozmówię się z nim, w końcu to mój brat. A co z tą Lindą?

– Zdaje się, że wszystko w porządku, będę musiał do niej zadzwonić i zaproszę ją może gdzieś, gdzie nie trafi na podrzuczone zwłoki. Czasu mam coraz mniej.

– Spokojnie, to bardzo mądra dziewczyna. Była moją najlepszą uczennicą, jest bystra i wszystko łapie w lot. Jestem pewna, że kiedy już się dowie, z radością się do was przyłączy. A odwagi jej nie brakuje.

– Tyle zdążyłem zauważyć. – Mieczysław się uśmiechnął. – Zaimponowała mi, choć nie spodziewałem się, że zna Organka. Dziwię się tym

bardziej, że to ze mną chciała porozmawiać, bo przecież on jest lepszym medykiem niż ja, w dodatku praktykiem, a ja od lat ugniatam siedzisko w fotelu.

– Ale ty jesteś profesorem i z sukcesem zarządzasz zespołem wybitnych specjalistów. Znów się nie doceniasz.

W atmosferze przyjemnej rozmowy skończyli kolację, po której Kurzawa skorzystał z upragnionej kąpieli, oczywiście odczekawszy stosowną chwilę, zanim wszedł do gorącej wody. Jego żona w tym czasie oddawała się pasjonującej czynności oceniania klasówek licealistów, którzy na temat wędrówki ludów zdawali się wiedzieć dokładnie tyle, ile udało im się zapamiętać z Wikipedii.

WYPRZEMY SIĘ KAŻDEGO SŁOWA



– Proszę usiąść, rozgościć się, a ja zaraz przyniosę kawy – zaczęła Linda, kiedy śledczy wraz z Jeremim znaleźli się na tarasie z tyłu domu. – Cukru komuś? Mleka?

Wszyscy zadeklarowali czarną i gorzką, co ucieszyło Lindę, bo nie sprawdziła, czy luksusy w postaci cukru i mleka znajdują się na wyposażeniu jej kuchni. Ona sama nie słodziła, a mleko uznawała wyłącznie w formie ptasiego mleczka.

Zaparzyła ostatnią z czterech kaw, ustawiła kubki na tacy kupionej na pchlim targu i dołączyła do towarzystwa, które w całkowitym milczeniu oddawało się wsłuchiwanemu w odgłosy przyrody niedostępne uszom mieszkańców z Popowic, Śródmieścia czy nawet Psiego Pola. Jeremi wprawdzie od czasu do czasu dostępował zaszczytu wysłuchania ptasich trelów, ale tylko wtedy, gdy naszała go ochota na spacer wzdłuż nadodrzańskich wałów o świcie.

– Bardzo proszę, smacznego i na zdrowie. – Linda uśmiechała się szeroko, rozdając napoje. – Pani prokurator na pewno nie życzy sobie kawy?

– Nie, nie, dziękuję. Woda w zupełności wystarczy. – Kalina Rumin pomachała półlitrową butelką wody mineralnej, którą przywiozła ze sobą.

– Dobrze, to może zaczniemy od początku – odezwał się Bączek. Jeden, acz solidny łyk doskonałej kawy natychmiast dodał mu finezji w pomyślunku. – Skąd państwo się znają?

– Z kostnicy – odpowiedział natychmiast Jeremi.

– Z koncertu – rzuciła w tym samym momencie Linda.

No tak, tego akurat uzgodnić nie zdążyli...

Bączek wyraził uprzejme zdziwienie, a sławetna lampka w jego potylicy nieśmiało zamruwała.

– Z koncertu w kostnicy? – upewnił się, czy dobrze zrozumiał.

– No... Właściwie można tak powiedzieć, bo Jeremi gra w zespole, a ja akurat byłam na takim jednym, który się odbywał w dawnej kostnicy, i tak się poznaliśmy. – Linda kłamała jak z nut, nawet się nie zająknęła, a w dodatku cały czas patrzyła Bączkowi prosto w oczy.

– Co za czasy, że kostnice przerabiają na sale koncertowe... – zasmucił się Wilczyński. – A ten pański zespół to jakiś znany?

– W niektórych kręgach nawet całkiem – pochwalili się Organek. – Może pan słyszał, Anus Mundi się nazywa.

– Poważnie? Odbytnica świata? Nawet fajnie – ocenił Bączek. – Kazik, ty jesteś dobry w kryptonimy, też by mógł być, nie?

– Taaa, jakbyśmy rozpracowywali jakąś dziuplę, to idealnie.

– Panowie, do brzegu – upomniała ich prokuratorka. – Na tematy muzyczne możecie porozmawiać po służbie. Ja natomiast chciałabym się dowiedzieć, jak to się stało, że w pani domu znaleziono ciało znajomego pana Organka.

– To akurat nie jest żadna zagadka – odparła Linda. – Przyjechaliśmy po la... po coś przyjechaliśmy, zauważyłam, że drzwi zostały uszkodzone, sprawdziliśmy, czy włamywacza nie ma w domu, a zamiast włamywacza znaleźliśmy martwe zwłoki, które okazały się kolegą Jeremiego.

– I pani tych zwłok, to znaczy kolegi pana Organka, nie zna? – podjął przesłuchanie Bączek.

– Tylko ze słyszenia.

– Aha. A co pani o nim słyszała?

– Że okłamuje żonę.

Tym razem aż trzy zdziwione spojrzenia ulokowały się na wysokości jej twarzy. Jeremi milczał, świadomy, że Linda doskonale poradzi sobie z inwestycją.

– Zdradzał ją? – zgadywał Wilczyński.

– A tego to nie wiem, trzeba żony zapytać. Ale na pewno ją okłamywał, bo ona myślała, że on jest w pracy, a on w tym czasie martwił w moim garażu.

– A może on zdradzał tę żonę z pani współlokatorką? – W oku Rumin błysnęła nadzieja.

– Raczej nie, on zupełnie nie jest w typie Igi. Pani to co innego.

Tego nikt nie odważył się skomentować, bo po pierwsze, Kalina Rumin była w typie każdego, a po drugie, mogąca sporo wyjaśnić kwestia romansu Igi Nowocien z żonatym patologiem w średnim wieku właśnie odjechała na srebrnym koniu do krainy pobożnych życzeń.

– No dobrze, czyli nie był tu romansować, w jakim więc celu zjawił się w pani domu, skoro przecież ani pani nie znał, ani nie wiedział, gdzie pani mieszka, bo przecież pani nie znał?

Tak wiele zaprzeczeń w jednym zdaniu skonsternowało nawet autorkę tej wypowiedzi, a sama Linda musiała kilka razy powtórzyć sobie w myślach każde zdanie podrzędne.

– Nie wiem, w jaki sposób wymyślił, że tu będzie Jeremi, bo ja sama nie wiedziałam, że tu będzie, ale uważam, że Marek zjawił się w moim domu właśnie w celu spotkania z nim. Z Jeremim znaczy.

– Potwierdza to wiadomość, którą znaleźliśmy obok jego ciała – wtrącił się Bączek.

– List pożegnalny? – stropiła się Kalina.

– List z zaszyfowaną wiadomością dla pana Organka – wyjaśnił Wilczyński. – Mówił pan, że wie, co ona oznacza.

Jeremi poprawił się na krześle i skinął głową. Intensywna obserwacja, jakiej właśnie podlegał, nieco go deprymowała. Niemniej nie zamierzał utrudniać władzy prowadzenia śledztwa, powtórzył więc dokładnie to, co wcześniej objawił Lindzie, a reakcja policjantów zasadniczo nie odbiegała od tego, co usłyszał z ust rudzielca.

– Jezus, ale to trzeba mieć pokręcony umysł, żeby wpaść na taki pomysł – stwierdził z mieszaniną podziwu i zgrozy Bączek.

– I żeby go zrozumieć, chyba też – dorzucił Wilczyński, nie mniej oczarowany.

Prokurator Rumin nie wyglądała ani na oczarowaną, ani na zmieszaną, jej mina wyrażała za to daleko idący sceptycyzm.

– Jakoś mi się to wszystko nie klei... – stwierdziła. – Skoro denat nie wiedział, że zostanie tu pana, a jednak przybył z wiadomością, którą odczytać mógł jedynie pan, to albo ja się gdzieś pogubiłam, albo państwo pominęli coś istotnego w tej historii.

Linda poczuła ukłucie niepokoju. Cholera, faktycznie jest dobra! – pomyślała z szacunkiem. Spojrzała na Jeremiego, który zdawał się nadawać na tych samych falach, i niezauważalnie skinęła głową.

– No dobra, ma pani rację. Wszystko pani opowiemy, całą prawdę, ale jak nas weźmiecie za wariatów, to zamierzam się wyprzeć każdego słowa i żadnego papieru nie podpiszę. Jeremi też. Prawda, Jeremi?

– Prawda – potwierdził z uśmiechem. – Zresztą ja to już chyba mam łatkę wariata, więc wszystko mi jedno.

Na szczęście, zanim śledczy pojawili się na podjeździe domu, potencjalni wariaci zdążyli uzgodnić, jak ta prawda powinna wyglądać.

TA HISTORIA KUPY SIĘ NIE TRZYMA



Podkomisarz Bączek doskonale panował nad mimiką swojej twarzy, wskutek czego za żadne skarby nie dało się wywnioskować, co myśli na temat zeznania Lindy i Jeremiego. A myślał wiele i zamierzał z tych myśli wysnuć stosowne wnioski, tyle że najpierw musiał je przetrawić, rozpisać i przedyskutować z kimś mądrym. W świecie Bączka panował zaś nieustający deficyt ludzi mądrych, a ich liczba oscylowała wokół jednej, góra trzech osób, z czego pierwsza też miała mętlik w głowie, druga mieszkała stanowczo za daleko, za to trzecia była na miejscu i z radością przyjęła zaproszenie do dysputy.

– Czyli mówisz, że dziewczyna wróciła do domu i zastała w nim naszego pacjenta, którego nigdy wcześniej nie widziała na oczy, ale tenże przypadkiem jest kolegą z pracy faceta, który przypadkiem tego dnia odwiedził dziewczynę w jej domu? – Doktor Remigiusz Baczmański w typowy dla siebie sposób porządkował myśli, wypowiadając je na głos. – Nie sądzisz, że trochę za dużo tu przypadków?

– Sądzę, ale chciałem się upewnić, że się ze mną zgodzisz – odparł Bączek z szerokim uśmiechem. – Czyli ty też uważasz, że ta historia kupy się nie trzyma.

– Ano nie trzyma – potwierdził medyk sądowy. – Po pierwsze, jeśli ktokolwiek znajduje w swoim domu obcą osobę, ta najczęściej okazuje się włamywaczem, kochankiem żony albo komornikiem.

Podkomisarz w swoim życiu spotkał się jedynie z pierwszym spośród wymienionych przypadków, ale potrafił sobie wyobrazić dwa pozostałe, bo przecież nie mieszkał w amazońskiej dżungli i od czasu do czasu oglądał filmy.

– A po drugie – kontynuował Baczmański – Wrocław to nie Luboszów, żeby przypadkiem trafić akurat do domu znajomej znajomego.

I tym razem Bączek skinął głową, bo jego myśli podążały tym samym torem. Co prawda Luboszów, dolnośląska wieś szczycąca się tytułem

najmniejszej w Polsce, była ewenementem w skali makro, niemniej prawdopodobieństwo wytypowania jednego konkretnego domu spośród kilkudziesięciu tysięcy stojących we Wrocławiu było prawdopodobne w stopniu porównywalnym do zmartwychwstania pacjenta leżącego na stole w jaskini zła.

– Fajnie – rzucił podkomisarz. – Wiemy już, że coś tu nie bangla, a więc teraz musimy wymyślić, co z tego wynika.

Baczymański spojrział na Bączka wzrokiem wyrażającym w najlepszym razie głęboką troskę. Pokręcił głową z politowaniem i zabrał się do przygotowania pacjenta do operacji, jak zwykł od lat nazywać autopsję i poddawanych jej denatów. I biada każdemu, kto w jaskini zła odważyłby się nazwać to inaczej. Z wyjątkiem Bączka, ponieważ on miał specjalne względy i jako jeden z nielicznych, nie tylko policjantów, cieszył się sympatią utytułowanego patologa.

– Słuchaj, Michaś – zaczął lekarz tonem wykładowcy – ja mogę co najwyżej zgadywać, ale na mój nos brakuje ci istotnych danych. Mówisz, że nasz pacjent...

– Marek Nowak – odpowiedział uczynnie Bączek.

– Nasz Marek Nowak... Serio tak się nazywa? Poznałem kiedyś jakiegoś Marka Nowaka, co to była za okazja? Sympozjum? Koncert? Wyjazd na narty? Cholera, nie przypomnę sobie.

– Ale ty wiesz, Remik, że Nowak to takie raczej popularne nazwisko? I Marek też dość powszechny.

– Może i tak, ale ja poznałem tylko jednego. Tylko gdzie ja go poznałem? Podkomisarz wzruszył ramionami, bo nieszczególnie interesowało go, gdzie patolog mógł poznać...

– On był patologiem – poinformował tonem odkrywcy. – Mówi ci to coś?

– No widzisz! Już wiem, gdzie go poznałem, na koncercie rockowym! Basistą był, czekaj, czekaj, jak się nazywał ten zespół...

– Anus Mundi – odpowiedział policjant.

– Tak! – Baczymański ucieszył się, jakby usłyszał najlepszą nowinę w tym stuleciu. – Dobrzy są, skubani, walą w gary, aż ciarki po plecach latają.

Bączkowi i bez Anus Mundi ciarki po plecach latały, bo tych przedziwnych zbiegów okoliczności robiło się stanowczo zbyt wiele. Ostatnim razem, kiedy intuicja tak bardzo zaczynała się w nim miotać... Nie, nie. Absolutnie nie będzie o tym myślał, tamto jest zamknięte na trzy spusty i żadne upiorne baby nie będą mu się więcej po karierze plątać. To jest ordynarne zabójstwo, prawdopodobnie nawet drugiego stopnia. Albo zwyczajny wypadek.

A jednak...

Baczymański założył na siebie wymagane odzienie, w tym rękawiczki w kolorze dojrzałego wrzosu, i przystąpił do oględzin zwłok, które w tej chwili wwiózł do sali jego asystent. Z szacunkiem odkrył ciało, pokiwał głową na widok twarzy byłego rockandrollowca, zatrzymał się nieco dłużej przy ranie na skroni i nie patrząc na Bączka, obwieścił:

– Ta rana go nie zabiła, jest za płytka. Ze zdjęć z miejsca znalezienia ofiary wnioskuję, że krwi też było niewiele. Oczywiście potwierdzę to dopiero po dokładnym obejrzeniu mózgowia, ale na moje oko tu stało się coś zupełnie innego.

Podkomisarz Bączek pomału zaczynał czuć się nieswojo, bo na samą myśl o oglądaniu mózgowia miał odruch wymiotny, a szanse na zemdlenie znacząco wzrastały. Baczymański doskonale zdawał sobie z tego sprawę i nie zamierzał angażować mężczyzny w dalszą procedurę, obiecując, że wyniki sekcji dostarczy natychmiast po jej zakończeniu. Niemalże na bezdechu i z zamkniętymi oczami Bączek opuścił budynek przy Mikulicza-Radeckiego i pomknął do komendy. Zamierzał tam napić się mocnej kawy, a następnie odwiedzić miejsce pracy ofiary, gdzie miał nadzieję nie tylko dowiedzieć się nieco więcej o samym Nowaku, lecz także zasięgnąć języka na temat Jeremiego Organka.

W tym samym czasie nadinspektor Wilczyński odbębnił wizytę u zrozpaczonej wdowy, która na wieść o znalezieniu martwego małżonka w garażu dwudziestopięcioletniej blogerki dostała ataku szału i rozpacz momentalnie jej minęła. Gdyby Marek Nowak żył, z pewnością by go zatłukła. Ponieważ jednak nie żył, a wściekłość pani Klary Nowakowej nie miała na kim się skrupić, padło na nadinspektora, który wspiał się na wyżyny dyplomacji i empatii, dzięki czemu wdowa uniknęła zakucia w kajdanki. Wilczyński żałował jedynie, że nie da się odusłyszeć kanonady przekleństw, i wychodząc z domu państwa Nowaków, przestał się dziwić, że „ta nędzna karykatura lekarza całe dnie spędzała poza domem”.

Do komendy dojechał niemal równo z Bączkiem, dzięki czemu mogli wymienić się zdobytymi informacjami, pokonując mordercze schody.

– Odzwyczaiałem się od ludzi, Michaś – stwierdził nadinspektor, posapując. – Chyba już nie mam do nich cierpliwości i czas pomyśleć o emeryturze.

– No co ty, Kazik, po prostu wyszedłeś z wprawy.

– Dawniej jakieś to było łatwiejsze. Mężowie pili, podpadali zbirom, nikt nikomu obcemu w domu nie umierał. A czy to moja wina, że on tam wlaź

i umarł? Przecież ja go po łbie nie waliłem – zalił się Wilczyński.

– Remik mówi, że ten, co walił, wcale go nie zabił.

– Poważnie? Do jasnej anielki, tylko mi nie mów, że coś przeoczyliśmy!

– No przecież nic takiego nie mówię, przynajmniej w kontekście ofiary. Leb rozbito, ale rana nie była śmiertelna. Remik da znać.

– A w innym kontekście?

– W innym kontekście zostaliśmy nabici w butelkę, a przynajmniej tak się wydaje tym, co nas próbowali nabici. Nic się nie klei, trzeba ich jeszcze raz przesłuchać.

– Tyle to i ja sam wygłówkowałem.

– Miejmy nadzieję, że Kalina jeszcze tego nie wygłótkowała... – Urwał nagle i chwycił przełożonego za ramię. – No i po nadziei.

Pod drzwiami gabinetu należącego do Wilczyńskiego Kalina Rumin rozmawiała z oficerem zajmującym się przestępczością gospodarczą. Na widok nadchodzących śledczych pożegnała mężczyznę i przybrała groźną minę.

– Można wiedzieć, gdzie panowie byli? – zapytała zimno, przesywając ich równie zimnym spojrzeniem. Czarne kręcone włosy tego dnia upięła nad karkiem, co dodawało jej twarzy surowości.

– W pracy, pani prokurator, śledztwo prowadzimy – odpowiedział Wilczyński.

– Proszę sobie oszczędzić tych humorystycznych wstawek, zbrodnia to nie temat na żarty.

Nadinspektor otworzył drzwi i wpuścił kobietę do środka. W pomieszczeniu panował przyjemny półmrok, który w połączeniu z dwoma fotelami ustawionymi naprzeciwko wysokiego, wypełnionego książkami regału sprawiał, że zniszczone gumoleum i wymagające odświeżenia ściany nie rzucały się tak w oczy.

Kalina Rumin zajęła jeden z foteli, Wilczyński usiadł na drugim, Bączkowi pozostało więc jedynie krzesło. Zanim jednak zasiedli do rozmowy, podkomisarz zaparzył kawę w trzech kubkach, z których jeden wielkością przypominał małe wiadro.

– Oni kłamią – stwierdziła prokuratora bez ogródek, założywszy nogę na nogę. – Wiecie o tym, mam nadzieję.

– Podejrzewamy – odpowiedział ostrożnie Bączek. – Może nie tyle kłamią, ile unikają mówienia prawdy.

– Wszystko, co powiedzieli, potwierdziło się – dodał Wilczyński i dmuchnął do kubka. – Teraz nasza w tym głowa, żeby wydobyć od nich to,

czego nie powiedzieli, oraz dowiedzieć się, dlaczego postanowili to przemilczeć.

– Znamy już przyczynę śmierci? – zwróciła się do Bączka prokuratorka, zdradzając, że doskonale wie, co robił wcześniej.

– Wiemy jedynie, że nie była nią rana na skroni. Po południu będą ustalenia z sekcji.

Kobieta skinęła głową i napiła się gorącego płynu.

– Może ja powinnam porozmawiać z tą Miller? – zastanawiała się.

– Coś mi mówi, że Michał poradzi sobie z nią lepiej. – Wilczyński mrugnął do Kaliny. – Ty możesz wziąć się za George'a Clooneya.

– Słusznie – zgodziła się, a na jej ładnej twarzy wreszcie pojawił się uśmiech.

CO TY KNUJESZ, LINDO?



Najdziwniejsza środa w życiu Jeremiego Organka skończyła się zaskakująco zwyczajnie.

Wrócił do domu, zmył z siebie resztki teraźniejszości i zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Po raz pierwszy od kilku lat nie przyjął końskiej dawki leków, a mimo to spał jak kamień.

Kiedy się obudził, nie pamiętał snów, a być może wcale ich nie miał. Słońce stało już wysoko na niebie, co odkrył z paniką, po czym przypomniał sobie, że przecież ma wolne, w dodatku bez terminu ważności. To jawne pogwałcenie wypracowanej rutyny wzbudziło w nim ducha buntu.

– Skoro nigdzie nie idę, to nie muszę się ubierać – stwierdził na głos. – A skoro nie muszę się ubierać, to umyję się później. Albo i nie.

Z tą myślą poczłapał do kuchni, zaparzył sobie kawę i włączył telewizor. Było kilka minut po dziewiątej, więc na interesujących go kanałach nadawano serwisy informacyjne. Bezmyślnie klikał w klawisze pilota, szukając czegoś, co wreszcie go zainteresuje. Pandemia, pandemia, tornada, wypadki. Stop!

Reporterka regionalnej telewizji z zaangażowaniem opowiadała o wizycie policji na jednym z luksusowych osiedli.

Jeremi zmrużył oczy, a za chwilę otworzył je szeroko, rozpoznawszy dom Lindy.

– O rany boskie, a co to za heca?! – krzyknął i pogłośnił telewizor.

– ...który widzą państwo za moimi plecami – rozległo się z odbiornika – wczoraj padł łupem włamywaczy. Jego właścicielka poinformowała nas, że zamek w drzwiach został wyważony, a z jej sejfów zniknęły istotne dokumenty. Policja od wczoraj zabezpiecza ślady i będzie sprawdzać, czy to jednostkowy przypadek. Jak udało nam się nieoficjalnie dowiedzieć, do włamania doszło w czasie, kiedy większość mieszkańców osiedla Malowniczego znajdowała się

w pracy. Zabezpieczono już nagrania z monitoringu, trwa ustalanie okoliczności.

Jeremi mieszał kawę łyżeczką w łowickie wzory i zastanawiał się, jakim cudem do mediów dotarła informacja o włamaniu do domu Lindy, a o znalezieniu w nim zwłok nie padło ani jedno słowo. Czyżby telewizja nie miała ważniejszych tematów, którymi mogłaby się zająć? Chwycił pilot i już miał przełączyć na kolejny kanał, kiedy z niedowierzaniem ujrzał rudą głowę panny Miller szczerzącą się do kamery.

– To jest diabeł wcielony – stwierdził z uśmiechem. – Co ty knujesz, Lindo?

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Linda Miller bez najmniejszych oznak skrępowania czy choćby tremy udzieliła wyczerpującej odpowiedzi na pytanie dziennikarki o to, czy domyśla się powodu włamania.

– Jestem przekonana, że się domyślam, i chciałabym skorzystać z okazji, żeby powiedzieć włamywaczowi, co o nim myślę. – Dziewczyna chwyciła mikrofon i niemal wyrwała go z rąk zaskoczonej reporterki. – Słuchaj no, ty wieprzu nieogolony i mendo parchata. Lepiej dla ciebie, żeby to, co zabrałeś wiesz skąd, znalazło się z powrotem w tamtym miejscu, bo jeśli tego nie zrobisz, to cały świat dowie się o rusałce i wtedy już nawet Panie Boże nie pomoże. – Wpatrując się w kamerę z intensywnością godną bazyliuszka, oddała mikrofon, ale natychmiast znowu wydarła go z dłoni dziennikarki. – Aha, i jeszcze jedno, harpio odczłowieczona. Następnym razem nie zostawiaj mi niespodzianek, którymi zwracasz na siebie uwagę. Cymbale.

Tym razem mikrofon wrócił już na stałe do oszołomionej pracownicy telewizji, a operator kamery wciąż skupiał się na zawziętej minie Lindy.

Jeremi również wpatrywał się w bursztynowe oczy, on jednakże robił to z niekłamanym podziwem.

Dziennikarka w końcu odzyskała rezon i zakończyła relację w trzech słowach, a na ekranie pojawiła się prezydentka wiadomości, na której wypowiedź Lindy też musiała zrobić piorunujące wrażenie, nie skomentowała go bowiem ani słowem.

Organek dopił kawę, a durnowaty uśmiech wciąż błąkał się po jego twarzy. Złapał się nawet na myśli, że czuje niemalże ojcowską dumę. Po chwili jednak do głosu doszedł rozsądek, z którego patolog sływał. Wyzwanie rzucone przez Lindę oznaczało dwie rzeczy: włamywacz został *expressis verbis* sprowokowany do odpowiedzi, a do policji dotrze wiadomość, że szalona

dziewczyna posiada informacje o jakiejś rusałce, która w dodatku ma związek z włamywaczem.

– Oj, niedobrze, niedobrze – mruknął pod nosem. – Ostatnia nadzieja w tym, że prowadzący śledztwo nie mają czasu na oglądanie telewizji...



W tym samym czasie prowadzący śledztwo naradzali się w gabinecie nadinspektora Wilczyńskiego, a po dopiciu kawy rozeszli się do swoich zadań. Bączek pojechał do szpitala, Rumin wybrała się na spotkanie z Organkiem, a Wilczyński, jak przystało na dowodzącego, zajął się swoimi sprawami. Pierwszego pasjansa nie ułożył, z drugim szło mu lepiej, ale kawa w wiaderku mu się skończyła i chcąc nie chcąc, musiał wstać od biurka. Po chwili okazało się, że nie tylko kawa, ale i woda w czajniku wyparowała, trzeba więc było pofatygować się do kantyny.

Już na korytarzu zorientował się, że wybrał porę najgorszą z możliwych, bo trafił idealnie na przerwę śniadaniową. Z kantyny dobiegały gwar rozmów i dzikie rechoty, od których nadinspektorowi flaki się przewracały. Chyba rzeczywiście odzwyczaił się od ludzi i wcale nie było mu z tym źle.

Ten sam oficer, który wcześniej rozmawiał z prokuratorem Rumin, tym razem z wyjątkowym rozbawieniem dzielił się z kolegami jakąś anegdotą. Wilczyński wszedł do kantyny w chwili, gdy przetaczała się przez nią kolejna fala gromkich śmiechów.

– Oho, czyżby koledzy szykowali się na doroczny festiwal kabaretów? – zapytał uprzejmie, acz złośliwie.

Atmosfera siadła w okamgnieniu. Wesołość wyparowała i nikt nie odezwał się już słowem. Wilczyński, któremu daleko było do poprawności politycznej, poczuł się urażony.

– Jak na żartownisiów to chyba macie kiepskie poczucie humoru – stwierdził sucho. – Za moich czasów gęby się zawierało, kiedy do pokoju wchodził konfident.

Pierwszy aluzję zrozumiał znajomy Kaliny Rumin, co objawiło się najpierw potężnym rumieńcem na jego nienachalnie ładnym licu, a zaraz potem miną, którą Wilczyński bez pardonu określał mianem pyska kota srającego na puszczy.

– Słuchaj, Kazik... – zaczął nieśmiało mężczyzna o kocim pysku. – Nie wiem, czy słyszałeś, ale twój świadek ma wyjątkowe parcie na szkło.

– Że niby który? – Nadinspektor spojrzał na niego z rezerwą.

– Żeński. Rudy.

– Jaśniej poproszę – zażądał surowo Wilczyński, czując, jak mu się pot zbiera na czole.

– Ta wygadana dziewczyna od patologa urządziła sobie gościnne występy w telewizji i wyzwała włamywacza.

– Wiem już, że poczucia humoru nie masz, Bartek, więc nie podejrzewam, że żartujesz – wycedził nadinspektor. – Gdzie to można zobaczyć?

Po uzyskaniu potrzebnej mu informacji Wilczyński zaskakująco żwawo ruszył do swojego gabinetu. Zapomniał nawet, w jakim celu znalazł się w kantynie, bo ochota na kawę minęła mu bezpowrotnie.

Zamknął okno z niedokończonym pasjansem, uruchomił przeglądarkę i odszukał nagranie z wiadomościami. Przez trzy minuty, bo mniej więcej tyle trwał interesujący go materiał, niemalże nie oddychał. A gdy już odetchnął, sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer Bączka.

Podkomisarz odebrał już po trzecim sygnale, rzucił radosne „halo, halo, szefie”, po czym w milczeniu wysłuchał litanii składającej się ze słów powszechnie przypisywanych grupom społecznym uznawanym za mało elitarne. Jedynym zdaniem, które nadaje się do powtórzenia, było zaś:

– Jadę do tej Miller, psia jej mać, i tak ją przemagluję, że będzie mogła robić za swój własny wydruk w dwa de!

Bączek, wciąż milcząc, odłożył telefon na fotel pasażera i dojechał do szpitala, pod którym z trudem udało mu się znaleźć miejsce do zaparkowania, i to w dodatku dopiero po dwóch rundach. W głowie wciąż brzmiały mu słowa przełożonego i po raz pierwszy w życiu ucieszył się, że znajduje się na drugim końcu miasta, co rodzi realną szansę, że zanim się spotkają, emocje Wilczyńskiego zdążą opaść. W najgorszym wypadku trzeba będzie organizować adwokata i psychologa, ale o to martwić się będzie później. Teraz skupi się na tym, po co tu przyjechał, i biada każdemu, kto postanowi mu przeszkodzić.

Mieczysław Kurzawa nie spodobał mu się już na wstępie. W oczach siwowłosego profesora zobaczył niemający żadnego umotywowania strach, a jego ruchy wydały się Bączkowi nieco zbyt teatralne. Intuicja, której policjant słuchał z wyjątkową uwagą, podniosła chorągiewkę i nie zamierzała jej opuszczać. Inna sprawa, że jedynym prosektorium, w którym zdarzało mu się

przebywać z własnej woli, była jaskinia zła, zaś gabinet Kurzawy nie budził w nim zaufania.

– Napije się pan kawy, komisarzu? – zaproponował z przesadną grzecznością patolog.

– Bardzo dziękuję, już piłem. Nie chcę zabierać panu zbyt dużo czasu, doskonale wiem, że pracy ostatnio wam nie brakuje.

– Ależ to żaden problem, absolutnie żaden! – zapewnił gospodarz. – Rozumiem, że zjawił się pan w sprawie Marka Nowaka, świeć, Panie, nad jego duszą.

Bączek usiadł w fotelu, ale nie odpowiedział. Przyglądał się twarzy mężczyzny z uwagą, zastanawiając się, dlaczego tak go od niego odpycha. Kurzawa uśmiechał się, ale nie był to uśmiech szczery. Jego oczy wciąż skrywały strach.

– Tak właściwie to jestem tu, żeby zapytać o innego z pańskich pracowników. O pana Organka. – Nazwisko Jeremiego wymówił z naciskiem, choć w zasadzie nie wiedział, dlaczego to zrobił. Znów ta cholerna intuicja.

Kurzawa zbladł, a wystudiowany uśmiech spłynął z jego twarzy, przyklejając wąsy do górnej wargi.

– Jeremiego? – wyszeptał.

– A zatrudnia pan tu cały klan Organków?

– Co? Klan? Nie! – Patolog roześmiał się sztucznie. – Całe szczęście tylko jednego. A coś mu się stało?

– Mam nadzieję, że nie, a czemu pan pyta? – Bączek zmrużył oczy i utkwiał wzrok pomiędzy brwiami mężczyzny. Przy okazji odnotował w pamięci „całe szczęście tylko jednego”.

– Bo pan pyta. Zaskoczył mnie pan, panie komisarzu – tłumaczył się Kurzawa. – Nikt dotychczas nie zjawił się tu z pytaniem o Jeremiego. A już na pewno nie policja kryminalna.

– To akurat powinno pana cieszyć, wizyta policji rzadko kiedy zwiastuje dobre nowiny. Dlaczego pan Organek jest dzisiaj nieobecny w pracy?

– Przebywa na urlopie zdrowotnym – odpowiedział odrobinę zbyt szybko Kurzawa. – Niestety nie mogę powiedzieć nic więcej, dane wrażliwe, rozumie pan.

Bączek rozumiał o wiele więcej, niż można było podejrzewać, oceniając go po wyglądzie. Przede wszystkim zaś rozumiał to, co wisiało bezgłośnie między wierszami. Kurzawa wyraźnie nie lubił Organka, a jego nieobecność była mu na rękę.

– Wiadomo panu, w jakich stosunkach pan Organek był z Markiem Nowakiem?

– Raczej w poprawnych. Byli kolegami z pracy, nigdy nie zdarzały się między nimi konflikty.

– A prywatnie?

Kurzawa wyglądał, jakby nie zrozumiał pytania, a Bączek cierpliwie czekał na odpowiedź. Patolog podniósł do ust szklankę z wodą, po czym oświadczył:

– Doktor Organek raczej nie miewa towarzyskich relacji. Jest typem samotnika, wycofanym i odrobinę... Jak by to ująć? – Zrobił teatralną pauzę, jak gdyby szukał w głowie właściwego słowa. – Antypatycznym. Nieszczerólnie lubi innych ludzi, a i oni nie lgną do niego jak muchy do miodu.

Ta wypowiedź upewniła Bączka w przekonaniu, które towarzyszyło mu od początku. Kierownik prosektorium usilnie próbował zdyskredytować Jeremiego, ukrywając to pod płaszczykiem udawanej szczerości. A podkomisarz nie znosił udawania, postanowił więc uderzyć dokładnie tam, gdzie udawacz się tego najmniej spodziewał:

– Wie pan, odniosłem zupełnie odmienne wrażenie – odparł ze spokojem. – Pani Linda Miller zdaje się bardzo go lubić, a ich stosunki wyglądają na zażyłe.

Kiedy Bączek wypowiadał te słowa, patolog uniósł do ust szklankę i zakrztusił się z wrażenia. Policjant nakazał mu podnieść ręce do góry i rąbnął w wątłe plecy medyka, aż echo poszło.

– Niech pan oddycha – polecił surowo. – Musi mi pan jeszcze odpowiedzieć, dlaczego pan Nowak zostawił przed śmiercią wiadomość dla pana Organka, skoro twierdzi pan, że nie utrzymywali prywatnych kontaktów.

Dopiero teraz bladej jak trup Kurzawa rozkaszała się na dobre.

CZUJĘ, ŻE COŚ TU SIĘ DZIEJE



Kalina Rumin zaparkowała samochód kilkanaście metrów od bramki prowadzącej na strzeżone osiedle, na którym mieszkał Organek, i postanowiła trochę się rozejrzeć. Było wciąż dosyć wcześnie, a ona zjawiała się niemalże bez uprzedzenia, więc wolała mieć pewność, że mężczyzna nie przywita jej na przykład nago. Nie знаła przecież jego zwyczajów, a już dawno nauczyła się spodziewać wszystkiego.

Wędrując uliczkami, rozmyślała o najboleśniejszej nauczce, która odbijała jej się czkawką aż do tej pory. Wielokrotnie zastanawiała się, jak mogła być tak głupia. Ślepa, głucha i w dodatku zidiociała. I mimo że zastanawiała się nad tym już tyle razy, wciąż nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Co innego jej ojciec. On znał odpowiedź na każde pytanie i zawsze wszystko wiedział najlepiej.

„Od początku ci mówiłem, że to łajza!”. „Tak bardzo chciałaś ode mnie uciec, że musiałaś się chwycić pierwszego lepszego patałacha?”. „Gdyby matka żyła, toby ci go z głowy wybiła w try miga!”.

Ale matka Kaliny nie żyła, osierociła ją, kiedy dziewczynka miała zaledwie trzy lata, i od tamtej pory jedyną kobietą w jej życiu była złośliwa i zakompleksiona babka, która nigdy nie zaakceptowała faktu, że jej syn ożenił się z kobietą, która nie mogła mieć dzieci. Tak samo jak nigdy nie zaakceptowała Kaliny, bo nie była jej biologiczną wnuczką.

Ślub z Irkiem, chłopakiem, który rozkochał ją na zabój, niemal doprowadził ojca do śmierci. Jego jedyna córka, kochana ponad wszystko na tym świecie, straciła rozum i ogłuchła na wszelkie próby powstrzymania jej przed zrujnowaniem sobie życia. Im bardziej on próbował, tym silniejszy napotykał opór. Aż w końcu było za późno na jakiegokolwiek apele, prośby, groźby i łagania. Stało się.

Po dwudziestu minutach kręcenia się między blokami Kalina w końcu zadzwoniła domofonem do mieszkania Organka. Po chwili usłyszała dźwięk otwierania bramki, popchnęła ją i ruszyła wzdłuż bloku. Drzwi do klatki schodowej były otwarte, weszła więc bez ponownego użycia domofonu i stukając obcasami, wspięła się na najwyższe piętro.

– Dzień dobry, pani prokurator – przywitał ją Organek w progu. Na szczęście był ubrany, w dodatku wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam panu planów?

– Skądże. Moim jedynym planem na dziś jest posprzątanie mieszkania.

Jeremi otworzył drzwi na oścież i cofnął się w głąb przedpokoju. Rumin weszła do środka, a zapach jej perfum połechtał nozdrza mężczyzny.

– Zapraszam do kuchni, bo jedynie tam panuje jako taki porządek – powiedział z zawstydzeniem. – Napije się pani kawy?

– Dziękuję, już piłam. A pan w trakcie remontu? – zapytała, zauważywszy panującego w salonie rozgardiasz. Poprzedniego wieczoru nie miał już siły, żeby się tym zająć.

Organek nie odpowiedział od razu. Już podczas pierwszego przesłuchania zorientowała się, że ten człowiek nie szasta słowami, a odzywa się dopiero wtedy, kiedy wszystko przemyśli. Zupełnie inaczej niż rudowłosa Linda Miller.

– Szukałem dokumentów, a zupełnie nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie je wcisnąłem – wyjaśnił po chwili. – Było już bardzo późno i zostawiłem sprzątanie na rano.

Kalina uśmiechnęła się ze zrozumieniem, bo ona zawsze odwlekała sprzątanie do momentu, w którym ją samą bałagan zaczynał denerwować.

Weszli do obszernej, jasnej kuchni, urządzonej z wielkim smakiem. Pomieszczenie wyglądało jak wyjęte z katalogu wnętrzarskiego, jakby służyło wyłącznie do cieszenia oczu. Od razu było widać, że rzadko ktokolwiek tu gotował.

– Piękną ma pan kuchnię – oceniła z uznaniem. – I wyjątkowo czystą.

– Zwykle nie mam czasu, żeby ją zabrudzić, służy mi wyłącznie do picia kawy – potwierdził jej podejrzenia z uśmiechem. – Może jednak napije się pani?

– Naprawdę dziękuję. Nie chcę zabierać panu zbyt dużo czasu, ale pojawiło się kilka kwestii, które wymagają dodatkowych wyjaśnień, a nie chciałam ściągać pana do komendy.

Jeremi domyślił się celu wizyty pani prokurator już w chwili, kiedy zobaczył ją przez kamerę domofonu. Zresztą nawet wtedy nie był szczególnie zaskoczony.

– Proszę pytać – zachęcił, usadowiwszy się naprzeciw kobiety.

– Panie Organek – przyjęła profesjonalny ton. – Odniosłam wrażenie, że w trakcie wczorajszej rozmowy nie powiedzieli nam państwo wszystkiego, co ma znaczenie dla sprawy. Chyba się nie pomyliłam?

– Nie pomyliła się pani, rzeczywiście nie powiedziałem wszystkiego – odpowiedział ze spokojem, zaskakując tym prokuratorkę.

– Cieszę się, że pan to przyznał. Proszę się więc nie krępować.

– Marek Nowak nie zginął od uderzenia w głowę – oznajmił tym samym tonem. – Krwi było za mało, a sama rana wyglądała na powierzchowną.

Kalina uśmiechnęła się z uznaniem. Zupełnie zapomniała o profesji Organka, a może wcale o niej nie myślała.

– To wszystko, czego nam państwo nie powiedzieli?

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Dobrze więc, może ułatwię panu zadanie. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej notes. Otworzyła go na stronie zaznaczonej różową samoprzylepną zakładką. – Powiedzieli nam państwo, że opuścili wczoraj szpital razem, a następnie przyjechali do pańskiego mieszkania. W domu pani Miller zjawili się państwo wczesnym wieczorem. Czy to się zgadza?

– Owszem, dokładnie tak było.

– Czyli prosto ze szpitala przyjechali państwo tutaj, a prosto stąd na osiedle Malownicze? – Prokuratorka wlepiała wzrok w przystojną twarz Jeremiego. – I nigdzie nie byli państwo po drodze?

Patolog już chciał potwierdzić, kiedy uświadomił sobie, że nie może tego zrobić. Był pewien, że policja natychmiast sprawdziła ich zeznania.

– Ma pani rację, zupełnie o tym zapomniałem, ale to dlatego, że uznałem to za nieistotne. – Na twarzy Jeremiego nie drgnął ani jeden mięsień, a ton głosu świadczył o pewności siebie. – Wypożyczyliśmy samochód.

– Toyotę yaris, na trzy doby – dodała Rumin. – Planują państwo jakieś wycieczki?

– Raczej nieodległe. Toyota yaris to nie jest samochód na dalekie wypadki.

– Wie pan, jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia... – Kobieta zmrużyła oczy. – Państwo dużo czasu spędzają razem. Długo się znacie?

Odpowiedź na to pytanie kosztowała prawdomównego i szczerego do bólu Jeremiego dużo zdrowia. Zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, że powiedzenie prawdy wywoła jedynie lawinę kolejnych pytań.

– Może niezbyt długo, ale mamy wspólne problemy i... pasje. Można powiedzieć, że jesteśmy dla siebie przyjaciółmi poznanymi w biedzie.

– Rozumiem, że Marek Nowak miał świadomość państwa zażyłości i dlatego zjawił się u pani Miller z wiadomością dla pana?

– Nie wiem, jak mógłbym inaczej to wyjaśnić.

– I jest pan pewien, że nie rozumie, co miała znaczyć ta wiadomość? – Ton Kaliny stawał się coraz ostrzejszy.

– Powiedziałem państwu wszystko, co udało mi się zrozumieć.

– Uważa pan, że kradzież dokumentów z sejfów pani Miller ma związek z obecnością pana Nowaka w jej garażu?

– Szczerze mówiąc, to w tej kwestii nie mam zdania – odparł wymijająco.

– Panie Organek. – Rumin westchnęła ciężko i zamknęła notatnik. – Zbyt dużo w tej sprawie zbiegów okoliczności, zbyt wiele pytań pozostających bez odpowiedzi. Ja rozumiem, że ma pan jakieś swoje prywatne układy z panią Miller, i dopóki nie mają one związku ze sprawą, nad którą pracuję, to mnie one nie interesują. Chciałabym jednak pana ostrzec, że jeśli okaże się, że zataili państwo przed nami coś, co jest z tą sprawą ściśle powiązane, zostaną państwo pociągnięci do odpowiedzialności.

– Rozumiem i dziękuję za ostrzeżenie. – Jeremi skinął głową i uśmiechnął się ciepło. – Będę miał to na uwadze. Obawiam się jednak, że na razie nic więcej nie mogę pani powiedzieć.

Prokuratorka odwzajemniła uśmiech i podniosła się z krzesła. Doskonale wiedziała, że niczego więcej z niego nie wyciągnie, a póki co na kłamstwie go nie złapała. Co jednak nie oznaczało, że uwierzyła w jego słowa.

Jeremi odprowadził ją do drzwi, a ona wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

– Pozostaniemy w kontakcie, panie Organek – powiedziała miękko. – Mam tylko nadzieję, że nie będzie za późno, kiedy będzie już pan mógł powiedzieć mi coś więcej. I życzę powodzenia.

Gospodarz uniósł brwi.

– Powodzenia w sprzątaniu tego bałaganu.

Otworzyła sobie drzwi i wyszła, nie oglądając się za siebie. Była pewna, że na twarzy mężczyzny pojawiła się konsternacja. Zbiegła po schodach, a po wyjściu z bramy wybrała numer Bączka. Jego telefon znajdował się poza zasięgiem, więc od razu włączyła się poczta głosowa. Nie zostawiła wiadomości, a zamiast tego zadzwoniła do Wilczyńskiego.

– Jakież postępy? – zapytała bez zbędnych powitań.

– Jadę do Miller, Michał ciągle w szpitalu – poinformował ją nadinspektor. – A u ciebie?

– Raczej średnio. Wygląda na to, że spodziewał się mojej wizyty, więc pewnie ustalili sobie, co mają mówić. Zaskocz ją, Kazik, niech opuści gardę. Czuję, że coś tu się dzieje.



Kazimierz Wilczyński, nadinspektor policji kryminalnej, na swoim fachu znał się jak mało kto. Fakt, że przez lata zdążył się już znudzić i o wiele chętniej układał pasjansy, niż uganiał się za zbirami, wciąż jednak był śledczym. Poza tym, co odkrył z niekłamanym zdziwieniem, rudowłosa Linda Miller zaskarbiła sobie jego sympatię i rozbudziła ciekawość. Zawsze lubił dziewczyny z ikrą, z jedną ożenił się po kilku miesiącach znajomości i nigdy tego nie żałował. Pani Wilczyńska przez czterdzieści lat małżeństwa zapewniała mu rozrywki, czy ich chciał, czy nie. Najczęściej chciał, choć bywały chwile, kiedy zastanawiał się, czy jego ślubna przypadkiem nie powinna się leczyć, kochał ją jednak, nawet szaloną.

Zaparkował na podjeździe przed domem Lindy i wygramolił się z samochodu, głośno sapiąc i stękając. Po ekipie telewizyjnej nie było już śladu, co stwierdził z zadowoleniem. Zanim nacisnął dzwonek, drzwi otworzyły się i stanęła w nich właścicielka domu.

– Czyżbym zapomniała o pańskiej wizycie? – zapytała złośliwie.

– Chciałem pani zrobić niespodziankę. – Wilczyński wyszczerzył się komicznie. – Myślałem, że je pani lubi.

– Zazwyczaj lubię, ale gdybym wiedziała, że pan przyjedzie, upiekłabym jakieś ciasto.

Przez głowę nadinspektora przemknęła myśl, że w zasadzie chętnie zjadłby jakieś ciasto, zwłaszcza że żony w domu nie ma, a do cukierni nie chce mu się chodzić. Linda ruszyła w kierunku kuchni, nie przejmując się honorami pani domu. Wilczyński zamknął za sobą drzwi, odruchowo spojrzął na taśmy, którymi zaplombowano wejście do garażu, i podążył za dziewczyną.

– Nie zapowiedział się pan, więc mogę ugościć pana jedynie kanapką z pomidorem – oznajmiła Linda, kiedy policjant wszedł do kuchni.

– Proszę sobie kłopotu nie robić, jadłem śniadanie. Ale chętnie napiję się kawy.

Linda przytknęła guzikiem od ekspresu i sięgnęła po kubek.

Wilczyński starał się ocenić, czy jest zdenerwowana albo choćby odrobinę stremowana, nic jednak na to nie wskazywało. W jej ruchach były stanowczość i pewność osoby, która doskonale wie, co robi.

– Niech pan pyta, ja potrafię robić dwie rzeczy naraz – rzuciła przez ramię.

Nadinspektor uśmiechnął się pod nosem, jej rezolutność i zaskakująca charyzma naprawdę budziły w nim ciepłe uczucia.

– Jak pani myśli, kto wygra Euro? – zapytał, jak gdyby nigdy nic.

Ręka Lindy zastygła na ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło Wilczyńskiemu, żeby jego dusza odrząbiła sukces.

– Nie wiem nawet, kto został w rozgrywkach – odpowiedziała spokojnie.

– Anglia, Ukraina, Belgia, Włochy, Dania, Szwajcaria, Czechy i Hiszpania – wyliczył mężczyzna.

– O matko, najlepiej, żeby żadne z nich. – Linda odwróciła się do Wilczyńskiego i skrzywiła nos. – Mam z nimi prywatną wojnę.

– O! – wyraził uprzejme zdziwienie policjant. – Zdradzi pani za co?

– A bardzo proszę, to żadna tajemnica. Z Anglią, tak samo jak z Francją, za zdradę w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym piątym, z Czechami za trzydziesty ósmy, z Włochami za Mussoliniego, z Hiszpanią za Franco, z Danią za sławniejszą syrenkę, z Ukrainą za Wołyń, ze Szwajcarią za bycie Szwajcarią, a z Belgią za Poirota.

– A to mnie pani zaskoczyła – roześmiał się Wilczyński. – Sądziłem, że lubi pani powieści detektywistyczne.

– Lubię, ale zarozumiały wąsacz okropnie mnie denerwuje.

Wciąż szeroko uśmiechnięty nadinspektor przyjął z wdzięcznością kubek z aromatycznym napojem i skierował się w stronę stołu. Planował już zadanie kolejnego, tym razem właściwego pytania, kiedy los przyszedł mu z nieoczekiwaną pomocą.

Na schodach rozległo się rytmiczne tupanie, a po chwili do kuchni weszła młoda kobieta. Nie zauważyła go zza rozdzielającego część kuchenną od jadalnej blatu i wypaliła, zanim Lindzie udało się ją powstrzymać:

– Linduś, kochanie, mam nadzieję, że nie wkurzyłaś się na mnie, że kazałam twojemu koledze poczekać w domu. Przyszedł akurat, jak wychodziłam do pracy, a już byłam spóźniona, więc kazałam mu usiąść, żeby...

Dziewczyna urwała nagle, zobaczywszy wyciągniętą w jej stronę rękę. Za ręką pojawiła się przypominająca Onufrego Zagłobę sylwetka

siedemdziesięciolatka, którego twarz wyrażała czystą radość.

– Nadinspektor Kazimierz Wilczyński – przedstawił się grzecznie. – Jakże ja się cieszę, że mogę panią poznać.

Linda Miller poczuła, jak ze stresu wszystkie organy jej się skurczyły, a lista niecenzuralnych słów, jakie przyszyły jej do głowy, mogłaby nie zmieścić się na rolce papieru toaletowego.

JA DO WŁADZY MAM SENTYMENT



Podkomisarz Bączek bez słowa czekał, aż jego gospodarz przestanie wypluwać płuca. Rozparł się w fotelu i splótł dłonie na brzuchu. Brakowało tylko, żeby zaczął kręcić młynka kciukami. Jeśli Kurzawa liczył na to, że policjant da mu spokój, to grubo się pomylił. Prawdziwa rozmowa miała dopiero się zacząć.

Siwowłosey patolog kaszlał już całkiem na siłę, ale na nic było jego poświęcenie. Niewzruszony Bączek gapił się na niego wzrokiem wyrażającym dokładnie nic. W końcu Kurzawa nie mógł już nawet zmusić się do kaszlu, chrząkał jedynie, jakby coś mu ugrzęzło w gardle.

– Ekhm... – odezwał się wreszcie. – Przepraszam, chyba zapomniałem, o czym rozmawialiśmy.

– O zażyłych stosunkach, w jakich pozostają doktor Organek i pani Linda Miller. Zna pan panią Miller?

– Czy znam? – Lekarz zawiesił głos, ewidentnie szukając wyjścia z sytuacji. – Poznałem ją, tak, wczorajszego ranka.

– W jakich okolicznościach?

– Takich samych jak pana. Spotkaliśmy się w moim gabinecie.

– I ona też zjawiła się tu w sprawie doktora Organka? – Bączek wyprostował się w fotelu i skupił wzrok na ustach lekarza.

– Do wczoraj nie wiedziałem nawet, że się znają – odpowiedział Kurzawa, a jego głos zabrzmiał ostro. – Miałem udzielić jej wywiadu do artykułu o pracy patologa. Pani Miller jest blogerką, zajmuje się różnymi tematami.

– Rozumiem. Udzielił go pan?

– Niestety nie zdążyłem, wydarzyło się coś pilnego i musieliśmy przełożyć rozmowę na kiedy indziej.

– Można wiedzieć, co było tak pilnego?

– Sprawy prywatne – odpowiedział natychmiast patolog, może nawet odrobinę zbyt szybko.

– Pańskie czy pani Miller?

– Moje, panie komisarzu. Moje sprawy rodzinne, które nie mają nic wspólnego z prowadzonym przez pana śledztwem. Czy mogę jeszcze panu jakoś pomóc?

Doskonałe zagranie negocjacyjne, pomyślał Bączek. Ale on też miał głowę nie od parady i nie z takimi przeciwnikami dawał sobie radę. Przyglądał się Kurzawie w milczeniu, jakby się wahał.

– Właściwe to chyba nie... – stwierdził cicho. Zgodnie z przewidywaniami policjanta mięśnie na twarzy lekarza rozluźniły się i gotów był już otwierać szampana. Niestety Bączek tylko na to czekał: – Chociaż nie, jest jeszcze jedna kwestia. W tej chwili doktor Organek jest przesłuchiwany przez prokuratora, chciałbym więc od razu móc potwierdzić jego wersję zdarzeń.

W zasadzie Bączek sam nie wiedział, dlaczego przyszło mu to do głowy; zwyczajnie, tak jak wiele razy wcześniej, posłuchał intuicji. A ta jeszcze nigdy go nie zawiodła.

– Mówiłem już panu, że doktor Organek został wysłany na urlop. Stan jego zdrowia w dalszym ciągu nie umożliwia mu wykonywania powierzonych mu obowiązków.

– Nie znam się aż tak dobrze na kwestiach medycznych, może mi pan to jakoś tak po ludzku wyjaśnić? No, wie pan, jak chłop krowie, na miedzy najlepiej.

Kurzawa zmarszczył brwi, przez co utworzyły włochatą linię, spod której patrzyły na Bączka nieufne oczy zaszczutego zwierzęcia. Widać było, że nie w smak mu ta rozmowa i nie bardzo wie, jak z niej wybrnąć. W końcu zastosował bezpieczny unik, czyli powiedział coś, zupełnie niczego nie wyjaśniając:

– Lekarz medycyny pracy stwierdził, że pomimo wyleczenia choroby nowotworowej doktor Organek przez jakiś czas powinien jeszcze odpoczywać.

– Ale przecież wcześniej pracował – zauważył podkomisarz. – To zdrowy jest gorszym pracownikiem niż chory?

Patolog zgrzytnął zębami, a na jego skroniach pojawiły się kropelki potu. Bączek doskonale rozumiał, że zapędził swojego gospodarza w kozi róg, i ani myślał odpuszczać.

– Powiem panu w sekrecie, ale to informacja poufna – zastrzegł Kurzawa – że przez okres rekonwalescencji przymykaliśmy z kolegami oko na niedyspozycję doktora Organka, nie pozwalaliśmy mu się przeciążać, a gdy wystąpiła taka konieczność, naprawialiśmy jego błędy.

– Dużo tych błędów było?

– Dużo czy niedużo, ważne, że były. Błędy w sztuce lekarskiej to poważna sprawa.

– Tyle dobrego, że bez skutków śmiertelnych – zażartował podkomisarz.

Patolog omiótł barczystego mężczyznę spojrzeniem pełnym wrogości. Ewidentnie nie miał chłop poczucia humoru. A szkoda.

– Pan wybacz, ale to jest poważna placówka medyczna, w której wszystkie procedury wykonuje się na najwyższym poziomie. Nie ma tu miejsca na błędy, pomyłki, a już na pewno na urojenia! – Głos Kurzawy przeszedł w drażniący uszy dyszkan, a krople potu zrosiły mu całą twarz. Niestety zbyt późno się zorientował, że dał się sprowokować, i odwrót właściwie był już niemożliwy.

– Co ma pan na myśli? Nie zauważyłem, żeby doktor Organek miał problem z właściwą oceną sytuacji, i wydał mi się raczej... racjonalny.

– Właściwie ma pan rację, tak mi się powiedziało. Zdenerwowałem się – próbowałem wybrnąć kierownik prosektorium. – Człowiek się martwi, stara się pomóc koledze, a jeszcze za to obrywa.

Bączek wyraźnie już widział błyskające światelko lampki alarmowej, jednak intuicja kazała mu się wycofać. Jeszcze będzie okazja, żeby wrócić do tematu.

Na koniec zadał Kurzawie kilka standardowych pytań o Marka Nowaka i poprosił o udostępnienie jego grafiku oraz informacji kadrowych. Medyk przystał na wszystko z radosną ochotą i znać było, że śpieszno mu do zakończenia rozmowy, która musiała go kosztować sporo nerwów.

Po wyjściu z gabinetu kierownika podkomisarz zajrzał do sali sekcyjnej, ale natychmiast zamknął drzwi z powrotem, bo w środku jakiś zamaskowany lekarz właśnie zaszywał rozplątany brzuch grubeśnego nieboszczyka. Z trudem powstrzymał mdłości i poczuł potrzebę uzupełnienia płynów, które w takich sytuacjach nagle z niego wyparowywały.

Znalazł kafeterię, kupił butelkę wody mineralnej i już miał opuścić szpital, kiedy zatrzymała go kobieta wyglądająca na właścicielkę lokalu.

– A pan to czasem nie z policji? – zagadnęła go ni to zaczepnie, ni zalotnie. Wiekiem bliżej jej było do Kurzawy aniżeli do Bączka, ale wciąż mogła

budzić zainteresowanie płci przeciwnej.

– Jak pani zgadła? – udał zdziwienie. Doskonale wiedział, że w takich miejscach plotki podróżowały szybciej niż Harry Potter przez kominki.

– Od razu zauważyłam – pochwaliła się. – Pan taki rośli i przy sobie, nie jakiś chuderlak, mina zacięta. Myślę sobie: Helena, jak nic władza. A ja do władzy taki jakiś mam sentyment. Mój ślubny służył w żandarmerii wojskowej.

Bączek momentalnie zastąpił zaciętą minę swym najbardziej uroczym wyrazem twarzy, słusznie wyniuchawszy tryskające informacjami źródółko.

– Powiem pani, ale nikomu nie wolno tego powtarzać – szepnął konspiracyjnie. – Obieca pani?

Kobieta położyła pulchniutką dłoń na obfitej piersi i z powagą, solennie obiecała nie puścić pary z gęby. Oczywiście oboje wiedzieli, że obietnica nie dotyczy przyjaciółek i kumoszek, ale na to właśnie Bączek liczył.

– O Marku Nowaku z pewnością pani wie? – szeptał podkomisarz.

Trzy skinienia ozdobionej trwałą głową oznaczały potwierdzenie.

– I że doktor Organek jest w tej sprawie podejrzany?

Szarozielone oczy kobiety rozszerzyły się, jakby je ktoś kleszczami otwierał.

– Jeremi Organek? – wysapała. – Nasz Jeremi? Ten cudowny człowiek?

– Innego doktora Organka nie znam – odparł Bączek zgodnie z prawdą. – Jeremiego zresztą też.

– Wielkie nieba, a cóż to za bzdura! To musi być jakaś pomyłka! – Szept zaczął przechodzić w syk. – Kto panu takich bredni naopowiadał?

Bączek wykonał gest, który pani Helena bezbłędnie odczytała jako „niestety nic nie mogę powiedzieć”. Nagle w jej oku coś błysnęło i przechyliła się przez kontuar.

– To pewnie Kurzawa! – oceniła. – Od dawna chce się pozbyć Jeremiego, to sobie znalazł świetny powód.

– Nie lubią się, co? – judził Bączek, a jego dusza śpiewała właśnie chorał gregoriański.

– Kurzawa nie lubi doktora Organka, tyle wiem na pewno. On zresztą mało kogo lubi, chyba tylko tego swojego szwagra, Piotra. Paskudny i wredny typ.

– Też patolog? – Tym razem zdziwienie Bączka było prawdziwe.

– A gdzie tam, farmaceuta. Ale łązi po szpitalu, jakby był jego właścicielem.

– Wie pani, pani Heleno – mizdrzył się podkomisarz – ja tam nie wierzę w winę doktora Organka, wydał mi się porządnym człowiekiem. Choć czort wie, co tam człowiekowi w głowie siedzi, psychopaci szkarłatnej litery na czołach nie mają.

Pani Helena spojrzała na Bączka z wyraźnym oburzeniem.

– Że niby doktor Organek jest psychopatą? Przecież to najmiłsza osoba, jaka pracuje w tym szpitalu. Szarmancki, doskonale wychowany, uprzejmy i wyjątkowo pracowity. To ta kanalia Kurzawa nieborakowi ani jednego dnia wolnego nie dała, kiedy latał na naświetlania. Da pan wiarę, jakim to trzeba być bydlakiem?

– Co pani powie, faktycznie, bydlę... Ale teraz chyba próbuje się zrehabilitować?

– A niech w odwłok sobie, za przeproszeniem, tę rehabilitację wsadzi! Tort zniszczył i doktora do domu wysłał, jakby mu ten Jeremi tu w czym przeszkadzał.

Wyjątkowo efektywna rozmowa musiała zostać zakończona, bo do kafeterii wtoczyło się stado lekarzy żądnych kawy i jajecznicy. Bączek ucałował pulchną rączkę pani Heleny, w ostatniej chwili przypomniał sobie o wodzie, którą nabył drogą kupną, i opuścił szpital, radośnie pogwizdując. Na parkingu spróbował dodzwonić się do Kaliny Rumin, ta jednak nie odbierała. Nie chciał mu się wracać do komendy, postanowił więc podjechać na osiedle Malownicze. W końcu miał dziś fart, więc trzeba tego byka chwycić za rogi i wydoić do cna. O ile byka się doi.

Trochę czasu zajęło mu przebicie się przez zakorkowany Wrocław, a trwające remonty, budowy nowych linii tramwajowych, objazdy i wszelkie inne udoskonalenia stolicy Dolnego Śląska zadania nie ułatwiały. Kiedy w końcu dotarł na miejsce, odetchnął z ulgą na widok samochodu Wilczyńskiego.

Zaparkował byle jak, zajmując komuś miejsce, po czym ruszył dziarskim krokiem i z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Drzwi otworzyła nieznana mu dziewczyna w bawełnianym dresie, o włosach we wszystkich kolorach tęczy i wielkich czarnych oczach. Na jego widok cofnęła się od progu i bez słowa wpuściła policjanta do środka.

Bączek domyślił się, że właśnie poznał, przynajmniej wzrokowo, współlokatorkę Lindy Miller, i podążył za głosem, którego nie dało się pomylić z żadnym innym. Nadinspektor Wilczyński rżał niczym zbuntowane źrebę.

– Oho, przynajmniej tu sztywna atmosfera nie ma dostępu – wyszczerzył się podkomisarz. – Dzień dobry pani. – Ukłonił się rudowłosej gospodyni, której mina wyrażała głębokie zniesmaczenie.

– Michaś, ale masz nosa! – Wilczyński ucieszył się na widok swojego ulubieńca. – Tu się takie historie odkrywają, że Nostradamus by ich nie przewidział.

– O! – zainteresował się grzecznie Michaś. – Skrót poproszę, żeby mnie w tematykę wprowadzić, i możecie kontynuować odkrywanie historii.

Linda przewróciła oczami i wyduła usta. Nie żeby policjanci jej przeszkadzali, wręcz przeciwnie, sympatyczni panowie, ale sytuacja rozwijała się cokolwiek zbyt dynamicznie, nawet jak na jej standardy.

– Niech pan siada, komisarzu, o suchym pysku gadać nie będziemy, kawy panu zaparzę – oznajmiła zupełnie bez złości.

Bączek kawy zasadniczo nigdy nie odmawiał, zwłaszcza tak smacznej, jaką uraczyła go Miller dzień wcześniej. Usiadł grzecznie obok pryncypała, zadowolonego z siebie jak kot po upolowaniu biednego wróbelka, i czekał cierpliwie na wprowadzenie.

– Powiem ci, Michaś, że jakiś palec boży mnie tu dzisiaj przywiódł, chyba na tacę pójdę dać, pierwszy raz od pogrzebu Patryka.

– To za mnie też załóż, oddam ci później, bo i ja mam trochę wieści.

Linda dołączyła do szczebioczących policjantów, postawiła przed Bączkiem kubek parującej kawy i usiadła naprzeciwko Wilczyńskiego. Minę miała nietęgą, ale więcej w niej było złości aniżeli strachu.

– No to tak – zaczął nadinspektor. – Imaginuj sobie, Michał, że przybyłem tu akurat w momencie, w którym współlokatorka panny Miller ziluminowała ją informacją, że wczorajszego popołudnia wpuściła do domu obcego faceta i wybiegła do pracy, albowiem była spóźniona.

Bączek nie skomentował, nie zaszczyił krótkiego *entrée* zmianą wyrazu twarzy, a Bóg jeden raczy wiedzieć, co sobie w tej chwili myślał o współlokatorce panny Miller. Prawdopodobnie niezbyt dobre to były myśli, ale nic nie dał po sobie poznać. Kamienna twarz.

Wilczyński zaś kontynuował z wyjątkową satysfakcją:

– Ów obcy facet, proszę ja ciebie, mógł być zarówno martwym aktualnie Markiem Nowakiem, jak i żywym włamywaczem. Współlokatorka panny Miller potrafiła powiedzieć jedynie tyle, że był mężczyzną „ani starym, ani młodym, ani wysokim, ani niskim, ani ładnym, ani brzydkim”, a kolor włosów miał nieokreślony. Nadążasz, Michaś?

– Chyba nadążam, ale mam jedno pytanie.

– Wal, chłopcze – zachęcił go przełożony, który najwyraźniej bawił się przednio.

– Dlaczego pani współlokatorka zostawiła w domu obcego faceta?

Linda cmoknęła z niezadowolaniem i poprawiła się na krześle. Powiodła wzrokiem od obleczonej w złośliwy uśmiech twarzy Wilczyńskiego do niewyraźniającej niczego facjaty Bączka, po czym oznajmiła:

– Według Igi ten facet jej się przedstawił, nazwiska niestety nie zapamiętała, ale to akurat dla niej normalne. Powiedział jej, że jest moim kolegą, umówił się tu ze mną, ale przyjechał za wcześnie. Skarżył się na problemy z oddychaniem, a Iga ma dobre serce, chociaż rozumek malutki jak Kubuś Puchatek, wpuściła więc biedaka, dała mu szklanekę wody i nakazała rozpląszczać cztery litery na kanapie w salonie aż do mojego powrotu.

– Niezły cyrk, co, Michaś?

– Czuję się doprawdy oczarowany – skwitował Bączek i wreszcie skrzywił się porządnie. – Gdzie wy macie głowy, dziewczyny?

Linda odruchowo otworzyła usta, żeby odeprzeć tę nieszczerólnie sympatyczną zaczepkę, ale jej się odechciało i została z rozdziawioną paszczą.

– Ale jest jakieś światełko w tunelu, Michaś – odezwał się Wilczyński, wciąż wyszczerzony niczym Kot z Cheshire. – Pani Miller, teraz się skup, mój Bączku złoty, pani Miller dzisiaj rano uskuteczniła performance, po którym możemy się spodziewać, że w każdej chwili włamywacz zapuka do drzwi i przyniesie w zębach „to, co wziął wie skąd”.

Podkomisarz zdębiał odrobinę, a w jego głowie piknęła myśl, że być może szaleństwo w tym domu jest zaraźliwe albo wynika z zatrutej wody, bo kubek Wilczyńskiego był już pusty.

– Przepraszam, ale chyba potrzebuję jakiegoś wyjaśnienia do tej konkluzji – stwierdził.

– A to może już pani Miller ci wyjaśni, a ja muszę skoczyć tam, gdzie lektyki króla nie donoszą.

Nadinspektor nadzwyczaj żwawo wyskoczył zza stołu i dziarskim krokiem potruchtał do toalety.

– A co tu wyjaśniać? – prychnęła Linda. – Przyjechała telewizja, to wykorzystałam okazję i powiedziałam temu ścierwu włamywaczowi, co o nim myślę, i kazałam oddać moje dokumenty. Jakby pan się martwił, że on tu teraz przylezie i będzie chciał mnie ukatrupić, to bez obaw, *too late*, przecież wie, gdzie mieszkam i jak się tu dostać bez zaproszenia.

– A ta telewizja przyjechała ponieważ? – Bączek zainteresował się tym na serio. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby media latały za pojedynczymi włamaniami, żadna to sensacja i klikalności pewnie nie ma.

– Możliwe, że mam koleżankę w regionalnej, i możliwe, że jej coś tam powiedziałam. – Dziewczyna z wyjątkowym zainteresowaniem oglądała obgryzione paznokcie.

– Rozumiem. – Rzeczywiście rozumiał. Głupi nie był, a nawet całkiem mądry, a do tego domyślny. – Naprawdę ryzykuje pani dla aktu urodzenia? Nie może pani sobie odpisu załatwić? Teraz od ręki dają.

– Może mogę, a może nie chcę. Dlaczego mam latać po urzędach i stać w kolejkach?

No tak, stania w kolejkach nikt nie lubi.

Kolejne pytanie nie zdążyło paść, bo z toalety wystrzelił Wilczyński, jakby go ktoś gonił.

– Michaś! Ale z nas głupki!

Konkluzja była tyleż zaskakująca ile zasadniczo nieprawdziwa, jednak Bączek uprzejmie ten fakt przemilczał. Łaskawie uniósł brwi.

– Zabierzemy tę Igę do jaskini zła, niech się przygląda!

Po tych słowach Linda zbladła, dla niewtajemniczonych bowiem mogły one brzmieć dosyć niepokojąco. Iga rozumem, owszem, nie grzeszy, ale żeby od razu stosować wobec niej tortury?

Bączek uśmiechnął się, bo właściwie wpadł na ten pomysł już chwilę temu, ale chciał dopić kawę, która ogromnie mu smakowała.

– No widzisz, Kazik, jednak jest prawda w powiedzeniu, że z pełnym pęcherzem nie da się myśleć – zauważył z uśmiechem. Wychylił do końca wciąż gorący napój i podniósł się do wyjścia.

Linda udała się na górę, żeby odziać się w coś bardziej wychodnego, a przy okazji zmusić do tego samego Igę, która także miała udać się do tajemniczej jaskini zła. W duchu zaś cieszyła się, że ani jeden, ani drugi z policjantów nie zapytał jej o rusałkę. Może uda jej się zatuszować ten karygodny błąd.

JESTEM CAŁKIEM MIŁYM GOŚCIEM



Po wyjściu Bączka Kurzawa siedział bez ruchu. Wpatrywał się w sufit i czekał, aż przestanie słyszeć bicie własnego serca. Nie starł potu z czoła, pozwolił mu wyschnąć.

Był równocześnie wściekły i przerażony – jak mógł pozwolić, żeby wszystko zatrzęśło się w posadach? To nie była jego wina, uświadomił sobie w końcu, on zrobił wszystko tak, jak powinien. Czy mógł przewidzieć, że Organek uruchomi lawinę pomyłek? Czy mógł uchronić plan przed zagrażającym mu fiaskiem?

Odgonił od siebie myśl, że najwyższy obarczy go odpowiedzialnością, to nie czas na składanie broni, jeszcze nie. Jeszcze uda mu się wszystko naprawić.

Ocknął się z marazmu, zapalił papierosa i podniósł słuchawkę telefonu.

– Powiedz mi, że masz wszystko – poprosił zachrypniętym głosem.

Odpowiedź musiała go zadowolić, bo odetchnął z ulgą. Rozłączył się bez pożegnania, dopalił papierosa do końca i wybrał kolejny numer.

– Dzień dobry pani – przywitał się grzecznie. – Bardzo mi przykro, że nasze spotkanie zostało tak obcesowo przerwane, może zgodzi się pani zjeść obiad ze mną i moją małżonką? Powiedzmy jutro?

Rozmówczyni przez chwilę milczała, więc Kurzawa znów się odezwał:

– Pani Lindo, proszę dać mi się zrehabilitować. Ja naprawdę jestem całkiem miłym gościem i bardzo chętnie udzielię pani wywiadu.

Dziewczyna wyrzuciła z siebie kilka słów i przyjęła zaproszenie. Patolog uśmiechnął się radośnie i wyglądał na zadowolonego.

– Świetnie, zatem jutro o siedemnastej będziemy pani oczekiwać. Wyśle pani adres.

Dopiero teraz naprawdę się rozluźnił, ale wena do pracy odeszła od niego bezpowrotnie. Wyczyścił popielniczkę, uprzątnął biurko i opuścił szpital. Z ekscytacją myślał o tym, co za moment znajdzie w swoim domu.



Berlin, 10 lipca 2010

Przyszli w nocy. Zagnali nas do lasu, zapakowali na ciężarówkę i wywieźli do obozu śledczego. Mnie, mamę, starszego brata i trzy siostry. Tatę zabrali z innymi mężczyznami. Nigdy więcej go nie widziałem.

Pierwszą noc spędziliśmy razem, później nas rozdzielili. Młodsze dzieci wyjechały już następnego ranka, mamę i resztę kobiet zabrali po południu. Podobno do Brzezinki. Nie wiedziałem, co to znaczy, i życzyłem jej szczęśliwej podróży.

Następnego dnia znów wsadzili nas do ciężarówkę, a my skuliliśmy się jak szczenięta odstawione od matki. Moja bliźniaczka Wandzia cały czas płakała, a ja nie potrafiłem jej pocieszyć. Tylko Bartek, mój sześć lat starszy brat, siedział wyprostowany i patrzył tępo w podłogę. Wandzię odtrącił, a ona rozbeczała się jak mała dziewczynka.

Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci, miałem dziesięć lat.

ZSM NA MI KLUCZEM



Jeremi stanął w progu pokoju wyglądającego, jakby przeszło przez niego tornado, i oparł się o futrynę. Niedobrze mu się robiło na widok rozbebeszonych szafek i walających się wszędzie papierów.

Wizyta prokuratorki wcale go nie zdziwiła, choć spodziewał się raczej tych dwóch sympatycznych policjantów, którzy wydawali się mieć głowy na karku i serca po właściwej stronie. Szkoda tylko, że nie mógł powiedzieć im wszystkiego. A na pewno nie zamierzał. Kurzawa wypowiedział mu wojnę, a on podniósł tę rękawicę.

Śmierć Marka Nowaka wstrząsnęła nim o wiele bardziej, niż można to było wywnioskować z jego zachowania. Lata temu nauczył się trzymać emocje na wodzy, a odruchy empatii zawieszać na kołku przed wejściem do sali sekcyjnej. To pomagało, budowało zbroję, chroniło od ciosów. Niestety nie od wszystkich; diagnoza spadła na niego jak grom z jasnego nieba, nie poddał się jednak, walczył i wyszedł z tej walki zwycięsko. Jak zawsze.

Dwie tajemnicze śmierci to stanowczo za dużo na przypadek, a Jeremi nie lubił niejasnych sytuacji. O ile zniknięte zwłoki rusałki mógł przypisać żartowi niedouczonego studenta, o tyle znalezione w garażu Lindy ciało Marka z pewnością oznaczało coś o wiele poważniejszego.

Choć było to wbrew jego zasadom, zignorował kipsz w pokoju, wytargał z pawlacza sportową torbę, spakował do niej czarny bawełniany dres, drugi założył na siebie i opuścił mieszkanie. W drodze na osiedle Małownicze zatrzymał się pod marketem budowlanym, gdzie zakupił latarki, łopatki, dwie pary rękawic i folię malarską. O folii przypomniał sobie w ostatniej chwili, kiedy przypadkiem podsłuchał utyskiwanie jakiejś kobiety, której mąż najwidoczniej od pół roku odwlekał odświeżenie sufitu w kuchni. Jeremiemu nikt co prawda wyrzutów nie robił, ale od roku nosił się z zamiarem przemalowania ścian w salonie.

Pod domem Lindy stały dwa samochody, które bezbłędnie powiązał z policjantami, zatrzymał się więc w równoległej uliczce i postanowił poczekać, aż odjadą – zabijając czas lekturą książki, którą odruchowo schował do torby. Po mniej więcej kwadransie drzwi domu się otworzyły i na progu ukazali się dwaj policjanci, za nimi zaś wyszły dwie młode kobiety. Zaskoczony Organek opuścił szybę i nadstawił uszu. Znajdował się jednak zbyt daleko. Chwycił za telefon, wysłał wiadomość do Lindy i czekał na odpowiedź. Nadeszła niemal natychmiast i wynikało z niej, że dziewczyna musi gdzieś pojechać.

– Co to, do diaska, jest ZSM i co to znaczy „na mi kluczem”? – zapytał na głos Organek. Zaraz jednak przyszło wyjaśnienie:

„ZMS na Mikulicza”.

– Aaaaaa, ZMS na Mikulicza. O cholera – zaklął brzydtko i zaczął gorączkowo się zastanawiać nad rozwiązaniem. Nic jednak nie przyszło mu do głowy.

Linda wraz z – jak się domyślił – współlokatorką zapakowały się do samochodu prowadzonego przez Wilczyńskiego, Bączek jechał sam. Niewiele myśląc, Jeremi ruszył za nimi, pilnując, żeby za bardzo się nie zbliżać. Zgubił ich za Stadionem Miejskim, ale wiedział, gdzie ma jechać. Na miejscu zjawił się pierwszy i dla bezpieczeństwa zaparkował po przeciwnej stronie Curie-Skłodowskiej.

Chwilę później zauważył samochód Wilczyńskiego, który zdawał się mieć w poważaniu wszelkie przepisy ruchu drogowego, a na koniec zaparkował na środku ulicy.

Budynek, w którym mieścił się Zakład Medycyny Sądowej, obudził w Jeremim nostalgię i przywołał wspomnienia beztroskich lat studiów, kiedy myślał o pracy naukowej i marzyła mu się międzynarodowa kariera. Przez chwilę się wahał, ale ostatecznie postanowił wejść do środka. Na szczęście znał to miejsce jak zły szeląg i wiedział, jak przemieszczać się korytarzami bez zwracania na siebie uwagi.

CI DWOJE NIE CHCĄ MÓWIĆ



Kalina Rumin wróciła do prokuratury i zajęła się zaległymi sprawami. Jak zwykle o tej porze roku miała mnóstwo papierów do podpisania, ale nie narzekała. Uspokajało ją to i pozwalało oderwać myśli od dokuczliwego problemu, z którym mierzyła się od tygodni. Rozwód nigdy nie jest łatwy, zwłaszcza gdy wiąże się z koniecznością wydostania się z szamba. A ona wciąż była w nim zanurzona.

Po czterdziestu minutach rozboleła ją ręka, odłożyła więc pióro i postanowiła zrobić sobie chwilę przerwy. Wsypała garść earl greya do kubka, zagotowała wodę i sięgnęła do torebki po telefon. Na wyświetlaczu mrugała ikonka nieodebranego jakiś czas temu połączenia. Westchnęła ciężko i oddzwoniła.

– Dzwonił pan, komisarzu? – zapytała w ramach przywitania, włączyła tryb głośnomówiący i odłożyła telefon na biurko.

– Dzwoniłem. Chciałem zapytać, jak poszło z Organkiem.

– Właściwie nijak, nie puścił pary z gęby.

– Ale i tak czegoś się pani dowiedziała? – domyślał się Bączek.

– Owszem. Właściwie dobrze, że pan o to pyta, przyda mi się opinia psychologa. – Zalała herbatę i wróciła do biurka. – W jednym z pokoiów panował niewyobrażalny bałagan: rozrzucone ubrania, walające się wszędzie papiery, wybebeszone szuflady. Tymczasem w kuchni można by jeść z podłogi. Nigdzie, poza tym jednym pokojem, nie zauważyłam nawet grama kurzu. Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nawet bardzo – odparł podkomisarz. – Organek nie jest typem bałaganiarza. Wydał mi się metodyczny, logiczny i dokładny. Tacy ludzie cenią sobie porządek i harmonię, a jakakolwiek zmiana rutyny burzy im spokój wewnętrzny. Jak tłumaczył to Organek?

– Stwierdził, że czegoś szukał.

– I słusznie mu pani nie uwierzyła. Jestem przekonany, że obudzony w środku nocy odnalazłby świadectwo z komunii i nawet nie musiałyby się zastanawiać nad jego lokalizacją.

– Jaki więc można wysnuć z tego wniosek? – zastanawiała się prokuratorka.

– Na wnioski jeszcze zbyt wcześnie, ale możemy zaryzykować teorię. Doktor Organek miał nieproszonego gościa.

– Tak samo jak pani Miller.

– Z tą różnicą, że pani Miller zawiadomiła policję.

– Widocznie pan Organek nie znalazł w swoim mieszkaniu zwłok – zauważyła Rumin.

Bączek milczał, co oznaczało, że w jego głowie zachodzą skomplikowane procesy myślowe.

– Nad czym pan się zastanawia? – Prokuratorka miała już kilka hipotez, ale wysoko ceniła intuicję Bączka. W odróżnieniu od wielu innych „celebrytów” on na swoją renomę zasłużył.

– A gdyby tak założyć – rozważał na głos – że Organek doskonale wie, kto i po co włamał się do jego mieszkania?

– Moglibyśmy posunąć się jeszcze dalej w tych przypuszczeniach – wtórowała mu kobieta. – Czy jest niemożliwe, że ta sama osoba włamała się do domu Lindy Miller? Wiemy, że zginęły jej dokumenty. Może to ich szukano w domu Organka?

– Wcale bym tego nie wykluczał – zgodził się Bączek. – Jedyne kłopot w tym, że brakuje nam dowodów, a ci dwoje nie chcą mówić.

– Co jedynie potwierdza, że wiedzą, kto stoi za włamaniami.

Bączek przyznał jej rację, ale na tym rozmowa musiała zostać zakończona. Na telefonie prokuratorki pojawiło się nowe połączenie przychodzące. Pożegnali się krótkim „cześć” i kobieta odebrała, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Dzień dobry, mecenasie. Oby miał pan dobre wieści...

WZIAŁ I PADEŁ



Nadinspektor Wilczyński pewnym krokiem przemierzał korytarze Zakładu Medycyny Sądowej, zupełnie nie zwracając uwagi na podążające za nim młode kobiety. Jedna z nich wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć, druga natomiast z całych sił starała się utrzymać ją w pionie.

– Weź się w garść, głupia! – syczała Linda. – To potrwa trzy sekundy. Wejdiesz, spojrzysz i potwierdzisz albo zaprzeczysz. *Veni, vidi, confirmavit.*

– Ale to będzie trup! – łkała Iga, sama na żywą niewyglądająca.

– Wolałabyś, żeby był żywy? Jeśli to jest złoczyńca, to lepiej dla ciebie, żeby był jednak trupem.

– Tędy, drogie panie – przerwał im uprzejmym tonem Wilczyński. – Bez obaw, tu nic nikomu się nie stanie.

– Poza pacjentem. – Zza ciężkich drzwi doleciał przyjemny głos, w którym pobrzmiwała wesołość. – On jeszcze trochę się pomęczy.

Linda wraz z uczeponą jej ramienia Igą weszły do środka i z miejsca poczuły dziwnie przejmujący chłód. Sterylne pomieszczenie nie zachęcało do pozostania w nim dłużej, jedynie życzliwie uśmiechający się do nich przystojny mężczyzna sprawiał wrażenie całkowicie zrelaksowanego.

– Drogie panie, to jest doktor Remigiusz Baczmański, biegły z zakresu medycyny sądowej. I nasz naczelny ekspert od trudnych przypadków – przedstawił lekarza nadinspektor.

– Bardzo mi miło, zapraszam bliżej – zachęcił medyk.

Dziewczyny ani drgnęły. Igę solidnie wmurowało w podłogę, a Linda bała się ją puścić, żeby biedaczka się nie przewróciła.

– Odwagi, zaraz będzie po wszystkim. – Głos Wilczyńskiego przybrał ciepłą barwę.

Linda pociągnęła Igę za rękę i udało jej się odrobinę ją ruszyć. Niestety niewystarczająco.

Widząc, że ma do czynienia z przypadkiem beznadziejnym, z którym równać mógł się jedynie Bączek, Baczmański podszedł do przerażonej dziewczyny i podał jej ramię. Jak mu się to udało, do dzisiaj pozostaje zagadką, grunt, że Iga przyłgnęła do patologa jak pijawka do zranionej nogi i podeszła do stołu, na którym spod białej tkaniny wybrzuszała się ludzka sylwetka.

– Teraz, moje drogie dziecko, podniosę całun i pokażę pani facjatę naszego pacjenta – tłumaczył cierpliwie patolog. – Potrwa to dokładnie tyle ile zakochanie się od pierwszego wejrzenia, a ja cały czas będę panią trzymał.

– Nie puści pan?

– Ani na nanosekundę.

– Mogę krzyknąć?

– W niebogłosy. Nie obudzi go pani, gwarantuję.

Iga przełknęła ślinę i skinęła głową. Zaciśnęła dłoń na ramieniu patologa, a serce prawie jej wyskoczyło.

Baczmański chwycił tkaninę i delikatnie, powoli odkrywał głowę denata.

– To on – szepnęła Iga, a oddech jej się uspokoił. – To ten kolega Lindy.

Patolog cmoknął dziewczynę w czoło i zakrył twarz pacjenta. Procedura identyfikacji została zakończona.

Linda przechwyciła wciąż oszołomioną Igę i pogłaskała ją po tęczowych włosach.

– Jest pani pewna, że to tego mężczyznę wpuściła wczoraj do domu i nakazała mu czekać na powrót pani Lindy? – upewnił się Wilczyński.

Dziewczyna pokiwała głową.

– To na pewno on. Kiedy zobaczyłam jego twarz, od razu mi się przypomniało, jak stękał i sapał. Mówił, że strasznie go boli żołądek i ciężko mu się oddycha.

– I to by się zgadzało – odezwał się Baczmański. – Miałem dać ci znać po pobraniu próbek do toksykologii, ale skoro tu jesteś, to od razu mogę ci powiedzieć – zwrócił się do policjanta. – *Mortis causa*, mój przyjacielu, był rozległy zawał serca.

Wilczyński zamrugał kilka razy, jakby chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

– Zawał? Tak zwyczajnie wziął i padł? – zapytał w końcu.

– Padł na pewno i stąd ta rana na skroni, uderzył głową o brzeg mebla – wyjaśnił ze spokojem medyk. – Znalazłem drewniane wióry, musicie dobrze sprawdzić wszystkie kanty w tym garażu.

– Trochę za młody na zawał, nie sądzisz? – powątpiewał nadinspektor.

– Nie ma reguły, nawet młodszym się zdarza – odparł Baczmański. – Niemniej nie zauważyłem miażdżycy, otyły też nie był, w historii chorób niczego poza migrenami nie znalazłem. Płuca czyste, wątroba trochę powiększona, ale nerki mi się nie podobają. Wysyłam materiał do badań, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

Wilczyński kiwał głową w zadumie. Wyglądało na to, że tym razem sprawa zostanie zamknięta jako nieszczęśliwy wypadek.

Choć ciało Marka Nowaka było zasłonięte całunem, jak określał to patolog, Iga wciąż czuła się niekomfortowo. Nadinspektor zgodził się, aby dziewczyny poczekały na niego na zewnątrz budynku, sam jednak potrzebował jeszcze kilku minut na rozmowę z lekarzem.

Linda i Iga skwapliwie skorzystały z łaskawego pozwolenia i w nadzwyczajnym pośpiechu opuściły jaskinię zła, która ostatecznie okazała się wcale nie aż tak groźna. Po zamknięciu za sobą ciężkich drzwi wzięły głęboki oddech, Iga nawet kilka, i przysiadła na schodkach.

– Ciekawe, co u Jeremiego – zastanawiała się Linda. – Nawet nie miałam czasu omówić z nim planów.

W tym momencie przed ich oczami wyrosła postać odziana od stóp do głów w czerni, a Iga aż pisnęła z wrażenia.

– O Jezusmaryja, George Clooney! – wyszeptała z emfazą. – Linduś, widzisz to co ja czy już z tego szoku mam omamy?!

– Żadnych omamów nie masz, ale to nie Danny Ocean – zaśmiał się rudzielec. – Chociaż też na „O”. To jest, moja tchórzliwa przyjaciółko, Jeremi Organek.

– Tak, to ja, bardzo mi miło. – Jeremi uściśnął bezwładną dłoń bladolicej Igi i uśmiechnął się szeroko. – Jak sprawy? – zwrócił się tym razem do Lindy.

– Komplikują się. Twój kolega z niewiadomych przyczyn postanowił dostać zawału w moim domu i przy okazji rymsnął się w czerep.

– Marek? Marek Nowak dostał zawału? – Brwi Jeremiego podeszły niemal pod linię włosów. – To niemożliwe. Wykluczone! Absolutnie nieprawdopodobne!

– Tak mówi twój kolega po fachu – odparła spokojnie.

– To pewnie jakiś imbecyl! – Organek z trudem panował nad złością. – Pójdę tam i mu pokażę, cymbałowi, że się myli!

– A zachęcam i namawiam, chociaż nie wyglądał na przygłupa. – Linda wydawała się rozbawiona. – Ale kto tam go wie, może faktycznie tylko robił dobre wrażenie, a w głowie wiatr hula.

– Nazwisko jakieś miał? – zapytał zniechęcony Organek. – Może znam.

– Dlaczego miał nie mieć? Głupi ludzie też się jakoś nazywają, żeby łatwiej ich było od mądrych oddzielić, a nie: głupi jeden, głupi dwa, głupi milion pięćset. Baczmański ma w dowodzie, a na chrzcie mu dali Remigiusz.

– Serio?! – Jeremi wytrzeszczył oczy.

– Nie patrz tak na mnie, imię jak imię. Może jego rodzice byli fanami wioślarstwa?

– Nie, nie, ty nie rozumiesz – tłumaczył z zaangażowaniem. – Ja znam Remigiusza Baczmańskiego, to jeden z najlepszych anatomopatologów w tym kraju! Jest ekspertem przy najgłośniejszych sprawach kryminalnych.

– Poważnie? No, no... Patrz, Iga, poznałyśmy doktor Brennan w męskiej wersji. – Linda się wyszczerzyła. – Czyli nie imbecyl.

Organek stropił się mocno. Nie imbecyl, wręcz przeciwnie, geniusz zasadniczo.

– Cholera jasna, to zupełnie nie ma sensu! – gorączkował się. – Marek prowadził zdrowy tryb życia, nie miał nałogów, jadł dużo zielska, unikał wszystkiego, co mogłoby skrócić jego życie. Biegał w maratonach, jeździł na rowerze, regularnie się badał i jedyne, na co cierpiał, to były migreny.

– O tych migrenach to nawet twój idol mówił – przypomniała sobie Linda.

– Ale od jakiegoś czasu już było lepiej, podobno znalazł wreszcie skuteczny lek – dywagował dalej dresiarz o twarzy Clooneya.

– Niezbadane są wyroki Pana – skwitowała filozoficznie Linda. – No gdzie ten Wilczyński? Zaraz mi tyłek zdrętwieje.

– Ja chcę do domu – odezwała się drżącym głosem Iga. – Głowa mnie boli i boję się, że już zawsze będę widziała tę maskę pośmiertną.

Jak na zawołanie drzwi otworzyły się z głuchym zgrzytem i na szczycie schodów pojawiła się okrągła sylwetka nadinspektora.

– O, pan Organek! – zauważył ze zdziwieniem. – I pana tu przyniosło?

– Dzień dobry, nadinspektorze, przyjechałem po Lindę. Musimy gdzieś pojechać.

– A dokąd, jeśli można wiedzieć? – W pytaniu nie było ani grama złośliwości.

– Na wycieczkę krajoznawczą – odpowiedziała Linda. – No to załatwione. Pan odwiezie naszą strachliwą Rainbow Dash do domu, a my z Jeremim załatwimy, co trzeba. Jakby co, niech pan dzwoni.

Po czym chwyciła Jeremiego pod ramię i ruszyli do samochodu.

Wilczyński stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, a po jego zagłobowym obliczu błąkał się uśmiech.

– Niech się pan przyzwyczaja, ona już tak ma – stwierdziła Iga.

Nadinspektor pokiwał głową, ale wyglądało na to, że w zasadzie już zaczął się przyzwyczajać. I lubił tego rezolutnego rudzielca coraz bardziej.



Berlin, 10 lipca 2010

Wiesz, do której nas przywieźli, nazywała się Kunzendorf.

W spowijających okolicę ciemnościach widziałem zarysy mijanych budynków, sylwetki drzew, aż w końcu samochód się zatrzymał.

Pamiętam bramę. Była wielka, żeliwna i wyglądała, jakby prowadziła do innego świata. I właściwie dokładnie tak było.

– Raus! Raus! – krzyczeli esesmani, kiedy wyskakiwaliśmy z samochodu.

Mniejsze dzieci potrzebowały pomocy, więc chwytaliśmy je pod paszki i zdejmowaliśmy z wysokiej platformy.

Chwyciłem Wandzię za rękę i ruszyliśmy do środka wielkiego budynku, który w ciemnościach budził we mnie paniczny lęk. Starąłem się być odważny, żeby moja siostrzyczka przestała płakać, ale to nie pomagało.

Nagle dogonił nas Bartek, wziął Wandzię na ręce i wniósł do środka. Patrzyłem na jej małe paluszki, które zanurzyła w jego włosach. Była drobna jak na swój wiek, od urodzenia wyglądała na młodszą i zdrowie miała wątłutkie. Mama zawsze się o nią martwiła. A teraz mamy nie było.

Stłoczyli nas w ogromnym holu i zabronili się ruszać.

– Bleib stehen und sein still! – rozkazał esesman.

Byliśmy głodni, brudni, zmęczeni i przerażeni. Dziewczynki ciągle płakały, niektórzy z nas zasypiali na stojąco. Staliśmy tam jak trzoda czekająca na ubój, trzydzieścioro jagnięt z wyrokiem na czołach. Poza moim rodzeństwem nie znałem nikogo.

Po przeliczeniu na szyjach zawiesili nam drewniane tabliczki. Od tej pory nie byłem już Waldziem Miłkiem. Nazywałem się Walter Miller.

** Bleib stehen und sein still (niem.) – Nie ruszać się i milczeć.*

ZBYT WIELE PRZYPADKÓW



– Jaki mamy plan? – zapytała Linda, umościwszy się na fotelu pasażera w wypożyczonej toyocie yaris.

– Jedziemy do Mokrzeszowa, a po drodze zatrzymamy się w próbowni. – Jeremi spojrział w lusterko i płynnie włączył się do ruchu.

– Klucz? – domyśliła się dziewczyna.

Organek skinął głową.

Wprawdzie ryzyko włamania do nieznanej nikomu poza wąskim gronem wtajemniczonych sali było niewielkie, jednak ostatnie wydarzenia kazały zwiększyć ostrożność.

– Fajno – pochwaliła pomysł Linda. – Może uda nam się od razu znaleźć zamek, do którego pasuje. Bo zamierzamy tam wejść, prawda?

– Prawda. Wziąłem dla ciebie coś na przebranie, jest w torbie.

Rudzielec sięgnął do tyłu i otworzył zamek torby.

– Widzę, że wszystko przygotowałaś – stwierdziła z zachwytem. – I latarki są, no, no. Imponuje mi pan, doktorze Organek.

Doktor Organek nie dał po sobie poznać, jaką przyjemność sprawiły mu słowa Lindy, uśmiechnął się jednak nieznacznie.

– Dziś rano odwiedziła mnie pani prokurator – rzucił zniechęca.

– Serio? I co?

– Odniosłem wrażenie, że nie do końca mi uwierzyła, ale na razie nie zamierzam się tym martwić.

– Bardzo słusznie, będziemy się martwić, jak już będzie czym się martwić, na razie skupmy się na kluczu.

– A właściwie dlaczego policja kazała ci przyjechać do ZMS-u? – zapytał nagle Jeremi.

– Racja, przecież ty nie wiesz – przypomniała sobie Linda. – Przedstaw sobie, że moja tęczowa współlokatorka wygadała się przed Wilczyńskim, że

wpuściła wczoraj twojego kolegę do domu, po czym radośnie zostawiła go na kanapie, żeby sobie umarł.

– Domyślam się, że nie zrobiła tego celowo? – przestraszył się Organek, który, bądź co bądź, był jednak lekarzem i życie ludzkie traktował priorytetowo.

– A gdzie tam, pojęcia nie miała, że on ma w planach wycieczkę na tamten świat. Bolał go żołądek, więc Igunia kazała mu się położyć i grzecznie na mnie czekać.

– Skąd on mógł o tobie wiedzieć?

– I to jest bardzo dobre pytanie, mój sympatyczny chirurgu zmarlaków, na które z przyjemnością ci odpowiem. Mówiłam ci, że mój tatuś ma dziwne znajomości, a kiedy dostałam zamówienie na artykuł o patologach, podał mi namiary najpierw na tego Marka Nowaka. Skontaktowałam się z nim raz czy dwa, ale ciągle nie miał czasu i tym sposobem trafiłam na Kurzawę, a o Nowaku zapomniałam.

– Czyli okłamałaś policję?

– Nie bądźmy tacy zasadniczy, od razu okłamałam. Zapomniałam, a rano sobie przypomniałam, jak tatuńcio zadzwonił z pytaniem, czy upadłam na głowę.

Jeremi prychnął i spojrzał na dziewczynę z uśmiechem.

– Telewizja? – domyślił się. – Mnie się podobało.

– A przestań, przecież nie będę się przejmować opinią faceta, który nie wie, ile dzieci spłodził. Nieźle wyszło, co? – Linda wyszczerzyła się z zadowoleniem. – Mam kumpelę w regionalnej i była mi winna przysługę, a w wakacje i tak brakuje im materiału.

Dojechali na miejsce. Jeremi zaparkował najbliżej, jak się dało, i dwoje spiskowców znów zanurzyło się w korytarzach zapuszczonej kamienicy. Tym razem Linda szła bez obaw i szybko dotarli do pancernych drzwi. Organek rzucił okiem na zamki, z zadowoleniem ocenił, że nie ma śladów włamania, otworzył więc zabezpieczenia i weszli do środka.

Wszystko wyglądało dokładnie tak jak poprzedniego dnia, a klucz bezpiecznie spoczywał w swojej kryjówce.

– Przebierz się, Lindo – polecił dziewczynie, wręczając jej czarny dres wyjęty ze sportowej torby.

Po niespełna minucie rudowłosa blogerka wróciła niczym czarny ninja, w kapturze, pod którym ukryła swoje płomienne kędziory.

– Możemy ruszać – oznajmiła.

Zadowolony z efektu charakteryzacji Organek cmoknął z uznaniem, a po chwili dwie czarne sylwetki opuściły mało przyjemne mury śmierdzące trutką na gryzonie, starością i płynami ustrojowymi nocujących tam bezdomnych. Na szczęście Linda nie mogła tego poczuć, w przeciwnym razie z pewnością wołami nie udałoby jej się tam zaciągnąć.

Tym razem podróż przebiegła bez większych ekscesów, z wyjątkiem potężnego korka na wysokości Jordanowa. Wjeżdżając do Mokrzeszowa, podjęli decyzję o pozostawieniu samochodu w bezpiecznej odległości od szpitala i zamierzali poczekać na zapadnięcie zmroku w jakimś ukryciu. Jak się okazało, łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo Mokrzeszów to nie Wrocław i na każdym rogu knajpy nie występują.

Ostatecznie udało im się znaleźć gęsto zadrzewiony zagajnik, rozłożyli folię malarską i sami rozłożyli się na niej, całkowicie niewidoczni. Przez chwilę słuchali śpiewu ptaków i przyglądali się wędrówce słońca po horyzoncie.

– Dziwna sprawa z tym Markiem – zagadnęła Linda. Zgięła nogi w kolanach, podłożyła ręce pod głowę i oddawała się błogiemu lenistwu.

– A jeśli dołożymy do tego naszą rusałkę, to robi się bardzo tajemnicza – zgodził się Jeremi.

– Myślisz, że te sprawy się łączą?

– A ty nie?

– Jak to powiedziałaś, to właściwie zaczęłam tak myśleć – przyznała dziewczyna. – Tylko za cholerę i bostonkę nie mam pojęcia, w jaki sposób, ani też o co w tej imprezie chodzi.

– Trochę się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że albo Marek musiał wiedzieć o rusałce, tylko przypadkiem trafiło na mnie, albo odkrył coś, o czym nie powinien wiedzieć, a ta wiedza kosztowała go życie.

– Ale przecież nikt mu życia nie odebrał – przypomniała Linda. – Przypadkiem dostał zawału. I przypadkiem palnął łbem o szafkę w mojej pracowni.

– I przypadkiem zostawił wiadomość dla mnie, choć nie mógł wiedzieć, że będę u ciebie?

Dziewczyna ściągnęła usta w dzióbek i się zamyśliła. Znudziło jej się leżenie w jednej pozycji, przewróciła się więc na bok i podparła głowę na prawej ręce.

– Racja. Tych przypadków jest tu stanowczo za dużo. Zaczynam się zastanawiać, czy moje spotkanie z Kurzawą na pewno jest przypadkiem.

– Co masz na myśli? – zainteresował się patolog.

– No wiesz, ni stąd, ni zowąd dostaję zlecenie napisania artykułu na temat, który z historią ma tyle wspólnego ile Wigilia z białą kiełbasą. I nagle trafiam do Kurzawy, chociaż równie dobrze mogłabym rozmawiać z tobą albo tym twoim geniuszem od wioseł.

Organek kiwał głową, bo zgadzał się z każdym słowem. Jemu także przyszło do głowy, że zbyt wiele rzeczy w tej przedziwnej historii zdarzało się przypadkiem. A w taką ilość przypadków to chyba nawet Nostradamus by nie uwierzył.

– Potem pojawia się rusałka, która zaraz znika, a Kurzawa udaje, że żyje w jakiejś innej rzeczywistości, przy czym to ciebie wysłała w lot nad kukułczym gniazdem, zamiast zająć się poszukiwaniem znikniętych zwłok. Ktoś się do ciebie włamuje w biały dzień, potem Marek Nowak egzemplifikuje tytuł książki Agathy Christie, chociaż ja go wcale do przyjscia i zginiecia nie zapraszałam. Czy ty coś z tego rozumiesz?

– No i jeszcze klucz z kurzą łapką, który zdaje się wiązać rusałkę z budynkiem służącym za siedzibę Lebensborn – uzupełnił Jeremi, podsumowując znane im fakty.

– Słuchaj – powiedziała Linda z powagą. – Jeśli nie znajdziemy niczego w tym szpitalu, to trzeba będzie jednak glinom wyśpiewać całą prawdę. Uwierzyć czy nie, ich problem. My będziemy czyści.

– Obawiam się, że będą chcieli skonfrontować historię o rusałce z Kurzawą – domniemywał patolog.

– O to się nie martw, ja się tym zajmę. Zaprosił mnie na obiad i obiecał udzielić tego wywiadu, a ja zamierzam zadawać także trudne pytania.

W to akurat Jeremi nie wątpił i nawet zrobiło mu się żal Kurzawy. Ale tylko przez chwilę, w końcu to on wysłał go w lot nad kukułczym gniazdem.

NIE PODOBAJĄ MI SIĘ CYNADERKI



Nadinspektor Wilczyński odwiózł roztrzęsioną Igę do domu, pogłaskał ją po głowie i upewnił się, że zamknęła drzwi na zamek.

Odjechał od razu, bo nagle poczuł, że wypił za dużo kawy, a jakoś mu było głupio pukać do wystraszonej Igi, która pewnie już schowała się pod stół i nie wyjdzie spod niego, dopóki nie wróci Linda.

Gnał ulicami miasta jak szalony, narażając się na mandaty, ale było mu wszystko jedno, byle dotarł do celu na czas. Udało się. Zaparkował na placu Muzealnym, wyskoczył z samochodu i w drzwiach niemal zderzył się z Bączkiem.

– Z drogi, Michaś, z drogi! – krzyczał, pokonując schody.

– Pali się czy jak? – zdziwił się podkomisarz, ale puścił szefa przodem.

Wilczyński pognał z niespotykanym dla niego wigorem do toalety, a Bączek smętnie poczłapał do swojego gabinetu. Nie dane mu jednak było odpocząć, bo po dwóch minutach jego pryncypał wetknął głowę przez uchylone drzwi i zarządził ewakuację.

– No nie dasz człowiekowi liznąć kultury – wymamrotał podkomisarz. – I po jakimś czorta ja te wszystkie książki kupuję, skoro i tak nie mam czasu ich przeczytać.

– Poczytasz na emeryturze – pocieszył go Wilczyński. – Może być, że na mojej. A teraz chodź, pracować trzeba, póki nam jeszcze za to płacą.

Budynek prokuratury na szczęście znajdował się po sąsiedzku, więc dużo czasu im ta podróż za chlebem nie zajęła. Wdrapali się po schodach, pokiwali głowami znajomym autochtonom, nadinspektor wymienił uprzejmości z jakimś leciwym członkiem palestry i w końcu znaleźli się pod gabinetem prokurator Rumin. Nie weszli jednak, zamiast tego przykleili uszy do drzwi i wytężyli słuch.

– Czy ona płacze? – szepnął Bączek.

– Albo tak głupio się śmieje. Histerycznie to się nazywa chyba.

Kontynuowali nasłuchiwanie, wyobrażając sobie tę histerię, ale coraz mniej wesoła im się ona wydawała.

– Może przyjdziemy kiedy indziej? – zasugerował podkomisarz nieśmiało.

Wilczyński zgromił go wzrokiem, odkleił się od drzwi i odrzekł:

– A co ty za brednie opowiadasz, Michaś? Dziewczyna łzami się zalewa, a ty chcesz głowę odwracać i uciekać jak... jak jakiś... – Urwał, bo zabrakło mu przykładu. – No, jak tchórz.

Wiele można by o Bączku powiedzieć, ale nie to, że był tchórzliwy. Natychmiast się wyprostował, wypiął pierś i zapukał do drzwi.

Odpowiedziała mu cisza, która oznaczała, że pukanie przyniosło efekt. Po chwili drzwi się otworzyły, a w progu stanęła Kalina Rumin.

– A czemu ty becysz, Kalinko? – zagrział Wilczyński, bo z zaskoczenia pomyliły mu się konwencje.

Bączek spojrział na niego ze zgrozą i natychmiast przeniósł wzrok na opuchniętą twarz prokuratorki.

– No beczę, beczę – zaszlochała kobieta i pociągnęła nosem. – Ale jeśli powiesz o tym komuś, to znajdę na ciebie paragraf. Na pana zresztą też – rzuciła w kierunku Bączka z bladym uśmiechem.

Podkomisarz paragrafów bał się mniej niż stracenia sympatii urodziwej prawniczki, wykonał więc gest mający oznaczać zamykanie dzioba na suwak, po czym zatrzaskał drzwi. Wilczyński podszedł do dziewczyny i objął ją gestem iście ojcowskim, a ona, ku zdziwieniu młodszego z policjantów, poddała się temu z wyraźną ulgą.

– Mów, mów, dziecko – zachęcał Wilczyński, głaszcząc ją po czarnych włosach. – Wyrzuć z siebie wszystko.

Wyrzucanie wszystkiego zaczęła od tony łez, które najwidoczniej utknęły jej wcześniej pod powiekami. Nadinspektor bez słowa wyciągnął z kieszeni bawełnianą chustkę i zaczął łapać owe łzy, zanim utworzyłyby pokaźną kałużę na drewnianym parkiecie.

– Dzwonił mecenas – wyszlochała w końcu. – Jestem w ciemnej dupie.

Bączek zdziwił się podwójnie: po pierwsze, bo nigdy nie słyszał, żeby elegancka i elokwentna prokuratorka używała ordynarnego słownictwa, a po drugie, bo nie podejrzewał jej o takie emocje. Właściwie o żadne emocje jej nie podejrzewał, kojarzyła mu się wyłącznie z paragrafami i niekiedy nawet w żartach nazywał ją „tiret”.

– A po coś ty się tam zapuszczała, dziewczyno? – Wilczyński chwycił jej rękę i delikatnie pociągnął w stronę obitego skórą fotela. – Nie ma już lepszych destynacji?

– Jakbym ja mogła cofnąć czas, Kazik, to dziś byłabym pewnie na plaży w Kuala Lumpur, uwieszona silnego ramienia Jasona Momoy.

Nadinspektor pokiwał głową ze smutkiem, a Bączkowi zrobiło się odrobinę przykro. Choćby na rzęsach stanął, to Jasonem Momoą nie będzie, i nawet już nie o te długie kłaki chodzi...

– Jak źle jest? – zapytał rzeczowo właściciel gabarytów Zagłoby.

– Fatalnie. Syndyk szacuje, że między pięć a siedem milionów.

– O w ucho szczypany! – uniósł się nadinspektor. – Dasz radę się z tego wywinąć?

Rumin wzruszyła ramionami, ale minę miała nietęgą. Tylko Bączek zdawał się czuć, jakby nie rozumiał języka, w którym komunikują się wszyscy inni.

Wilczyński zorientował się nagle, że jego podwładny wygląda jak dziecko we mgle, poczuł się więc w obowiązku wprowadzić go w temat.

– Słuchaj, Michaś, to jest sprawa delikatnej natury i raczej poza nasze uszy wychodzić nie powinna – wyjaśnił spokojnie. – Wysil więc swoją sławetną emocjonalną inteligencję i empatycznie zachowaj dla siebie prywatne zmartwienia pani prokurator.

Bączek ani myślał wypuszczać poza swoje uszy prywatne zmartwienia Kaliny Rumin, ale zapewnił skwapliwie, że przysięga i zaklina się na wszystko. Ukontentowany nadinspektor kontynuował więc wyjaśnienia, nie stroniąc przy tym od prywatnych i zupełnie niesubiektywnych opinii.

– Imaginuj sobie, Michałku, że nasza piękna i niewysłowienie mądra przedstawicielka braci prokuratorowskiej popełniła w swoim życiu błąd, ale ktoś ich nie popełnia, i wyszła za mąż za osobnika, na którego w języku polskim brakuje właściwego określenia.

– Swołocz, ścierwo, menda, podlec, szuja, łachudra – wysyczała na jednym tchu Kalina.

– No, może kilka się jednak znajdzie – ocenił Wilczyński. – Sedno złapałeś?

– Złapałem – potwierdził Bączek, urzeczony bogactwem nomenklatury pozaprawniczej wylewającej się słodkim strumieniem z ust pięknej prokuratorce.

– I ten właśnie, określenie wybierz sobie spośród zaproponowanych, zajął się działalnością przestępczą polegającą na okradaniu ludzi pod pretekstem sprzedawania im mieszkań, których nigdy nie miał w zamiarze wybudować.

– O! – Podkomisarz uniósł brwi.

– Właśnie. O! Wyłudził od setek naiwnych i praworządnych obywateli pięć do siedmiu milionów polskich nowych złotych, po czym wziął i spierniczył... Dokąd on spierniczył, Kalinko?

– Tam, gdzie zbrodniarze wojenni: do Ameryki Południowej.

– To wy nie mieliście rozdzielności? – domyślił się Bączek.

Kalina zaprzeczyła ruchem głowy. Na jej ładnej twarzy wciąż widać było smutek, ale w spojrzeniu pojawiła się złość.

– Jezus Maria... – podsumował zszokowany policjant. – Ale skurczysyn...

– No i nawet bardzo ładne określenie znalazłeś – pochwalił go pryncypał.

Po tych słowach zapadła cisza. Bączek czuł się niezręcznie, Rumin tłumiała narastającą wściekłość, a Wilczyński rozmyślał o niesprawiedliwości dziejowej. W końcu Kalina poczuła, że siły witalne jej wróciły, i przywołała się, a przy okazji również policjantów, do profesjonalnego porządku.

– Dobra, panowie, koniec tych lamentów. Co ma być, to będzie, wybaczcie chwilę słabości. Skupmy się na skurczysynie, który pod naszym nosem morduje Bogu ducha winnych patologów.

Powiodła wzrokiem po twarzach śledczych i w lot zrozumiała, że chyba coś nie gra.

– Coś nie tak powiedziałam?

– Nie, nie. Wszystko tak, tylko nie mamy morderstwa – odpowiedział Bączek cicho. – I my właśnie w tej sprawie...

– Czekajcie, od początku – poprosiła skonfundowana. – To co mamy, jeśli nie morderstwo?

Policjanci nie zdążyli nawet wrzucić ramionami, ale – jak miało się okazać – dobrze, że nie zdążyli.

Telefon na dębowym biurku wydał z siebie przenikliwy dźwięk, który należało natychmiast przerwać. Rumin podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik przełączający rozmowę na głośnik.

– Są u mnie Wilczyński z Bączkiem – poinformowała dzwoniącego.

– To się bardzo dobrze składa – odrzekł głos Baczymańskiego. – Jeszcze na sto procent tego nie potwierdzę, ale na waszym miejscu nie zamykałbym sprawy Marka Nowaka.

– Co znalazłeś? – podchwycił Wilczyński z wyraźnym entuzjazmem.

– Mówiłem ci, że nie podobają mi się te jego cynaderki.

Nadinspektor zachichotał, Rumin parsknęła, a Bączek przewrócił oczami. Tego dnia z pewnością wybierze obiad jarski...

– Kazałem je obejrzeć, a przy okazji to samo zaleciłem zrobić toksykologom z próbkami krwi i wyobraźcie sobie... – zawiesił głos z iście szekspirowską manierą – ...że coś znaleźli.

– No wiesz co, Remik? – zachnęła się prokuratorka. – Jak możesz się tak nad nami znęcać?

– Michaś wymiękł już przy garmażerze – dodał z uśmiechem Wilczyński. – Kiedy będziesz wiedział?

– Najpóźniej jutro rano, ale sądzę, że jeszcze dzisiaj. Kazałem to zrobić na wczoraj.

– I fajno – ocenił z zadowoleniem pękaty policjant.

– Co podejrzewasz? – podjęła prokuratorka.

– Dziewięćdziesiąt procent, że to metale ciężkie.

– Poważnie?! – krzyknęli równocześnie wszyscy troje. Szybko jednak zorientowali się, że z czego jak z czego, ale ze swojej pracy doktor Remigiusz Baczymański nigdy nie żartował.

– Czy to na pewno jest sprawa dla nas? – powątpiewał Bączek.

– Tego nie wiem, ja tu tylko sprzątam – zakończył patolog. – No, to na razie, odezwę się, jak będzie wynik.

Troje śledczych patrzyło na siebie, a w ich głowach zachodziły poważne procesy myślowe. Stanowczo musieli to wszystko przetrawić.

– Obiecuj, że już nie będziesz beczeć – poprosił Wilczyński, kończąc wizytację. – A gdybyś potrzebowała, to dzwoń.

Rumin skinęła głową i posłała mu ciepły uśmiech. Bączkowi tylko skinęła, po czym zajęła się przeglądaniem maili.

SKORO KOTEK PRZELAŻŁ, TO MY TEŻ PRZEJDZIEMY



Kiedy zapadł zmrok, dwie czarne postacie ruszyły w kierunku gmaszyska górującego nad wsią o dziwacznie brzmiącej nazwie Mokrzyszów. Poza skromnym światłem pochodzącym z dwóch kiepskiej jakości latarek ciemność gdzieniegdzie rozjaśniały widoczne przez okna ekrany telewizorów albo zapalone lampy.

Bezpieczni w swym kamuflażu, Linda Miller i Jeremi Organek przemierzali wioskowy trakt, mając tylko jeden cel. Tak im się przynajmniej wydawało.

– O w paszczkę rekina, zasieki tu wybudowali! – syknęła dziewczyna, kiedy przed jej oczami wyrosła ściana z blachy falistej.

– To nieco komplikuje sytuację...

– Ale równocześnie dowodzi, że ktoś bardzo nie chce, żeby ktoś inny dostał się na teren szpitala.

– I chyba udało mu się cel osiągnąć – stwierdził Organek z zawodem w głosie.

– Ty nie bądź mięczak, doktoru, tylko uruchom kombinatorykę. Chyba nie poddasz się z powodu małej przeszkody?

Patolog spojrział w górę i ocenił, że przeszkoda ma najmarniej dwa i pół metra, a raczej bliżej trzech. Wspięcie się na ścianę nie wchodziło w rachubę, a narzędzi do wycinania dziur w metalu w torbie akurat nie miał. Nigdzie indziej zresztą też nie miał, co najwyżej mógłby podwędzić palnik ze szpitala, ale i on sukcesu nie gwarantował.

– No, dalej! – ponagliła go Linda. – Obejdźmy to dookoła, może znajdziemy jakiś otwór.

Ruszyli wzdłuż blaszanego parkanu, nigdzie jednak żadnego otworu nie było. Ani pęknięcia, ani nawet dziurki, przez którą można by wsadzić palec.

Wrócili do miejsca, z którego rozpoczęli inspekcję, wciąż nie mając pomysłu.

– O, psiiiinka – rozczuliła się dziewczyna na widok kundelka, który nieoczekiwanie zmaterializował się obok jej nogi. Piesek radośnie merdał ogonem, wyraźnie domagając się pieśczot. – A skąd ty się tu wzięłeś, sierścieszku? Zgubiłeś się?

Kundelek lizał ją po rękach i radośnie popiskiwał, kiedy drapała go za uchem. Nagle nadstawił uszu, zjeżył się cały i pomknął jak strzała wzdłuż ogrodzenia. Linda bez namysłu rzuciła się za nim, a już po chwili do uszu Jeremiego doleciał jej głos:

– Jeremi, chodź tu szybko! I bierz torbę!

Zaintrygowany Organek puścił się biegiem, wyobrażając sobie, że będzie musiał stanąć w obronie dziewczyny, a gdy do niej dotarł, замуrowało go.

Pod ogrodzeniem widniał niewielki dołek, z dołka wystawał merdający ogon kundelka, a obok kundelka Linda usiłowała wsadzić głowę do otworu, w którym zmieścić mógł się co najwyżej chomik.

– Lindo? – szepnął patolog w odrętwieniu. – Co robisz?

Dziewczyna oderwała policzek od ziemi i uśmiechnęła się szeroko.

– Zobacz, jaki mądry piesek – oznajmiła radośnie. – Wyniuchał kotka, pogonił go, kotek prześlizgnął się pod tym ustrojstwem, ale piesek jest za gruby.

– Mądry piesek, dobrze, że nie utknął...

– No, bardzo mądry! I my teraz też będziemy mądrzy.

Jeremi nie zrozumiał konkluzji, widocznie był bardzo zmęczony.

– No dawaj te łopaty, kopiemy! Skoro kotek przelazł, to my też przejdziemy! – obwieściła Linda z entuzjazmem, który niestety nie udzielił się jej partnerowi.

Z entuzjazmem czy bez, łopaty poszły w ruch, a po godzinie z kawałkiem podkop był na tyle duży, że szczupła Linda mogła bez trudu podążyć śladem kotka.



Berlin, 10 lipca 2010

Rozdzielili nas do dwóch Schlafzimmern: w jednym dziewczynki, w drugim chłopcy. Wandzia nie chciała iść beze mnie. Krzyczała i płakała. Jedna z pielęgniarek, a było ich chyba z dwadzieścia, chwyciła ją za rękę i taką zasmarkaną zaciągnęła do sali. Trzasnęły ciężkie drzwi, a potem zrobiło się cicho.

Spaliśmy na piętrowych łóżkach z cienkimi siennikami. Pierwszej nocy wdrapałem się do Bartka i zasnęliśmy przytuleni. Pamiętam, że marżyły mi stopy. Bartek zrobił dziurę w sienniku i schował moje nogi do środka.

Rano zebrali nas w wielkiej łaźni. Ściany i podłoga wyłożone były białymi kafkami, okna wcale się nie otwierały. Kazali się wyszorować, a pielęgniarki sprawdzały, czy nie mamy wszy i czy dobrze umyliśmy uszy.

Po kąpeli było śniadanie.

Zaprowadzono nas do przestronnego pomieszczenia, które pełniło funkcję jadalni. Dostaliśmy po kubku czarnej kawy i chleb. Rzuciliśmy się na nie, jakbyśmy mieli nigdy więcej nie włożyć nic do ust.

Wandzi na śniadaniu nie było. Zapytałem o nią pielęgniarkę, ale mnie zignorowała.

Zebrali nas, chłopców i kilka starszych dziewczynek, na dziedzińcu i kazali się gimnastykować. Chłopcy na drążku, dziewczęta robiły szpagaty.

Następne dni, tygodnie i miesiące zlewają mi się w jedno. Co jakiś czas dojeżdżały kolejne grupy dzieci, jesienią była nas już ponad setka.

Dwa razy dziennie pozwalano nam spacerować. Wyprowadzali nas wtedy do ogrodu i chodziliśmy w kółko, jak więźniowie, bacznie obserwowani przez esesmanów i wychowawczynię. Pilnowali, żebyśmy nie zbliżaliśmy się do ogrodzenia, żebyśmy nie próbowali uciec. Czasami komuś z miejscowych udało się podejść pod płot i wrzucić nam kilka jabłek, buraka albo chleb.

Po polsku mówić nie było wolno. Jednego razu Antek, któremu imię zmieniono na Herman, pozdrowił wracających z kościoła mieszkańców słowami „Dzień dobry!”. Za karę zamknęli go w izolatce i głodzili trzy dni. Niektórzy się buntowali, zwłaszcza starsi. Bartek, mój brat, nazwał esesmana „niemieckim ścierwem” i splunął mu pod nogi. Do dziś pamiętam świszczący dźwięk bata, którym został wychłostany na dziedzińcu. Nam kazano na to patrzeć – to miała być nauczka.

– Ihr. Seid. Deutsche! – krzyczał esesman, wymierzając razy leżącemu na ławce Bartkowi. – Ihr werdet Deutsch sprechen!

Bartek nie płakał, nie krzyczał. Zaciskał pięści i się modlił. „Święta Mario, łaskis pełna, módl się za nami, a na te niemieckie kurwy ześlij straszliwą śmierć”. Im mocniejsze razy dostawał, tym głośniej recytował. Potem przez wiele tygodni spał na brzuchu, ale nigdy się nie skarżył.

Kiedy nadeszła jesień, pojawiły się nowe dzieci, a wraz z nimi nowy personel. Kucharki, praczki, sprzątaczkę – wszystko Polki. Jedną z kucharek, Janina, była niewiele starsza od Bartka. Czasami udawało mi się wślizgnąć do kuchni i porozmawiać z nią. Po kilku tygodniach stała się naszym łącznikiem ze światem – wносиła z obozu listy, które pisaliśmy do swoich krewnych, i przynosiła wieści. Niemcy chcieli, żebyśmy zapomnieli, kim jesteśmy, ale Bóg chciał inaczej.

Wychowawczynie, młode Niemki, obserwowały nas całymi dniami. Robiły notatki, szeptały między sobą, składały raporty esesmanom, którzy z czasem przyjeżdżali coraz rzadziej. Oprócz nauki niemieckiego ćwiczone nas na sprawność – nosiliśmy kamienie, biegaliśmy, uczyli nas strzelać. Wbijano nam do głów historię Niemiec, uczono piosenek opiewających wielkość i boskość Führera. Wciąż nam powtarzano, że jesteśmy przyszłością Vaterlandu. Po kilku tygodniach niektórzy z nas w to uwierzyli.

Zima przyniosła pierwsze selekcje. Już wcześniej czuliśmy, że coś się szykuje – częściej nas karmiono, dostawaliśmy mięso, a w łazni dokładniej nas oglądano. Jak u kogoś znaleziono wszy, zabierano go do skrzydła szpitalnego i wracał z ogoloną głową. „Jak w Auschwitz”, mówiła Janka, roniąc łzy nad pięcioletnią Helene, która wcześniej włosy miała do pasa. Nie wiedzieliśmy, co to Auschwitz, i baliśmy się zapytać.

Lekarze przyjechali z samego rana. Było jeszcze ciemno, ale podjeżdżające pod same okna samochody hałasowały tak, że nie dało się spać. Przyłgnęliśmy do okien i podziwialiśmy.

Dostali pokoje na drugim piętrze, gdzie nam nie wolno było wchodzić. Bartek wchodził, nawet batów przestał się bać. Powtarzał w kółko: „I tak mnie zabiją, więc

czego tu się bać?”. Ja jednak się bałem, ale pewnego razu zakradłem się z Hermanem, z którym się przyjaźniłem, i zajrzeliśmy do pokojów. Schludne, jasne pomieszczenia pełne były książek. To wspomnienie uginających się od książek regałów zostało ze mną już na zawsze.

Pobierano nam krew, mierzono głowy, wzrost i wagę. Nawet kości w twarzy mierzyli i oceniali rozstaw oczu. Obserwowali nas przy jedzeniu, podczas snu, w trakcie gimnastyki. Czasami zagadywali.

Gaukinderheim – tak mówili o naszym „domu”. Dom dla sierot. I wtedy dopiero zrozumiałem, że już nigdy nie zobaczę rodziców.

Wandzię widziałem zaledwie kilka razy. Przestała mówić, nie uśmiechała się. Zresztą mało kto się uśmiechał, bo cały czas bolały nas brzuchy. Głównie z głodu.

Tuż przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku zaczęto szykować nas do wywiezienia. Mieliśmy trafić w głąb Rzeszy. Każdemu z nas wydano orzeczenie, według którego dokonano ostatecznej selekcji.

Ja, Herman i mój brat do zniemczenia się nie kwalifikowaliśmy. W dalszym ciągu słabo mówiliśmy po niemiecku, a do tego stwarzaliśmy problemy. Wandzię wywieziono pierwszym autobusem, razem z innymi dziewczynkami, podobno do Achern. Chłopcy wyjechali następnego dnia.

Pozostali, w tym ja, mieli trafić do Jugendverwahrlager Litzmannstadt.

ZWŁOKI!



– A żeby tak w krwi placek wdepnęli bosymi stopami! – syknęła Linda po drugiej stronie blaszanej ściany.

Jeremi nadstawił ucha, leżąc cały czas w wykopanym dole. Niestety pogłębienie go zajęłoby zbyt dużo czasu, dlatego też uznali, że wyślą tylko reprezentantkę, a on będzie zabezpieczał tyły.

– Komu tak ładnie życzysz? – zapytał przyciszonym głosem.

– Tym geniuszom budownictwa, którzy ustawili tu płot.

– Płot?

– No mówię przecież: ogrodzenie, takie z siatki, pół metra od blachy.

Organek zdziwił się nieco, choć musiał przyznać, że obiektywnie rzecz ujmując, pomysłodawcom zasieków należały się pochwały.

– Dasz radę się wspiąć? – szepnęła z troską.

– Nie obrażaj mnie – zachnęła się dziewczyna. – Spójrz w górę.

Patolog odruchowo oderwał policzek od ziemi i zaklął siarczyście, wyrznąwszy skronią o blachę. Następnie ostrożnie, ruchem do złudzenia przypominającym pełzanie dżdżownicy, tyle że na wspak, wydostał się z podkopu i zadarł głowę. Znad blachy machała do niego ręka w czarnym rękawie, a nieco niżej widać było czubek czarnego kaptura.

Po chwili dało się słyszeć metaliczne dźwięki wyginanej siatki zwieńczone głośnym tupnięciem.

– Orzeł wylądował – zakomunikowała Linda. – Wreszcie udział w runmageddonie na coś się przydał. Idę do środka.

Organek życzył jej powodzenia i stał przez chwilę bez ruchu, jedynie nasłuchując. Było cicho jak makiem zasiał. Usiadł w końcu pod ogrodzeniem, oparł się wygodnie i puścił myśli swobodnie. Starał się nie zauważać rosnącego w nim napięcia wywołanego przez dotychczas mało mu znane uczucie: lęk o kogoś.

Mijały minuty, wokół panowała cisza. Zza ogrodzenia nie dolatywały żadne alarmujące dźwięki, a mimo to Jeremi odczuwał dyskomfort. Zdecydowanie wolałby być tam z Lindą i wcale nie tylko z ciekawości. A co, jeśli złamie sobie nogę? Albo coś spadnie jej na głowę?

– Brak wieści to dobre wieści – przywołał się do porządku.

Ledwo wypowiedział te słowa, a już los postanowił potwierdzić ich prawdziwość. Gruchnęło, grzmotnęło, posypało się szkło, a potem było już tylko gorzej. Linda z wrzaskiem wypadła z pałacu, przy okazji trzaskając drzwiami, które – pozbawione wahaczy – wyrznęły o ścianę. Wciąż krzycząc, dopadła płotu, wdrapała się na niego niczym zawodowy włamywacz, zeskoczyła po drugiej stronie, szczupakiem prześlizgnęła się pod blaszanym ogrodzeniem i roztrzęsiona wpadła prosto w ramiona Organka.

– Jeremi! Jeremi!!! – darła się z szaleńcem w oczach.

– Co?! Ciiiicho, mała, bo się zaraz cała wioska zleci.

– I dobrze! Nawet dwie niech się zleca! – Teraz do wrzasku dołączył szloch. – Trup! Trup! Tam jest trup!!!

Patolog znieruchomiał i na moment odebrało mu zdolność mówienia. Po chwili do głosu doszedł rozum i zapytał, wyciągając całkiem logiczne wnioski:

– Znalazłaś szkielet? Albo zmumifikowane zwłoki?

Biorąc pod uwagę krążące od lat pogłoski o tym, że szpital w Mokrzeszowie w czasie wojny był jednym z wielu ośrodków służących organizacji Lebensborn, znalezienie śladów bezwzględności nazistów nie było aż tak niemożliwe.

– Zwłoki! Zwłoki znalazłam, te, co ci zginęły!

Jeremi delikatnym ruchem odsunął Lindę od siebie, ale wciąż trzymał ją za ramiona. Pochylił się lekko, zajrzał w pełne strachu bursztynowe oczy i upewnił się:

– W opuszczonym szpitalu znalazłaś zwłoki rusałki?

Dziewczyna pokiwała głową i dodała cicho:

– Wyglądającej jak wieloryb po cesarskim cięciu.

Wyobrazenie sobie wieloryba, któremu wykonano cięcie cesarskie, sprawiło Organkowi więcej problemu niż przywołanie przed oczy obrazu znikniętej rusałki z rozplatanym brzuchem. Doskonale wiedział, w jaki sposób on przeciąłby, a następnie zszły z wirtuozerią delikatne powłoki brzuszne. Sęk jednak w tym, że o szyciu Linda nic nie wspomniała.

– Chyba nie mamy wyjścia – ocenił cicho. – Musimy to zgłosić na policję.

– Myślę, że masz rację. Tym bardziej że chyba znalazłam zamek, do którego pasuje nasz klucz. – Dziewczyna wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i jednym kliknięciem uruchomiła odtwarzanie wideo. – Spójrz na posadzkę za tą kratą.

Jeremi zbliżył twarz do ekranu i przez siedemnaście sekund, bo tyle trwało nagranie, wpatrywał się w ledwo widoczną kurzą łapkę narysowaną na kamiennej posadzce.



Wilczyński spał niespokojnie. Rzucił się na łóżku, stękał co chwilę, a w końcu ocknął się i usiadł raptownie. Z szafki nocnej dochodziło uporczywe brzęczenie. Źródłem brzęczenia zaś okazał się telefon komórkowy.

– A tobie to się przypadkiem strefy czasowe nie pomyliły? – wychrypiął, zauważwszy, że było kilka minut po trzeciej.

– Wybacz, Kazik, siła wyższa. – Bączek ani myślał przeproszać. Jego też ktoś przecież obudził.

– I tak nie mogłem spać. Co jest?

– Zwłoki w Mokrzeszowie.

– A to nie jest sprawa Świdnicy?

– Normalnie: tak. Ale teraz nie jest normalnie i się nie wyprzemy.

Nadinspektor szczerze w to wątpił, bo akurat w wypieraniu się miał tytuł mistrza województwa, mądrość życiowa kazała mu jednak poczekać na wyjaśnienia.

Bączek natomiast gimnastykował umysł, żeby odpowiednie dać rzeczy słowo. O tej porze nocy było to zadanie wyjątkowo trudne...

– To ja się jeszcze zdrzemnę, a ty się namyśl – wyłośliwił się Wilczyński.

– Chciałem cię oszczędzić, ale skoro tak stawiasz sprawę... Zwłoki znaleźli Organek z Miller i chcą rozmawiać tylko z nami.

– Wiesz, Michaś – odezwał się jego szef w zadumie. – W sumie to nawet czuję się uspokojony. Po tej twojej zapowiedzi spodziewałem się, że Edyta Prusko znów do nas zawitała.

– Nie powiedziałem ci jeszcze, w jakich okolicznościach te zwłoki znaleźli – odparł Bączek z jadem w głosie.

– Dopóki nie ma tam żadnej pruskiej baby, wszystko przyjmuję z dobrodziejstwem inwentarza – zapewnił Wilczyński. – Chyba że sami te

zwłoki zamordowali, to wtedy będę się zastanawiał, jak udowodnić, że trzymająca narzędzie zbrodni ręka nie należy do Lindy Miller.

Pożegnali się bez zbędnych czułości i każdy ruszył do swojej łazienki, żeby chociaż zęby umyć. Niespełna godzinę później, w odstępie pięciu minut, zaparkowali pod blaszanym ogrodzeniem, pod którym zgromadziła się nie tylko jednostka lokalnej policji, ale i cała wieś.

– Gdzie nasze pisklęta? – zagadnął Bączka nadinspektor, kiedy wysiadł z samochodu. Podkomisarz dotarł bowiem pierwszy i zdążył już rozeznac się w sytuacji.

– Tam, trochę dalej. Tłumaczą lokalsom, po co zrobili podkop.

Wilczyński uniósł brwi, ale nie pytał dalej. Podkop nie podkop, ważne, że Prusków, a zwłaszcza ich przyległości, nie ma. Sam właściwie nie wiedział, skąd mu się nagle wzięła ta obsesyjna myśl, bo przecież od dawna już nie miał kontaktu ani z Edytą Prusko, ani z jej dziadkiem, byłym agentem służb specjalnych, a tym bardziej z...

– O w mordę jeża! – Zatrzymał się w pół kroku i złapał za czoło. – To dlatego nie mogłem spać! Przyśnił mi się koszmar z rodzaju horrorów, w żeńskiej postaci.

Bączek przystanął obok i grzecznie czekał na ciąg dalszy. W myślach sam ze sobą się założył, że wie doskonale, kto przyśnił się jego szefowi.

– Dobrze, że to tylko sen, Michaś. Dobrze, że to sen. Nie ma jej tu, prawda? – upewnił się z paniką w oczach.

– Nic mi nie wiadomo, żeby Patrycja Pawlus występowała w tej sprawie w jakiegokolwiek formie.

Nadinspektor odetchnął z ulgą, chociaż wciąż nie czuł się zupełnie bezpieczny. Z nimi nigdy nic nie wiadomo... Podjął spacer wzdłuż blaszanego ogrodzenia, a po kilku krokach zadźwiewał głos Lindy:

– Czy ja panu wyglądam na Spider-Mana? Jak inaczej miałabym się dostać do środka, jeśli nie pod tym metalowym ustrojstwem? A poza tym odmawiam odpowiedzi na pytania do czasu pojawienia się nadinspektora Wilczyńskiego.

Wyżej wspomniany wyszczerzył się radośnie i podszedł do dziewczyny.

– Czuję się zaszczycony, młoda damo, wyróżnieniem. Z radością wstałem o tej nieludzkiej porze i oto jestem. Czego nie robi się dla przyjaciół.

Linda ani trochę nie poczuwała się do winy, w końcu jej też nikt nie pytał o zdanie, kiedy podrzuczał zwłoki. Uśmiechnęła się radośnie do Wilczyńskiego, pomachała Bączkowi, który odmachał jej dosyć niemrawo, i zażądała rozmowy

w bardziej ludzkich warunkach, najlepiej z dala od tłumu, którego spojrzenie nieustannie odczuwała na plecach.

– Skoro już mnie tu pani wezwała, to grzechem byłoby od razu odjeżdżać – odpowiedział życzliwie krągły oficer. – Muszę zajrzeć do środka, zobaczyć, co tam pani znalazła, i dopiero wtedy będziemy rozmawiać w spokoju. Może tak być?

– Ekhm – chrząknął mundurowy, któremu nie udało się wycisnąć z Lindy odpowiedzi. – Zdaje się, że to nie będzie takie proste, bo teren jest zamknięty i bez nakazu nikt nas nie wpuści.

Wilczyński zerknął na zegarek: dochodził kwadrans po czwartej.

– Spróbujcie bez nakazu, a jeśli się nie uda, to będziemy ściągać Kalinę. Ale dajmy jej jeszcze trochę pospać – poprosił.

Nieszczególnie zadowolony policjant odszedł z nosem na kwintę, ku uciesze Lindy i Jeremiego. Bączek za to wcale nie wyglądał na ucieszonego, wręcz przeciwnie. Zupełnie nie miał ochoty na angażowanie prokuratora w sprawę spoza jej rejonu. W dodatku chroniczny brak snu skutecznie tłumili dobre cechy jego charakteru, wobec czego przystąpił do wyjaśniania okoliczności bez zbędnej zwłoki, bo, jak już wiemy, zwłoki nigdy nie są zbędne.

– Państwa działalność rekreacyjna wydaje się dosyć oryginalna – stwierdził z sarkazmem. – Wiecie, że za włamanie mogą wam postawić zarzuty?

– Phi, zarzuty! – zbagatelizowała uwagę Linda. – O zarzuty lepiej niech się martwią właściciele tego przybytku. Ciekawe, jak się wytłumaczą z obecności znikniętych zwłok na swoim terenie.

– Skoro zniknięte, to raczej nie mają się o co martwić – zauważył Wilczyński, ale riposty się nie doczekał. Ten sam mundurowy zbliżał się bowiem radosnym truchtem i widać było, że będzie obwieszczał.

– Bez prokuratora się nie da – obwieścił zadowolony. – Właścicielem jest jakiś Niemiec i nie ma z nim kontaktu. Będziemy próbować przez konsulat, ale to dopiero po dziewiątej.

Wilczyński najchętniej sam poczekałby do dziewiątej z alarmowaniem Kaliny, ale musiał coś przedsięwziąć, żeby jak najszybciej obejrzeć zniknięte zwłoki. Z ciężkim sercem wyciągnął telefon, wybrał numer Rumin, a gdy odebrała, powiedział tylko:

– Podpisz mi nakaz, kwiatuszku, wszystko wytłumaczę ci później.

JAKIM CUDEM TO BYŁO MOŻLIWE?



Mieczysław Kurzawa sen miał tak twardy, że prawdopodobnie nie obudziłyby go nawet trąby Jerycha grające hejnał tuż obok jego łóżka. Nie dziwi zatem, że jego żona potrzebowała dziesięciu minut i szklanki zimnej wody, żeby w końcu otworzył oczy.

– Co... Co się dzieje!?! – krzyknął przerażony, jakby świat się kończył.

– Wstawaj, Mieciu, wstawaj! Piotrek dzwoni, coś złego się wydarzyło – lamentowała żona.

– Mówiłem przecież, że to już nie jest mój problem. – Siwowłosego profesor wyglądał na poważnie rozsierzonego.

– Kochanie, on mówi, że to coś poważnego.

– Więc niech się tym poważnie zajmie. Mam dosyć niańczenia twojego brata i ratowania go z każdej kabały, w którą się wpakuje. Przynieś mi suchą piżamę i idę spać.

Nieustępliwość była jedną z tych cech, której żona Kurzawy u niego nie lubiła. Zaciśnęła zęby, przywołała na czoło najgroźniejszą z min, jaka przyszła jej do głowy, i oświadczyła:

– Wysłuchaj go chociaż, skoro nie chcesz pomóc, bo masz wobec mojej rodziny zobowiązania. I Bóg mi świadkiem, że się z nich wywiążesz albo skończą się ciepłe obiadyki poddawiane pod nos.

Odcięcie od źródła pożywienia było sankcją, której użycie oznaczało, że małżonek znalazł się niebezpiecznie blisko granicy wytrzymałości swojej lepszej połowy. W obliczu wizji śmierci głodowej Mieczysław Kurzawa musiał więc się ugiąć. Uśmiechnął się blade i wyciągnął rękę, a jego żona wcisnęła w nią słuchawkę telefonu, a następnie ulotniła się jak kamfora do swojej sypialni.

– Co się stało? – warknął do telefonu patolog. Nie w smak mu było, że jego szwagier, którego uważał za idiotę i oportunistę całe życie jadącego na

plecach zaradnej siostry, usłyszał odbytą przed momentem rozmowę.

– Do twojej wiadomości: gdybym nie musiał, wcale bym do ciebie nie dzwonił – oznajmił buńczucznie Piotr.

– Szczerze wątpię, ale niewiele to zmienia. Skoro już postanowiłeś mnie obudzić o – zerknął na zegarek – czwartej w nocy, to mów.

Piotr Prejs mlasnęła brzydko, co znakomicie oddawało poziom jego kultury, i na jednym wdechu, żeby przypadkiem się nie zaciąć, objawił:

– Wmokrzeszowie jest policja ich cwałując się do pałacu bokołtoś się włamał. I znalazł zwłoki dziewczyny.

Kurzawa odtworzył w myślach usłyszany komunikat, wstawiając w odpowiednie miejsca spacje i przecinki.

– Ktoś się włamał do pałacu i znalazł tam zwłoki dziewczyny? – upewnił się, że niczego nie przekreślił. Przy okazji ciśnienie tak mu wzrosło, że o dalszym spaniu nie było już nawet mowy.

– Taaaa – błysnął elokwencją jego szwagier.

– A można wiedzieć, jakim cudem to w ogóle było możliwe?

– Przecież nie mogłem przewidzieć, że ktoś zrobi podkop pod tym ogrodzeniem! – bronił się Piotr, trafnie przewidując, że czeka go ostry ochrzan.

– Zwłoki, baranie – warknął Kurzawa. – Jakim cudem znalazły się tam zwłoki?

Odpowiedź na to pytanie ewidentnie nie chciała przejść Piotrowi przez gardło. Mlaskał, cmokał, chrząkał, ale sensownego słowa nie udało mu się wydusić.

– To i tak było pytanie retoryczne – wysyczał rozsierdzony patolog. – Boże, co mnie podkusiło, żeby w ogóle wchodzić z tobą w jakiegokolwiek układy?

Również to pytanie należało do kategorii retorycznych, w dodatku z błędem rzeczowym, bowiem nie „co”, ale „kto” winno być jego podmiotem. A ów ktoś smacznie spał za ścianą sypialni Mieczysława Kurzawy.

Lekarz zakończył rozmowę bez jakiegokolwiek pożegnania i sięgnął po leżące na nocnej szafce papierosy. Choć obiecał żonie, że nie będzie palił w domu – i długo udawało mu się słowa dotrzymać – teraz sytuacja wymagała nadzwyczajnych poświęceń. Poświęcenie zaufania małżonki wydawało się Kurzawie ceną nienadmiernie wygórowaną, skoro w grę wchodziła przyszłość dzieła, któremu poświęcił niemal całe swoje życie. Zapali, zastanowi się, zapali jeszcze jednego i dopiero wtedy zadzwoni do Waltera.

WIDOK DLA LUDZI O MOCNYCH NERWACH



Kalina Rumin nie potrzebowała żadnych szczegółów, żeby wiedzieć, że Wilczyński bez ważnych powodów nie budziłby jej przed świtem ani nie wzywał z nakazem do jakiejś ruiny, w dodatku znajdującej się poza jej jurysdykcją. Wypisała nakaz przeszukania kompleksu ogrodowo-pałacowego należącego do niejakiego Waltera Millera, drugą ręką szorując zęby, potem wskoczyła w czarne elastyczne spodnie, na górę włożyła bawełnianą bluzę z logo znanej firmy odzieżowej i natychmiast wyjechała. Na szczęście jej mieszkanie znajdowało się tuż przy południowej granicy Wrocławia, a poza tym był środek nocy, więc podróż minęła niemal niezauważalnie.

Tłum gapiów, który przywitał Bączka i Wilczyńskiego, zdążył już się zmniejszyć, bo do sensacyjnego odkrycia policja nikogo nie dopuszczała, a poza tym zbliżała się pora wstawania do pracy. Słońce nieśmiało wynurzało się zza horyzontu i wrocławscy śledczy zaczynali się niecierpliwić.

– Panowie, możemy zacząć – przywitała ich prokuratorka.

Bączek przecierał oczy ze zdumienia, bo jeszcze nie widział tej kobiety w stroju innym niż złożony z elementów garnituru lub sukienki. W bawełnianym dresie nie spodziewał się zobaczyć jej raczej nigdy.

– To zaczynajmy – zarządził Wilczyński. – Dawać tu tego ciecia.

Cieciem okazał się ten sam starszy mężczyzna, który uniemożliwił Lindzie i Jeremiemu wejście na teren szpitala za dnia, ale raczej nie przyszło mu do głowy, że intruzi wpadną na pomysł kopania dołków w środku nocy. Widocznie niewiele wiedział na temat współczesnych kobiet, które dążą do realizacji swoich celów wszelkimi możliwymi sposobami. Może jedynie nie po trupach, sądząc po reakcji Lindy na widok rusałki.

Z wyraźnym niezadowoleniem otworzył przejście w ogrodzeniu, wpuścił policjantów i prokuratorkę, a na koniec zatrzasnął wrota przed nosem Lindy.

Dziewczyna gotowa była przysiąc, że na jego pomarszczonej twarzy błąkał się złośliwy uśmiezek.

– Hej, a my to co?! – Przytknęła usta do szpary między dwiema płytami. – Panie nadinspektorze, wpuście nas!

Wilczyński zatrzymał się i spojrział na Rumin. Kobieta wzruszyła ramionami, mówiąc tym samym: „Rób, jak uważasz, twoja decyzja”.

– Co myślisz, Michaś? – zapytał nadinspektor, choć zabrzmiało to bardziej jak prośba.

– Patolog w zasadzie nam się przyda – myślał na głos Bączek. – A dziewczyna już to widziała, więc raczej nie zemdleje.

Wilczyński uśmiechnął się szeroko, bo miał dokładnie takie samo zdanie, po czym skinął na wyraźnie niezadowolonego staruszka. Po chwili rudowłosa blogerka oraz przystojny patolog wmaszerowali na teren obiektu, posyłając ciciowi wymowne spojrzenia.

– Ja państwa zaprowadzę – zaproponowała Linda. – Wiem, gdzie ona leży.

Propozycja została zaakceptowana, a dziewczyna natychmiast wysforowała się na czoło wycieczki. Bezbłędnie trafiła do ciemnego pomieszczenia, w którym dokonała makabrycznego odkrycia. Biała sylwetka odcinała się na tle ciemnej posadzki, a na widok jej otwartego brzucha Bączka wyraźnie zemdliło.

– Ojej, chyba zapomniałam uprzedzić, że to widok dla ludzi o mocnych nerwach – mitygowała się na widok chorobliwej bladości, jaka wstąpiła nagle na oblicze podkomisarza. – To może niech pan tu zostanie, bo z bliska jest jeszcze gorzej.

Bączek posłuchał rady, a nawet odwrócił się tyłem do zwłok i starał się skupić na oglądaniu zniszczonych ścian, które niegdyś musiały być piękne.

– Jeremi – szepnęła Linda – popatrz tam, na lewo.

Organek wykonał polecenie dziewczyny i natychmiast zauważył odrobinę wytarty, ale wciąż widoczny runiczny znak na posadzce. Miejsce, w którym się znajdował, od reszty pomieszczenia oddzielała żeliwna krata. W kracie zaś znajdował się zamek, niewątpliwie stary.

– Panie Organek, może pan tu pozwolić? – Prokuratorka kucała przy ciele jasnowłosej kobiety i przyglądała się ogromnemu pionowemu rozcięciu na jej brzuchu, oświetlając go za pomocą latarki.

Jeremi dołączył i skierował snop światła na otwartą klatkę piersiową.

– Co pan o tym myśli? – zapytała go Rumin.

– Z pewnością nie jest to dzieło żadnego medyka sądowego – ocenił. – Jedyne, czemu mogło służyć takie barbarzyństwo, to zaspokojenie chorej ciekawości pozbawionego uczuć psychopaty.

– Sądzi pan, że to robota amatora? – dociekał Wilczyński.

– Amatora z dostępem do narzędzi chirurgicznych – doprecyzował Organek. – Brzegi są równe, cięcie wykonano skalpelem.

– Istnieje możliwość, że zrobiono to, kiedy dziewczyna jeszcze żyła? – zastanawiała się prokuratorka.

– Wykluczone – stwierdził bez wahania medyk.

– Na pewno nie – orzekła Linda w tym samym momencie.

Zaskoczone spojrzenie Kaliny powędrowało na twarz rudzielca. Wilczyński zaskoczony nie był, za to coraz bardziej zaintrygowany.

– Ta pani występowała w charakterze zwłok już wcześniej, prawda? – wnioskował, patrząc to na Lindę, to na Organka. – I wtedy jeszcze jej brzuch był cały?

Dwoje włamywaczy pokiwało głowami. Rumin podniosła się z kucek, to samo uczynił Wilczyński.

– Chyba pora na wyjaśnienia – stwierdziła prokuratorka. – I bez kręcenia, ukrywania faktów i pomijania włamań do mieszkań.

Jeremi, pod którego adresem skierowana została ta uwaga, zaczerwienił się lekko. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swoją partnerką i uśmiechnął się do prawniczki. A był to uśmiech z rodzaju tych, które potrafią rozczulić najtwardsze kobiece serce.

– Mają państwo rację, jesteśmy wam winni uzupełnienie kilku informacji – wyznał ze skruchą i nawet zabrzmiało to szczerze.

Nieco usatysfakcjonowani śledczy pogratulowali sobie w myślach, całkowicie ignorując fakt, że gdyby nie tajemnicze zwłoki znalezione w mokrzeszowskim pałacu, pewnie zabawa w kotka i myszkę dalej trwałaby w najlepsze.

Bączek, uparcie udający, że na środku ogromnego pomieszczenia nie znajdują się otwarte zwłoki, zatrzymał się właśnie przy kracie, za którą Linda wypatrzyła interesującą ją runę życia. Przycisnął czoło do prętów i zmrużył oczy.

– Kazik! – zawołał po chwili. – Kazik, zerknij na to. Może to tylko przypadek, ale tak mi się skojarzyło, że w czasie wojny tu chyba szaleli hitlerowcy opętani obsesją tworzenia rasy nadludzi. Ten znak na podłodze

wygląda jak jeden ze stosowanych przez nich symboli. A te kraty z pewnością pochodzą z czasów późniejszych.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, zdał sobie sprawę, że wszyscy dziwnie zamilkli. Odwrócił się więc i pierwszym, co zobaczył, były zastygłe w osłupieniu miny Lindy i Jeremiego.

– Czy ja coś palnąłem? – zmartwił się podkomisarz.

– O jezusmaryja – wyszeptała Linda, wytrzeszczając bursztynowe oczy. – Trafił nam się genialny policjant. To lepsze niż wygrana w totolotka.

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE, TAM PATINKĘ POŚLE



Po dokonaniu wstępnych oględzin na miejscu ujawnienia zwłok wrocławscy śledczy opuścili szpital, czarną robotę zostawiając świdnickim zespołom kryminalistycznym. Karetka zabrała ciało niezidentyfikowanej jak dotąd kobiety prosto do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, Wilczyński łaskawie wyraził zgodę, aby Linda i Organek pojechali zmienić odzież, sam natomiast zażyczył sobie natychmiastowego powrotu do komendy i wypicia co najmniej dwóch wiader mocnej kawy. Bączek w kwestii kawy miał podobne marzenia, a prokuratorka marzyła jedynie o tym, żeby jak najszybciej przesłuchać dwoje wyjątkowo uciążliwych świadków.

Wilczyński faktycznie musiał cierpieć na niedobór kofeiny, bo pędził do Wrocławia jak szalony, a po przyjeździe do komendy pominął swój zwyczajowy obchód po wszystkich pokojach i rzucił się na czajnik, jakby fest go suszyło. Dopiero kiedy zalał grubą warstwę zmielonej kawy w swoim ulubionym kubku wielkości małego wiaderka, usiadł zadowolony w swym wysłużonym fotelu, włączył komputer i rozłożył pasjansa.

Szło mu wyśmienicie, karty wyraźnie mu sprzyjały, co jednoznacznie odczytywał jako dobrą wróżbę. Do czasu.

Ktoś zapukał i drzwi nieśmiało się otworzyły. Do środka zajrzała głowa Kasi, asystentki Wilczyńskiego.

– Dzień dobry, panie nadinspektorze – przywitała się cichutko. – Mogę przeszkodzić?

Wilczyński oderwał wzrok od monitora i uśmiechnął się życzliwie.

– Służba nie drużba, Kasieńko, a spokój nie trwa wiecznie.

– Jest pilny telefon do pana – poinformowała – ale nie chciałam łączyć, w razie gdyby pan był zajęty.

– Jeśli dzwoni minister z pozdrowieniami, to proszę się nie wahać – zażartował.

– A jeśli dzwoni pani Patrycja Pawlus?

Przyjazny uśmiech spłynął z twarzy oficera, a na jego czole pojawiła się czerwona plama. Głos ugrzązł mu w gardle, serce na moment przestało bić, a spodnie przykleiły się do pośladków.

– Czyli nie łączyć? – zapytała wystraszona dziewczyna. – Powiem jej, że pana pilnie wezwano w teren.

Wilczyński już chciał odetchnąć z ulgą, ale złośliwy chochlik w jego duszy złapał go za gardło, ścisnął, potrząsnął odrobinę i kazał się zastanowić.

– Mówiła, po co dzwoni? – odezwał się w końcu zachrypniętym głosem nadinspektor.

– Ktoś jej zaginął.

– Płci żeńskiej? – Intuicja nadinspektora zaczęła krzyczeć i machać rękami.

– Zgadza się.

– W sumie innej nie mógłby być... Kiedy?

– Trzy dni temu rozmawiała z nią ostatni raz i od tamtej pory nie ma z dziewczyną kontaktu.

Wilczyński zacisnął usta, zamknął oczy i zaczął godzić się z losem. Nie mogło być inaczej. Cholerne zezowate szczęście.

– Proszę łączyć – rzucił cicho do asystentki.

Dziewczyna bez słowa zamknęła drzwi, a już po chwili na telefonie nadinspektora zaczęła mrugać czerwona dioda sygnalizująca nadejście połączenia.

– Gdzie diabeł nie może, tam Patinkę pośle... – mruknął i podniósł słuchawkę. – Dzień dobry, pani Patrycjo. Jak mogę pani pomóc?

CZUJĘ, ŻE COŚ SIĘ STAŁO



Podkomisarz Bączek zawiózł Lindę do domu, grzecznie poczekał w samochodzie, aż dziewczyna zmyje z siebie ślady nocnej działalności przestępczej, a nawet udało mu się przeczytać kilka rozdziałów książki. Z zadowoleniem stwierdził, że dokonał trafnego wyboru i komedia kryminalna była strzałem w dziesiątkę. Zazwyczaj sięgał po nieco cięższe gatunki, ale polecona mu przez Kasię, asystentkę wydziału, *Wina wina* autorstwa jej kuzynki była naprawdę znakomitym rozweselaczem!

Z jękiem zawodu zamknął książkę, kiedy Linda otworzyła drzwi pasażera, i uśmiechnął się do dziewczyny.

– Gotowa? – upewnił się. – To proszę zapiąć pas i jedziemy. Miejmy to już z głowy, żeby nie musiał się więcej o panią martwić.

Rudzielec spojrział na Bączka z zaskoczeniem i wyraźną sympatią.

– Naprawdę się pan martwi? – zapytała wzruszona dziewczyna. – Ale z pana słodziak! I w dodatku zna się pan na historii. Mężczyzna idealny!

Podkomisarz poczuł delikatne zawstydzenie, a z drugiej strony spłynęła na niego błogość. Pierwszy raz w życiu kobieta tak go komplementowała, w dodatku wyglądało na to, że szczerze.

– Bardzo to miłe, pani Lindo – podziękował nieśmiało. – Nigdy nie sądziłem, że moje zainteresowanie historią współczesną może zostać uznane za zaletę. Zwykle staram się z tym nie wychylać.

– No co też pan? – oburzyła się dziewczyna. – Ja całe życie szukam faceta, który wiedzę o przeszłości czerpie z innych źródeł niż głupie filmy. Jakie to Hollywood durnoty ludziom wciska, to aż oczy bołą!

Bączek taktownie przemilczał informację, że spełnia kryteria faceta, którego Linda szuka całe życie, i skupił się na tym, co go nie deprymowało.

– Na temat Lebensborn chyba jeszcze niczego nie nakręcili? – zastanawiał się.

– Jest kilka dokumentów, wreszcie też zaczynają się pojawiać książki na podstawie wspomnień świadków, ale to wciąż za mało. Niemcy, pomimo uznania Lebensborn za zbrodnię ludobójstwa, do dziś milczą na temat reparacji dla ofiar.

– To okropne – stwierdził ze smutkiem Bączek. – Założę się, że podręczniki do historii też milczą na ten temat.

– I wygra pan – zapewniła go Linda. – Gdyby nie moja nauczycielka w liceum, której ojciec został poddany germanizacji, a mimo to udało mu się po wojnie wrócić do Polski i odnaleźć żyjących krewnych, pewnie długo nie miałabym pojęcia, że takie rzeczy się działy. Właściwie to dzięki niej, tej znakomitej nauczycielce, zostałam historyczką.

Bączek skinął głową, bo i on na swojej drodze spotkał kilku wspaniałych nauczycieli, doskonale więc rozumiał ciepłe uczucia Lindy.

Dojechali pod komendę w milczeniu, nie przeszkadzało im to jednak. W miłym towarzystwie to nawet przyjemnie się milczy.

Bączek zauważył zaparkowaną niedaleko toyotę yaris, samochód Kaliny też już stał na swoim zwykłym miejscu, zatem czekali tylko na nich.

– Chodźmy, pani Lindo. Przedstawienie czas zacząć.

Ruszył żwawo w górę schodów, Linda szła za nim, ciekawie się rozglądając, a pod gabinetem Wilczyńskiego zatrzymali się na moment.

– Niech się pani nie denerwuje, wszystko nam opowiecie, a my postaramy się jak najszybciej wyjaśnić tę dziwną sprawę – powiedział, żeby dodać dziewczynie otuchy. – Miejmy nadzieję, że ustalenie personaliów ofiary z Mokreszowa to jedynie kwestia czasu.

Linda uśmiechnęła się blado i skinęła głową na znak, że jest gotowa. Bączek nacisnął klamkę, popchnął drzwi, a następnie puścił dziewczynę przodem.

– Dobrze, że już jesteście – przywitał ich Wilczyński. Oczy dziwnie mu błyszczały, a na policzkach wykwitły rumieńce.

Kalina Rumin i Jeremi siedzieli na ustawionych pod regałem z książkami fotelach, w milczeniu popijając kawę.

Podkomisarz zamknął drzwi, a po plecach przeleciał mu dreszcz.

– Czuję, że coś się stało – zwrócił się do pryncypała.

– Dobrze czujesz, Michaś. I sam nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Bączek uniósł brwi w wyrazie uprzejmego zaintrygowania.

– Miałem telefon od Patrycji Pawlus – oznajmił Wilczyński. – Wyobraź sobie, że chyba uda nam się zidentyfikować tę dziewczynę.

Podkomisarz wciągnął powietrze z głośnym świstem. Odezwać się jednak nie zdołał, bo zupełnie go zatkało.

ONA SPACYFIKOWAŁABY STADO UPIORÓW



Ciało rusałki po przywiezieniu do Zakładu Medycyny Sądowej z marszu uzyskało status priorytetu, a do jego obejrzenia ustawiały się kolejki. Doktor Baczmański wyjątkowo zgodził się zaspokoić ciekawość żądnych wrażeń studentów, którzy rzadko miewali okazję do oglądania takich fenomenów.

– Co państwo wnioskuje z oględzin zewnętrznych? – zapytał grupkę adeptów medycyny, onieśmielonych samym towarzystwem znamienitego patologa.

Las rąk nie wyrósł, ale jedna ochotniczka się znalazła. Ciemnowłosa okularnica o wroście krzaka agrestu wystąpiła przed szereg i cichutkim głosem oznajmiła:

– Cięcie zostało wykonane po śmierci, prawdopodobnie nawet nie bezpośrednio. Plamy opadowe na plecach świadczą o tym, że ciało dosyć długo leżało.

Baczmański pokiwał głową.

– Znakomicie, choć nie wspomniała pani o *rigor mortis*, a to jeden z najistotniejszych czynników w procesie ustalania czasu śmierci.

Dziewczyna poczerwieniała po cebulki włosów na głowie i spuściła wzrok, ale gospodarz zdawał się zupełnie tego nie zauważać.

– Co możemy powiedzieć o samym cięciu? – kontynuował egzaminowanie coraz bardziej spłoszonych żaków. – Proszę się zbliżyć.

Stadko nieśmiało zrobiło dwa kroki i wszystkie oczy spoczęły na ciągnącej się wzdłuż torsu linii. Tym razem ochotników już nie było.

– Proszę zwrócić uwagę na brzegi. – Baczmański delikatnie rozchylił otwór. – Widzą państwo, jak są równe? Cięcie wykonano skalpelem, o, takim. – Sięgnął do tacki, na której leżały narzędzia chirurgiczne.

– Myśli pan, doktorze, że zrobił to lekarz? – zapytał wysoki chłopak.

– Wątpię. Raczej ktoś, kto nauczył się posługiwać skalpelem, ale o anatomii wie niewiele.

– A może student? – zasugerowała skarcona wcześniej dziewczyna.

– To już prędzej – ocenił patolog. – Chociaż nie mam pojęcia, w jakim celu rozcinałby ciało kobiety od gardła aż do podbrzusza.

– Oglądałem kiedyś film o przemyście kokainy – rzucił wysoki student. – Może denatka była mułem?

Baczmanski nie skomentował, bo ta możliwość nie wydawała się tak całkiem nieprawdopodobna. Z pewnością podsunie ją Bączkowi, ale najpierw wszystko dokładnie sprawdzi.

Podziękował studentom i poprosił o zamknięcie drzwi, a sam poszedł przygotować się do operacji, na której wynik czekały niecierpliwie trzy osoby.

Owe osoby nie czekały jednak z założonymi rękami, wręcz przeciwnie, śledztwo zaczynało wreszcie się rozpędzać, co po początkowej ślamazarności dawało nadzieję na przełom.

– Pani Patrycja Pawlus, znana w niektórych kręgach jako Patinka, nie dalej jak godzinę temu zadzwoniła z żądaniem ustalenia, co dzieje się z jej znajomą. – Wilczyński starał się, by to, co mówi, brzmiało jak najbardziej profesjonalnie, co było zadaniem wyjątkowo trudnym, jako że samo imię rzezanej Patinki wywoływało w nim stany lękowe.

Choć Bączkowi natychmiast nasunęło się co najmniej kilka pytań, większość złośliwych i politycznie niepoprawnych, milczał jak głaz, jak dotąd bowiem jego przeczucia okazywały się słuszne. A tym razem przeczucie podpowiadało mu, że los wcale nie przypadkiem połączył telefon Patrycji Pawlus z telefonem Kazimierza Wilczyńskiego.

Pozostali uczestnicy spotkania również taktownie milczeli.

– Oczywiście poinformowałem moją interlokutorkę o tym, że wydział kryminalny nie zajmuje się zaginięciami – ciągnął nadinspektor – ale wtedy ta wredna żmija powiedziała: „Adaminą Lukrecją Surym panowie się zajęli, więc łaskawie proszę mi kitu nie wciskać”.

Podkomisarz bez problemu uszami wyobraźni usłyszał zgrzytające zęby Wilczyńskiego. Niemniej miała rację. Zajęli się, i to skutecznie.

– Jednym słowem: spacyfikowała cię swoją ekspansywną osobowością – podsumował Bączek ze współczuciem.

– Ona spacyfikowałaby stado upiorów – odparł na swoją obronę Wilczyński. – Ale wyobraź sobie, Michaś, tym razem nie żałuję. – Sięgnął po kartkę, odchrząknął i kontynuował: – Oto opis owej koleżanki: „wzrost taki, że

w szpilkach pasuje do każdego faceta, długie włosy w kolorze anielski blond, niebieskie oczy jak u kota syjamskiego, delikatne usta w kolorze dojrzalej w słońcu brzoskwini, smukła kibić, piersi wielkości granatu”.

Nadinspektor podniósł wzrok i spojrzał na zdumione twarze słuchaczy. Przemknęło mu przez myśl, czy oni też zastanawiali się nad tym granatem, czy może od razu załapali, że chodzi o owoc.

– Co na to powiecie? – zapytał w końcu.

Mina Kaliny Rumin świadczyła o tym, że jeszcze jest w szoku, Linda krzywiła się do własnych myśli, Bączek miał nieodgadniony wyraz twarzy, za to Jeremi Organek miał coś do powiedzenia.

– Pasuje – stwierdził. – Dokładnie tak opisałbym naszą rusałkę, gdybym... – zawahał się na moment – ...gdybym pisał o niej piosenkę.

Prokuratorka zerknęła na niego z ukosa i wyglądało na to, że szok jej się pogłębił.

Linda nie zareagowała wcale i wciąż była odrobinę skrzywiona, a Bączek...

Bączek ze wszystkich sił starał się wyobrazić sobie rozplątane zwłoki leżące na posadzce szpitala w Mokrzeszowie jako chodzącą kobietę z włosami jak anioł, oczami jak kot syjamski, brzoskwiniowymi ustami i... Piersi wielkości granatu zupełnie nie umiał sobie wyobrazić, tym bardziej że każda próba kończyła się widokiem ogromnego rozcięcia biegnącego pomiędzy nimi.

– No właśnie, pasuje – potwierdził Wilczyński. – Dlatego też zaryzykuję tezę, że nasza denatka nazywa się Dobrochna Jagielska i jest znajomą pani Patinki. Tfu! Patrycji.

Podkomisarz prychnął, ale natychmiast za to przeprosił. W nim pracodawczyni Edyty Prusko także budziła lęk, choć w życiu by się do tego nie przyznał.

– Chichraj się, chichraj – rzucił nadinspektor z błyskiem w oku. – Zgadnij, kto będzie się kontaktował z Patrycją, jeśli to się potwierdzi.

Bączek nie wydał z siebie żałosnego jęku tylko dlatego, że konkretnie go zatchnęło, ale i tak było widać, że zrobiło mu się gorzej.

– Rozumiem więc, że mamy wreszcie pierwszy konkretny trop w tej sprawie? – Prokuratorka w końcu odzyskała głos.

Wilczyński skinął głową i napił się kawy, która już zdążyła wystygnąć.

– Świetnie. Sprawdźcie to, kiedy tylko skończymy tu z państwem. – Kalina zmieniła pozycję w fotelu i spojrzała na dwoje świadków włamywaczy. –

Proszę nam opowiedzieć, w jakich okolicznościach zetknęli się państwo z panią...

– Dobrochną Jagielską – podpowiedział Bączek. Pamięć do nazwisk była jego wielkim atutem.

– Dziękuję, komisarzu. – Prawniczka uśmiechnęła się do niego ciepło. – Jak to było z tą Dobrochną?

Opowieść o znikających zwłokach zaczął Jeremi, a jak już wiemy, porządek i logikę kochał nade wszystko.

Tak samo zresztą jak rozpoczynanie historii od początku.

– Nic nie zapowiadało, że ten dzień zamieni się w najdziwniejszą środę w całym moim pięćdziesięcioletnim życiu... – zaczął melodyjnym głosem, a dalej już wszystko popłynęło.



Berlin, 10 lipca 2010

Po Nowym Roku pojawiły się kolejne dzieci i cała procedura ruszyła od nowa. Znów wszystkich mierzono, oceniano, oglądano jak zwierzęta na wybiegu. Tym razem lekarze przyjechali szybciej, szybciej też zaczęto nas szykować do wywiezienia. Młodsze dzieci natychmiast zabrano do ośrodka Lebensborn w Salzburgu. Tam miały zostać „adoptowane” przez niemieckie małżeństwa.

Herman i Bartek, któremu zmieniono imię na Bernard, ale on zakazał nam tak do siebie mówić, nieustannie sprawiali kłopoty. Kiedy tylko nie było na miejscu esesmanów, mówili i śpiewali po polsku, stroili sobie żarty z wychowawczyń, przedrzeźniali nauczycieli. Oczywiście byli za to karani, ale nigdy tak dotkliwie jak z ręki „szwabskich zamordystów”.

Każda niesubordynacja w Gaukinderheimie była surowo karana. Za opór groziły sankcje, a najpoważniejszą z nich stanowiło odesłanie do Łodzi lub Kalisza. Po latach osoby, które jako dzieci przeszły przez obozy, wspominały panujące w nich nieludzkie wprost warunki. Głodzono ich, bito. Niekiedy do ostatniego tchu.

Wiele lat po wojnie dotarła do nas historia chłopca z Heim w Warthegau, którego za karę zmuszono do bicia szpicrutą małej dziewczynki. Dyrektorka obozu przywiązała ją do ławki za to, że po raz kolejny mówiła po polsku. Chłopiec wziął zamach i z całej siły uderzył w twarz. Nie koleżankę, ale dyrektorkę. Za swoją odwagę zapłacił życiem, rzucony na przewody elektryczne. Na jego grobie widnieje tablica głosząca: „Harcerz Zygmunt Światłowski 1930–1944. Zamordowany przez Niemców w Gaukinderheim w Kaliszu za to, że nie chciał być Niemcem”.



W naszym Heimie Bartek był najstarszy – miał już siedemnaście lat, był niemal dorosły. Nie nadawał się do „adopcji”, a w dodatku znów nie przeszedł selekcji. W nocy zabrali go, wraz z kilkoma innymi nierokującymi na ziemczenie, do obozu pracy w Łodzi.

Hermana przydzielono do adopcji i już kolejnego dnia wyjechał autobusem. Uśmiechał się, kiedy do niego wsiadał. Nie znam jego losów, choć próbowałem go odszukać. W przypadku adopcji przez rodziny niemieckie dane dzieci zmieniały się nawet kilka razy. Lebensborn ze swoją urzędniczą machiną zadbał o to, by nasi krewni nie mogli nas odnaleźć.

Kłopot był ze mną. Coraz lepiej mówiłem po niemiecku, nie sprawiałem problemów wychowawczych, byłem cichy i wycofany. Jednakże przestałem spełniać kryteria aryjskości – moje jasne dotąd włosy przybrały miedziany odcień. Zawisła nade mną wizja Kinderlagru.

Nowym szefem personelu medycznego był młody lekarz. Poprzedni był tak stary, że pewnie umarł, zanim przyjechała kolejna grupa dzieci. Od początku go polubiliśmy, był uśmiechnięty, rozmawiał z nami, a nawet pomagał nam w lekcjach. Miał na imię Gregor. Czasami kłócił się z naszą dyrektorką, zwykle wtedy, gdy mieliśmy lekcje albo ćwiczyliśmy w ogrodzie i myśleli, że ich nie słyszymy.

W dniu, w którym ostatnia partia dzieci opuszczała Gaukinderheim, doktor Gregor przyszedł po mnie na lekcję i zabrał mnie do swojego gabinetu. Posadził mnie na krześle, a sam usiadł na drugim. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, aż w końcu odezwał się do mnie cicho:

– Chciałbyś mieć mamę i tatę, Walt?

Musiał dojrzeć zdziwienie na mojej twarzy, bo zaraz dodał:

– Mam na myśli nowych mamę i tatę. I nowy dom, w Niemczech.

Byłem już na tyle duży, żeby rozumieć, że odpowiedź przecząca oznaczać będzie dla mnie wyjazd do obozu.

– A Bernard pojedzie ze mną? – zapytałem, choć znałem odpowiedź.

Doktor Gregor pokręcił głową ze smutkiem i wyszeptał:

– Ich kann ihm nicht helfen*.

Nie, nie mógł mu pomóc. Mojemu bratu mógł już pomóc tylko Bóg.

Nie wiem, jakich argumentów musiał użyć, żeby przekonać Frau Direktorin, grunt, że następnego dnia zapakował mnie do samochodu i po raz pierwszy od miesięcy opuściłem mury Gaukinderheimu.

* Ich kann ihm nicht helfen (niem.) – Nie mogę mu pomóc.

GORZEJ CHYBA BYĆ NIE MOŻE?



Opowieść Jeremiego Organka płynęła wartkim nurtem, od czasu do czasu zahaczając o mielizny albo uskoki, ale wtedy z pomocą przychodziła Linda. Śledczy starali się nie przerywać i cierpliwie wysłuchali do końca wszystkich kwiecistych dygresji na temat minionych wydarzeń, aż wreszcie mogli coś powiedzieć.

– Reasumując – zaczęła prokuratorka – wiemy, że zwłoki znalezione w Mokrzeszowie dwa dni temu zniknęły z prosektorium szpitala, w którym pracuje pan Organek. Nie zna pan tożsamości kobiety, bo nie było żadnych dokumentów świadczących o tym, że powinna znaleźć się na stole sekcyjnym.

– Nie na moim, na Marka Nowaka – poprawił ją patolog.

– Zgoda, na stole Marka. To była jego zmiana. Pański szef zaprzeczył, jakoby zwłoki zniknęły, a wręcz wyparł się wiedzy, że w ogóle były – kontynuowała, porządkując myśli. – Tego samego dnia ktoś włamał się do pańskiego mieszkania, a kilka chwil później w domu pani Miller zjawił się Marek Nowak i umarł na zawał, a w tym czasie ktoś obrabował jej sejf.

Przesłuchiwani zgodnie kiwali głowami.

– Wróćmy jeszcze na chwilę do pani Lindy – zasugerowała prawniczka. – Pani spotkanie z doktorem Organkiem było całkowicie przypadkowe, bo w szpitalu zjawiała się pani, żeby przeprowadzić wywiad z Mieczysławem Kurzawą. I wcześniej nie znała pani pana Jeremiego?

Linda najpierw odruchowo pokiwała, następnie pokręciła głową i w końcu sama nie wiedziała, czy ma kiwać, czy kręcić.

– Hmmm – odezwał się Bączek. – To wciąż brzmi niemal nieprawdopodobnie. Ale proszę się nie martwić – uspokoił ich – ja wam wierzę. Tylko kilka rzeczy pozostaje dla mnie niejasnych.

Na twarzy Lindy przez ułamek sekundy odmalował się strach. A może jedynie niepewność.

– Niech pan pyta – powiedziała twardo. – Nie mamy przed wami tajemnic.

– Co naprawdę robiliście w Mokrzeszowie?

– No jak matkę kocham, panie komisarzu, przecież od początku mówię prawdę! – uniosła się dziewczyna. – Pojechaliśmy eksplorować opuszczony budynek, taki urbex chcieliśmy sobie zrobić, a przecież w biały dzień ten cerberowaty dziad by nas nie wpuścił.

– A skąd wiedzieliście o cerberowatym dziadzie? – podchwyciła Rumin.

– Bo byliśmy tam dzień wcześniej i właśnie nas nie wpuścił. – Linda przewróciła oczami i cmoknęła głośno.

– Pojechali tam państwo po tym, jak doktor Organek został wysłany na urlop zdrowotny? – upewnił się Wilczyński.

– No pewnie, przecież to logiczne. Skoro zdrowotny, to musi wykorzystać na reperowanie zdrowia, a najlepiej to wychodzi w placówkach opieki zdrowotnej, czyli w szpitalach. Hełoł!

– I mamy rozumieć, że nie widzi pani niczego dziwnego w eksplorowaniu opuszczonych budynków z całkiem obcą osobą, w dodatku oskarżaną o kiepską kondycję psychiczną? – W głosie prokuratora zadźwięczała kpina.

– Nie, bynajmniej – odparła buńczucznie Linda. – Gdyby wierzyć plotkom, pomówieniom i stereotypom, to Jeremi prędzej powinien obawiać się mojego towarzystwa. W końcu jestem ruda, pyskata i mam niemieckie nazwisko. Gorzej chyba być nie może?

Ta konkluzja autentycznie rozbawiła nadinspektora. Usiłował stłumić chichot, jednak wyszło mu to marnie.

Kalina Rumin też się uśmiechnęła, tylko Bączek wyglądał, jakby błędził myślami gdzieś bardzo daleko i nie zarejestrował wypowiedzi dziewczyny.

– Słuchajcie – odezwał się nagle – cały czas nie daję mi to spokoju: skoro wiemy, że zwłoki Dobrochny Jagielskiej, o ile to rzeczywiście jest Dobrochna Jagielska, naprawdę zniknęły z prosektorium, to czy reakcja Kurzawy nie wydaje się wam dziwna?

– Tylko to wydaje ci się dziwne? – Wilczyński uniósł brwi. – A podrzucenie zwłok w ruinie albo wizyta chodzącego trupa Nowaka to już nie?

Słuszna uwaga nadinspektora właściwie nie wymagała komentarza. Wszystko w tej sprawie było dziwne, począwszy od dwojga świadków siedzących na gorących krzesłach.

– Dobra, mam pomysł – oznajmił podkomisarz. – Dopóki nie ustalimy, czy Dobrochna to Dobrochna, jak zginęła i czy ma jakikolwiek związek

z Nowakiem oraz Kurzawą, proponuję, żebyśmy udawali, że o znikniętych zwłokach nic nie wiemy.

– I wzięli Kurzawę pod włos? – podchwycił Wilczyński.

– To może się udać – zgodziła się prokuratorka. – Pani Lindo, o której i gdzie ta kolacja? Przyjdzie pani ze starszą siostrą. W końcu jest pani w szoku po włamaniu i znalezieniu trupa w swoim domu. Z udawaniem nie będzie problemu, mam nadzieję?

W bursztynowych oczach rozbłysły figlarne ogniki, a twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Najmniejszego – odpowiedziała dziewczyna, wyszczerzona. – Siostro.

PROBLEMY ZE ŚWIADKAMI



– Dlaczego nie powiedziałaś o kluczu? – Linda napadła na Organka, jak tylko usadowiła się na fotelu pasażera. – Przecież jak się dowiedzą, to nam zafundują męki Tartaru, i to bez znieczulenia.

Jeremi uśmiechnął się zawadiacko i uruchomił silnik.

– Poczuję potrzebę buntu – oznajmił. – Musimy sprawdzić, czy klucz pasuje do kraty, a potem... Potem się zastanowimy.

Dziewczyna wyglądała na wniebowziętą. Ten pomysł idealnie wpasowywał się w jej plan.

– A ty dlaczego nie powiedziałaś, co zginęło z sejfu? – zrewanżował się pytaniem.

– Przecież powiedziałam. Zginęły moje osobiste dokumenty.

– Wybacz, Lindo, ale nie wierzę, że ktoś przyszedł po twój akt urodzenia. Teraz wystarczy wypełnić wniosek w urzędzie stanu cywilnego, wymyślić byle jakie uzasadnienie i wydają go od ręki.

Ruda dziewczyna zmarszczyła nos, ale niewiele jej z tego przyszło. Argument Organka był nie do podważenia.

– No dobra, niech ci będzie – odrzekła z fochem. – Rzeczywiście zginęło coś jeszcze.

Właściwie Organek nie potrzebował potwierdzenia; od samego początku był pewien, że nikt nie włamałby się po sam akt urodzenia. Poza tym – kto trzyma akt urodzenia w sejfie?!

– Powiesz mi, co było tak ważne, że ktoś podjął tak drastyczne środki, żeby to zdobyć?

– Nie wiem... – szepnęła Linda.

– Nie rozumiem – zareagował odruchowo Jeremi.

– Po prostu: nie wiem.

Patolog oderwał wzrok od drogi i spojrzął na dziewczynę. Rzeczywiście wyglądała na odrobinę skonfundowaną.

– To w takim razie skąd wiesz, że zginęło? – zapytał.

– Och, ale jesteś uparty! W sejfie była teczka. Dostałam ją od dziadka, ale nigdy nie sprawdziłam jej zawartości.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że była to raczej niechciana scheda – wyjaśniła z niechęcią. – Dziadek Miller nie był najczulszą osobą pod słońcem, w zasadzie to prawdopodobnie więcej czułości wykazuje leśny ssak.

– Masz na myśli sarenkę?

– Ależ ty jesteś niedomyślny, Jeremi! Mam na myśli taką panią, która stoi przy drodze i oferuje kierowcom usługi relaksacyjne.

– A dlaczego ssa...? Aaaaaaaaaaaa! – Organek poczerwieniał, ale natychmiast zaczął się śmiać.

– No właśnie: aaaaaaaaaaaa! I taki leśny ssaaaaaaaaaak z pewnością ma więcej uczuć dla relaksowanych kierowców, niż mój dziadek kiedykolwiek z siebie wykrzesał.

– Może on ci zostawił miliony, a ty o tym nie wiesz?

– Przypuszczam, że wątpię. A nawet jeśli, to ja nie chcę jego milionów. Jego DNA jest już wystarczającym legatem.

Organek dobrze wiedział, kiedy ze sceny zejść, i zaniechał dalszych pytań. Doświadczenie podpowiadało mu, że Linda kiedyś pęknie, a wtedy on z przyjemnością wysłucha jej historii. Tymczasem mieli do załatwienia palący problem, a on nie zamierzał odwlekać tego ani chwili dłużej.

Zaparkował na podjeździe, wyjął zza siedzenia niewielką torbę podróżną i podążył za Lindą, która otwierała już drzwi do domu.

– Igi nie ma, chyba pojechała do rodziców – poinformowała go.

– To nawet lepiej – odrzekł z uśmiechem. – Im mniej świadków, tym mniej problemów.



– Mamy zbyt mało świadków – podsumował Bączek, kiedy został sam z szefem. – Gdyby znalazła się chociaż jedna osoba, która mogłaby potwierdzić ich wersję, byłoby nam łatwiej.

– Najłatwiej to by było, gdybyśmy znaleźli coś bezpośrednio wskazującego na sprawcę filetowania – zauważył Wilczyński. – Ale w naszym świecie rzadko cokolwiek jest łatwe, Michaś, i dlatego potrzebujemy takich speców jak ty. Albo Remik.

– Remik! – wykrzyknął olśniony Bączek. – On na pewno coś dla nas wygrzebie, przecież każdy sprawca zostawia jakiś ślad. Dzwon do niego!

Nadinspektor spojrział na zegarek – było już odpowiednio późno, a więc można dzwonić do jaskini zła. Nawet on nie odważyłby się niepokoić Baczymańskiego przed śniadaniem, a przecież przyjaźnili się od trzech dekad.

Wybrał numer z listy kontaktów i po chwili włączył tryb głośnomówiący.

– Domyślam się, że dzwonisz po aktualizację – przywitał go głos Baczymańskiego.

– Nie inaczej, stary druhu, nie inaczej.

– Na razie wiem jeszcze niewiele, ale coś tam już mogę ci przekazać. Jest z tobą Michaś?

– Jestem. Serwus, Remik – rzucił z uśmiechem Bączek.

– A serwus, serwus. Słuchajcie, chłopaki, albo mamy jakąś plagę, albo nastąpił dziwny zbieg okoliczności.

Policjanci wymienili spojrzenia i przysunęli się bliżej telefonu.

– Mów, doktorze, co to za zbiegi okoliczności – ponaglił Wilczyński.

– Nasza pacjentka zeszła na zawał, a ja nie potrafię znaleźć tego przyczyny.

– Wada serca? – podsunął Bączek.

– Może sport wyczynowy – zasugerował nadinspektor.

– Pudło i pudło. Ze swoimi mięśniami mogła grać co najwyżej w szachy. Co mi przypomina – dodał ożywionym tonem Baczymański – że jutro jest nasz dzień, Michaś. Nie zapomnij.

Bączek pośpiesznie zapewnił, że pamięta i nawet bardzo się cieszy na tradycyjną rozgrywkę ze swoim ulubionym szachowym przeciwnikiem, ale w tej chwili sprawa rusałki wysuwała się na czoło.

– Możesz przybliżyć nam jej dane? – zapytał, otwierając swój notes.

– Wciąż nie wiecie, kim jest, co? – domyślił się patolog. – Nie tracmy nadziei, jeszcze jest wcześnie. Wiek między trzydzieści a czterdzieści lat, ale powiedziałbym, że bliżej trzydziestu dwóch niż trzydziestu siedmiu. Nigdy nie rodziła, ogólnie zdrowa, prowadziła siedzący tryb życia, nie paliła. Wątroba jest lekko powiększona, ale nic alarmującego. Możliwe, że zjadła coś

ciężkostrawnego. W żołądku niewiele znalazłem, musiała jeść na długo przed śmiercią.

– Czas zgonu? – wtrącił się Wilczyński.

– Między siedemdziesiąt dwie a czterdzieści osiem.

– Nerki? – wypalił nagle Bączek, a zaraz potem zrugął się w myślach, bo przecież o cynaderkach nie miał ochoty słuchać.

– Widzę, że już wyczułeś pismo nosem. Nerki powiększone, tak samo jak u pana Nowaka. Oddałem do analizy toksykologicznej.

– A masz jakiś pomysł, dlaczego ktoś ją wyfiletował? – Nadinspektor nie miał najmniejszego problemu z odczłowieczaniem ofiar zbrodni. Takim sobie wypracował mechanizm obronny.

– Na razie bardzo mglisty, kilka teorii, ale potwierdzą je lub wykluczą dopiero wyniki z laboratorium. Ale wiecie, co mnie zastanawia? – Zawiesił głos, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, choć wszyscy trzej doskonale wiedzieli, że jej nie uzyska. – Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że cięcie powstało wskutek jednego płynnego ruchu. Przyjrzałem się jednak bliżej i mogę na pewno stwierdzić, że było inaczej.

Bączek głośno przełknął ślinę, bo już czuł, że zaraz nastąpi niezwykle sugestywny opis krojenia ludzkich powłok skórnych, na szczęście jednak Baczański miał dla niego litość.

– Najpierw rozcięto krtań i przełyk, a dopiero później kolejne fragmenty. Mniej więcej trzy cięcia, wiecie, jakby nasz oprawca szukał czegoś, podążając wzdłuż układu pokarmowego. Doszedł do jelit i na tym zakończył wycieczkę.

– Może to student przygotowujący się do egzaminu z anatomii? – dywagował Wilczyński.

– Nie mogę tego wykluczyć, jednak czuję, że nie – skonstatował patolog. – Studenci uczą się na modelach, rzadko komu potrzebne jest bezczeszczenie ludzkich zwłok.

– Chyba że świrom... – Ta myśl przeraziła Bączka już w Mokreszowie. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że mają do czynienia z dziełem szaleńca.

– Świr też człowiek, a człowiek zdolny jest do potwornych rzeczy – odpowiedział filozoficznie medyk. Ostatnimi czasy tanatologia bardzo go interesowała, nawet zapisał się na kurs psychologii.

– Daj znać, jak tylko dostaniesz wyniki – poprosił na koniec Wilczyński. – A my jedziemy sprawdzić, czy uda nam się zwrócić jej tożsamość.

Pożegnali się ciepło, a po chwili dwaj policjanci wyruszyli pod adres, który wskazała im Patrycja Pawlus, znana także jako Patinka.

WCAŁE ZE MNĄ NIE ROZMAWIAŁAŚ



Patinka, właścicielka dwóch wydawnictw, a ostatnio również jednej lokalnej gazety, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca.

Chodziła w tę i we w tę po swoim gabinecie, na domiar złego obgryzając paznokcie. Ten okropny nawyk został jej z czasów dojrzewania, kiedy stres poganiał stres, a ona musiała nad nim jakoś panować. Nigdy nie nauczyła się palić papierosów, nie żuła gumy, żeby nie wyglądać jak wielbłąd ruszający puszczę na lewo i prawo, więc zostawały jej te nieszczęsne paznokcie.

– Cholera jasna by to wzięła! Gdzie ty jesteś, Dobrochno?! – warczała do telefonu, kiedy po raz tysięczny połączył ją z pocztą głosową pracownicy.

Rzuciła komórkę na fotel, a po chwili znowu ją chwyciła. Postanowiła sięgnąć po środki ostateczne, bo już nic innego nie przychodziło jej do głowy. Właśnie miała zadzwonić do Henryka Grabskiego, który spod ziemi potrafił wydobyć każdego człowieka, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawiła się twarz Dobrochny.

– Kobieto bez serca i kręgosłupa moralnego! – krzyknęła do słuchawki Patinka. – Czy ty naprawdę nie masz litości?!

Odpowiedziała jej cisza. Najprawdopodobniej rozmówczynię odrobinię z zaskoczenia zatkało.

– Dobrusia, jesteś tam? Czy to twój duch dzwoni?

– Jaki duch? Odbiło ci? – zganiła szefową nordycka piękność. – I od kiedy ty w duchy wierzysz?

– Od zawsze, tylko nie mówię tego na głos, żeby ich nie zachęcać. Gdzieś ty była? Pół świata na nogi postawiłam, bo myślałam, że coś ci się stało!

– Oj, stało się, stało... – odparła rozanielonym tonem właścicielka włosów w kolorze anielski blond. – Zakochałam się na zabój i pławiłam się w szczęściu.

Patinka oderwała telefon od ucha i spojrzała na niego z najszczerzą nienawiścią. Marzyła teraz o tym, żeby aparat Dobrochny wyhodował zęby i uzał właścicielkę w ten jej suchy tyłek.

– Patinka? Patinka! Halo?! – Dziewczyna wpadła w panikę. – Odezwiąj się!

– Nie jestem pewna, czy chcesz, żebym się odezwała – burknęła Patrycja. – Czy ty byś mogła powtórzyć, z jakiego powodu nie było z tobą kontaktu przez kilka dni?

Zamiast odpowiedzi w słuchawce rozległ się pisk, od którego cierpła skóra.

– Dobruśka! – wrzasnęła Patinka. – Co tam się dzieje?!

– Policja! – wydyszała dziewczyna do telefonu. – Policja stoi pod drzwiami.

– Jaka policja? Jak wygląda? – Patinka wstrzymała oddech.

– Ogólnie raczej mało atrakcyjna – oceniła Dobrochna, wciskając oko do wizjera. – Jeden element w wieku zaawansowanym i z jeszcze bardziej zaawansowaną nadwagą, a drugi może nawet i byłby przystojny, gdyby nie stał tyłem.

– No to kaplica. Czy ty możesz im otworzyć i udawać, że ty to nie ty, bo ty na przykład aktualnie jesteś w szpitalu i cierpisz na galopującą amnezję?

– W zasadzie mogę... Ale kiedyś pamięć odzyskam?

– Odzyskasz, tylko na stałe zapomnisz, że miałś kiedykolwiek siostrę bliźniaczkę.

– O, to ja już teraz o tym zapomniałam. A miałam?

Stojący za drzwiami policjanci zaczęli się niecierpliwić, choć prowadzona przez znajdującą się w mieszkaniu kobietę rozmowa była wyjątkowo frapująca.

Wilczyński zastukał w drzwi, na razie delikatnie i tylko trzy razy.

– Taaak? – odezwał się cichy głosik.

– Pani Jagielska? – Bączek użył najcieplejszego ze swoich profesjonalnych głosów.

– A która?

– A która jest? – Teraz było ciut zimniej.

– A która ma być?

Nadinspektor stracił cierpliwość, bo ileż w końcu można się tak bawić? Zwinął dłoń w pięść i grzmotnął konkretnie, wzmacniając wrażenie swoim niskim basem:

– Pani Jagielska, obojętnie która, niech pani otwiera albo zastosujemy środki przymusu!

Wystraszona Dobrochna przytknęła telefon do ucha i ledwo słyszalnym szeptem zapytała szefową, co ma robić.

– Otwieraj czym prędzej i jakby co, to wcale ze mną nie rozmawiałaś – rzuciła Patinka w pośpiechu, a zanim się rozłączyła, dodała: – Ale podkomisarza Bączka pozdrów serdecznie!

Dziewczyna przekreśliła zamek, uchyliła drzwi i wpuściła policjantów do mieszkania.

– Nadinspektor Wilczyński, podkomisarz Bączek – przedstawił ich starszy z oficerów. – Dostaliśmy prośbę o sprawdzenie pani dobrostanu.

– Naprawdę? – ucieszyła się blondynka o ustach w kolorze brzoskwini dojrzewającej w słońcu. – Mój dobrostan ma się dobrze, a nawet wyśmienicie.

– Rozmawiała pani ze swoją szefową? – rzucił Wilczyński, rozglądając się po niewielkiej kawalerce.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła natychmiast Dobrochna. – Ale gdybym z nią rozmawiała, to z pewnością kazałaby mi panów pozdrowić.

Bączek uśmiechnął się szyderczo i mrugnął do nadinspektora, który wyglądał, jakby zaraz miał dostać apopleksji.

– Jeśli więc będzie pani z nią rozmawiała, to prosimy pozdrowić wzajemnie – odrzekł podkomisarz. – A tak dla porządku, to co się z panią działo, kiedy nie było z panią kontaktu?

Nauczona doświadczeniem, dziewczyna tym razem oszczędziła swoim rozmówcom wyznań miłosnych i rzeczowo wyjaśniła, że wyjechała na kilka dni do głuszy, gdzie cywilizacja, a zwłaszcza nadajniki sieci telekomunikacyjnych nie mają dostępu.

Nie było powodów, żeby jej nie uwierzyli, w końcu stała przed nimi cała i zdrowa i wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Patrycja Pawlus.

Jedynie wielkości piersi nie byli w stanie zweryfikować, ale uznali, że granat granatowi nierówny, a gapić też im się nie wypadało.

Na odchodne zapewnili dziewczynę, że cieszą się, iż nie potwierdziły się ich obawy, zawsze to jedna osoba zaginiona mniej, a oni jakoś sobie poradzą.

– A gdybym ja chciała zgłosić zaginięcie, to do panów? – zapytała, zanim zamknęła drzwi.

– Raczej nie, my tak tylko po znajomości – odparł Wilczyński przepraszającym tonem.

– Wielka szkoda, bardzo panowie sympatyczni.

Bączek poczuł mrowienie w karku, co zdarzało mu się tylko wtedy, kiedy działo się coś wyjątkowo ważnego.

– Kto zaginął? – zapytał zupełnie nie swoim głosem. To był głos intuicji.

– Moja znajoma, taka niezbyt bliska, ale jakoś się czuję za nią odpowiedzialna. Poznałyśmy się u neurologa, śmieszna sprawa: połączyła nas migrena. Kto ich nigdy nie miał, niech dziękuje losowi.

– I co z tą znajomą? – dociekał podkomisarz, a mrowienie obejmowało coraz większe obszary jego ciała.

– Pewnie nic, ale nie zjawiała się na ostatniej kontroli, w pracy też jej nie było od kilku dni.

Ta informacja rzeczywiście mogła budzić niepokój, a Bączkowi włączyła w głowie stroboskop.

– Czy ta pani znajoma nie jest przypadkiem do pani podobna? – strzelił na ślepo, ale cóż miał do stracenia.

– Jak pan zgadł?! – Dobrochna wytrzeszczyła oczy. – Niektórzy mówili, że wyglądamy jak bliźniaczki, ale to chyba przesada...

Wilczyński natychmiast zrozumiał, co się święci, i nawet nie pytał Bączka o jego intuicję, bo wyraz twarzy podkomisarza świadczył o tym, że stroboskop nadaje aż miło.

– Proszę nam podać jej adres i sprawdzimy – zapewnił nadinspektor.

– Nie znam jej adresu – wyznała przepraszającym tonem. – Ale wiem, gdzie pracuje.

Policjanci zapisali nazwę i adres kawiarni, w której pracowała zaginiona kobieta, i ruszyli pędem ku schodom. W ostatniej chwili Bączek przypomniał sobie jeszcze jedno i krzyknął zza winkła:

– A kogo my właściwie szukamy?!

– Anety Piotrowskiej! – odkrzyknęła, kręcąc głową. – Czyli jednak to prawda, że tylko po znajomości coś w tym kraju da się załatwić – szepnęła do siebie i zamknęła drzwi.

KTO NIE RYZYKUJE, TEN NIE MA CZYM SIĘ CHWALIĆ



Jeremi natychmiast przystąpił do przygotowań. Z przywiezionej sportowej torby wyjął dwa kombinezony z polietylenu i polipropylenu, komplet gogli ochronnych, pudełko lateksowych rękawiczek, dwie latarki, a także niewielkich rozmiarów walizeczkę.

– Łopatki też bierzemy? – zapytała Linda, przyglądając się niecodziennemu zaopatrzeniu.

– Nie. Dzisiaj wchodzimy frontowymi drzwiami – odparł z uśmiechem medyk. – Przymierz, czy będzie na ciebie pasował.

Dziewczyna chwyciła torebkę z białym uniformem, rozerwała ją i z wyraźnym niesmakiem rozłożyła kombinezon.

– To chyba najbardziej aseksualne ubranie, jakie kiedykolwiek wymyślono – stwierdziła.

Jeremi prychnął, po czym zdecydowanym ruchem rozerwał drugi worek i sprawnie włożył na siebie biały ochraniacz.

– Może na randkę się nie nadaje, ale świetnie sprawdza się w roli kamuflażu – podsumował. – No dalej, Lindo, musimy się pośpieszyć, jeśli chcesz zdążyć na kolację u Kurzawy.

Panna Miller natychmiast przyspieszyła ruchy, bo spotkania u Kurzawy nie przepuściłaby, nawet gdyby musiała uciec z aresztu. Po niedługiej chwili z domu wyszło dwoje odzianych na biało ludzi, a jeden z nich trzymał w dłoni walizeczkę.

Niebo zasnuło się ciężkimi, zwiastującymi burzę chmurami, dzięki czemu wreszcie można było oddychać. Mimo wczesnej pory dnia ruch był spory, a prowadzone co kilka kilometrów roboty drogowe dodatkowo go spowalniały. Na szczęście do siedemnastej było jeszcze dużo czasu, więc nawet Linda zachowywała stoicki spokój i tylko co jakiś czas syczała na któregoś z kierowców.

Zaparkowali pod blaszanym parkanem, naciągnęli na głowy kaptury, założyli maski i gogle, po czym pewnym krokiem zbliżyli się do bramy, której pilnowało dwóch umundurowanych policjantów.

– Dzień dobry, technicy z Wrocławia – przywitał się z nimi Organek.

– A w jakiej sprawie? – Młody funkcjonariusz spojrzął na patologa nieufnie.

– W sprawie zbadania miejsca ujawnienia zwłok – odpowiedział doskonale przygotowany Jeremi. – Z komendy wojewódzkiej we Wrocławiu.

– Nic nam na ten temat nie wiadomo – poinformował szorstko drugi z policjantów. – Macie jakieś kwity?

Jeremi poklepał się po pozbawionych kieszeni bokach i rozłożył ręce.

– Mieli wystać z komendy. Podkomisarz Bączek miał, tak dokładnie – kłamał jak z nut.

– Nie możemy was wpuścić bez zezwolenia – uciął pierwszy z mundurowych. – Chyba że dostaniemy inne rozkazy.

– Mogą być od prokuratora? – zapytała hardo Linda.

Policjanci wymienili zaskoczony spojrzenia, ale panna Miller nie czekała na ich reakcję.

– Jeżeli panowie potrzebują, to ja w tej chwili wykonam telefon do prowadzącej sprawę prokurator Rumin i przekonacie się, że wszystkie kwity zostały wystawione.

Opór funkcjonariuszy wyraźnie zaczął się łamać, ale bramy wciąż nie otwierali.

– Mam dzwonić czy nie? – ponagliła ich dziewczyna. – Moja siostra jest człowiekiem zajęтым, więc decydujcie się szybko.

Zgodnie z powiedzeniem „na układy nie ma rady” oraz przewidywaniami Lindy wspomnienie o koligacjach z prokurator okręgową poskutkowało. Zgrzytnął skobel, zaskrzyptały zawiasy i wejście na teren szpitala stanęło otworem przed dwojgiem uzurpatorów. Przemaszzerowali obok policjantów z podniesionymi głowami i udali się prosto do miejsca, w którym jeszcze kilka godzin wcześniej posadzkę przyozdabiało ciało młodej kobiety.

– Ryzykowne posunięcie – szepnął Jeremi, gdy znaleźli się z dala od uszu nieufnych policjantów.

– Kto nie ryzykuje, ten później nie ma czym się chwalić – rzuciła w odpowiedzi. – A ja lubię się chwalić.

Co prawda, to prawda, pomyślał Organek, fałszywa skromność jest przereklamowana.

Przeszli przez środek pomieszczenia, nie zaszczycając oddzielnego taśmą policyjną miejsca spojrzeniem, i zatrzymali się przed żeliwną kratą.

– No to teraz wszystko się okaże – stwierdził Jeremi. Rozpiął kombinezon, sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął klucz i... się zawahał.

– Co jest?

– A co, jeśli za tą kratą jest więcej ciał?

– Trochę dziwne obawy jak na patologa – stwierdziła kwaśno Linda. – Śmierdzi?

– Nie, niczego nie czuję.

– No to otwieraj te drzwi, zanim nasze ogary tu wpadną.

Organek przymierzył klucz do zamka – pasował jak ulał. Linda przyłgnęła do jego pleców, wstrzymując oddech, i nie odrywała wzroku od ręki Jeremiego. Ręka zaś ostrożnie poruszyła kluczem w lewo, pokonała lekki opór i po chwili zapadka przeskoczyła. Medyk puścił klucz, przeniósł dłoń na klamkę, nacisnął ją z czułością, zamknął oczy i popchnął bramkę.

OD TEGO WIECZORU WSZYSTKO ZALEŻY



Mieczysław Kurzawa wiedział, że pobudka o nieludzkiej porze była zapowiedzią katastrofy. A jeśli nie katastrofy, to przynajmniej bardzo kiepskiego dnia.

Kiedy zakończył rozmowę ze szwagrem, wstał, poczłapał do łazienki, a po dokonaniu porannych ablucji snuł się bez celu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Zaparzył sobie herbatę, bo kawy na pusty żołądek nie przyjmował, usiadł przy kuchennym stole i zaczął rozmyślać. Na pierwszy ogień, co oczywiste, poszła rozmowa z Piotrem. Ten głupi dzieciak znowu nawarzył piwa, ale tym razem odkręcenie wszystkiego nie będzie już takie proste. Może nie niemożliwe, ale z pewnością nie proste. Przy dobrych wiatrach i odrobinie szczęścia nigdy nie ustalą tożsamości dziewczyny, a jej związek z Nowakiem nikomu nawet nie przyjdzie do głowy.

Prawdziwym problemem natomiast było znalezienie zwłok w Mokrzeszowie. Co temu cymbałowi strzeliło do łba?! Jak mógł narazić jego i całą organizację na kontakty z policją? Tego jeszcze brakuje, żeby Waldek miał problemy przez tego nieudacznika. I to teraz, kiedy wszystko szło we właściwym kierunku.

– *Verdammt noch mal* – syknął i uderzył pięścią w stół. – *So nah! So nah!**

Po chwili usłyszał skrzypienie podłogi i w drzwiach stanęła jego żona, owinięta w jedwabne kimono.

– Kogo ma trafić szlag? – zapytała, ziewając szeroko.

– Najlepiej twojego brata – warknął srebrnowłosy profesor. – Tym razem przesadził i szczerze wątpię, czy uda mu się uniknąć odpowiedzialności.

Kobieta przysiadła na krześle i sięgnęła po kubek z herbatą męża.

– Ugh, gorzka! – skrzywiła się. – Walter już wie?

– Z pewnością mu doniesiono. Nie dzwonił jeszcze, ale prędzej czy później to nastąpi.

Irmina Prejs pokiwała głową w zamyśleniu. Ona także była zła na swojego brata, tym razem przekroczył granicę.

– Nie przejmuj się, coś wymyślimy – pocieszała męża. – A Piotrowi przyda się nauczka.

Kurzawa dopił herbatę, przeczesał rzadkie siwe włosy i zmienił temat.

– Skupmy się, kochanie, na naszym dzisiejszym gościu. Od tego wieczoru wszystko zależy.

– Tym nie musisz się troskać – odrzekła z ciepłym uśmiechem Irmina. – O wszystko zadbałam i jestem pewna, że ją oczarujemy.

– Nie wątpię, skarbie, nie wątpię. – Odwzajemnił uśmiech i pogłaskał żonę po ręce. – Chyba pójdę się przejść.

Kiedy Mieczysław Kurzawa wyszedł na spacer, jego żona wzięła gorącą kąpiel, przebrała się w wygodną bawełnianą sukienkę i zaczęła przygotowania do szykownej kolacji, na którą czekała od wielu lat.

* *Verdammt noch mal. So nah!* (niem.) – Niech to szlag. Tak blisko!

NIE MA JEJ JUŻ OD PIĘCIU DNI



Kawiarnię, w której pracowała Aneta Piotrowska, znaleźli bez najmniejszego problemu. Natomiast znalezienie kogoś, kto mógłby udzielić im jakichkolwiek informacji na temat dziewczyny, okazało się nie lada wyczynem. Kelnerzy i kelnerki zdawali się zupełnie nie przejmować migającymi im przed oczami odznakami, szarża policjantów nikogo nie wzruszała, wyglądało więc na to, że jedynym sposobem na skupienie uwagi obsługi było odegranie roli klienta.

– Dzień dobry, co podać? – Młodziutka kelnerka zmaterializowała się przy stoliku w tej samej chwili, w której siedzenia policjantów dotknęły ławki.

– Dzień dobry – odpowiedział grzecznie Wilczyński. – Na początek dwie wody mineralne z cytryną.

– Gazowane, niegazowane?

– Wsio rawno.

Dziewczyna skrzywiła się lekko, zanotowała zamówienie i zdematerializowała się tak nagle, jak się pojawiła.

Wróciła po dwóch minutach z dwiema szklankami i dwiema butelkami pokrytymi szronem.

– Bardzo proszę. – Postawiła szklanki na korkowych podstawkach. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Jak miło, że pani pyta. – Nadinspektor wyszczerzył się, jakby rozpięła go prawdziwa radość. – Gdyby była pani tak uprzejma i powiedziała nam, czy pani Aneta Piotrowska jest może dzisiaj w pracy?

– Anetka? – Na twarzy kelnerki pojawiło się szczere zdziwienie. – Nie, nie ma jej w pracy. Nie widziałam jej od kilku dni.

– Może ma urlop? – dopytał Bączek.

– Raczej nie... A dlaczego panowie pytają?

Wilczyński położył na stole odznakę i postukał w nią palcem wskazującym.

– Musimy z nią porozmawiać. Zna pani jej adres?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy. Wyglądała na przestraszoną.

– Proszę się nie bać, pani Piotrowska niczego nie przeskrobała – uspokoił ją Bączek. – Kto mógłby nam wskazać jej adres?

– Kierownik zmiany – odpowiedziała natychmiast. – To ten chudy chłopak. – Machnęła ręką na stojącego za barem wysokiego blondyna zajętego rozmową z jakąś kobietą.

– Ten z wytatuowanym przedramieniem? – upewnił się podkomisarz.

Kelnerka skinęła głową.

– Przepraszam, muszę obsłużyć klienta – wyszeptała, po czym udała się w kierunku stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo młodych ludzi.

Policjanci przyglądali się wysokiemu blondynowi, nieśpiesznie dopijając orzeźwiający płyn. Kierownik zmiany skończył obsługiwać kobietę, można więc było uciąć sobie z nim pogawędkę.

– Dobry – przywitał się Bączek. – Możemy zająć panu chwilę?

Chłopak pochylił się nad barem, wpatrując się w dwie leżące na nim odznaki.

– Jasne, że panowie mogą. Przejdźmy może na zaplecze – zaproponował. – Kamila, przejmij bar! – krzyknął do kelnerki, która wcześniej obsługiwała funkcjonariuszy.

Bączek z Wilczyńskim podążyli za chłopakiem i zniknęli za drzwiami z napisem „Staff”. Pomieszczenie nazwane zapleczem było w najlepszym razie składzikiem na wszystko, znalazło się tam jednak miejsce na dwa krzesła i niewielki stolik.

– W czym mogę panom pomóc? – zapytał blondyn, wskazując policjantom krzesła.

Bączek odmówił, Wilczyński usiadł, chłopak zajął drugie miejsce.

– Może nam pan pomóc w ustaleniu miejsca pobytu Anety Piotrowskiej – wyjaśnił oficjalnym tonem podkomisarz.

Młodzieniec lubujący się w tatuażach uniósł brwi.

– A skąd pomyśl, że je znam? Nie utrzymujemy prywatnych kontaktów.

– Rozumiem. – Bączek pokiwał głową. – Dlaczego nie ma jej w pracy? Jest na urlopie?

– Nie, urlop miała w ubiegłym miesiącu, całe dwa tygodnie. Chyba jest chora... – odpowiedział, ale sam nie wydawał się przekonany.

– Tak powiedziała? – dociekał Wilczyński.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Ciekawe macie państwo zwyczaje – ocenił z przekąsem Bączek. – Często tak pracownicy nie stawiają się w pracy bez uzasadnienia?

– No... Wie pan... – jąkał się chłopak, a jego koszulka robiła się coraz bardziej mokra pod pachami. – Większość kelnerów to studenci, pracują na zlecenie i nie muszą nam się tłumaczyć z nieobecności.

– Zdarzało jej się już tak zniknąć? – drażył podkomisarz.

– Zdarzało. Aneta cierpi na okropne migreny i bywało, że nie zjawiała się przez dwa, czasami nawet trzy dni z rzędu.

– A teraz ile jej już nie ma? – Wilczyński pochylił się nad stolikiem, a chłopak niezdrowo zbladł.

– Proszę poczekać – rzucił, po czym zerwał się z krzesła.

Podszedł do wysokiej szafki, otworzył jedno z drzwiczek i wyciągnął segregator. Rozłożył go na stołku, który stał obok szafy, i ze środka wyjął kartkę wyglądającą jak terminarz.

– Dziś jest piąty dzień – poinformował. – Według grafiku nie ma jej od poniedziałku. To dziwne... – dodał, odstawiając segregator na miejsce.

– Co takiego? – Bączek znów zobaczył rozkręcający się stroboskop.

– W niedzielę z nią rozmawiałem, pytałem nawet o te migreny, bo w ubiegłym miesiącu nie brała ani jednego dnia wolnego.

– Dalej nie rozumiem, gdzie ta dziwność. – Wilczyński zmarszczył krzaczaste brwi.

– Mówiła, że już zapomniała, czym są migreny, bo wreszcie znalazła lekarstwo. Coś mi świta, że to jakaś nowość na rynku, a ona zgłosiła się do testów klinicznych.

Bączek nie wiedział dlaczego, ale w głowie miał już niezłą dyskotekę. Lampki we wszystkich kolorach mrugały, a po jego kręgosłupie płażały stada mrówek.

– Proszę nam podać jej dane – rzucił gorączkowo. – I nic na razie nie mówić pracownikom, dla dobra śledztwa.

Chłopak sięgnął po kolejny segregator, z którego wyjął formularz z danymi Anety Piotrowskiej.

– Możemy to zabrać? – Bączek już schował papier do kieszeni. – Oddamy, jak zrobimy kopię.

Chłopak pokiwał głową i wciąż wyglądał na zszokowanego. Odprowadził policjantów przerażonym wzrokiem, po czym bez słowa wrócił za bar, nalał do kieliszka pięćdziesiąt mililitrów wódki i wychylił jednym haustem.

Bączek i Wilczyński pognali do samochodu i na sygnale pomknęli pod adres, który wskazała Aneta Piotrowska w formularzu. Choć mieli nadzieję, że znajdą dziewczynę stłamszoną migreną, na wszelki wypadek poprosili prokuratorkę o zgodę na wejście do mieszkania.

GDZIE ONI TU ROBIĄ SIKU?



Gdyby ktokolwiek zajrzał w tej chwili do opuszczonego szpitala Zakonu Kawalerów Maltańskich w Mokrzeszowie, zobaczyłby dwie odziane w białe kombinezony ochronne figury wrośnięte w podłogę i wlepiające wzrok w przestrzeń przed sobą.

Pierwsza rozum i równowagę odzyskała Linda.

– Idziemy? – zapytała szeptem.

– Jeszcze się waham...

– Aha...

Poza odgłosami dochodzącymi z zewnątrz w zniszczonym skrzydle panowała cisza dodająca scenie surrealizmu. Wrażenie to potęgował nieco upiorny wystrój wnętrza, który w ostrym świetle wpadającym przez odrapane okna odkrywał wszystkie grzechy zaniedbania.

Jeremi otrząsnął się, jakby chciał zrzucić otulającą go atmosferę, i zacisnął usta w cienką linię.

– Idziemy – zdecydował. – Raz kozie śmierć.

Linda uchwyciła go za łokieć i ścisnęła lekko. Miała nadzieję, że faktycznie tylko raz oraz że kozą była – świeć, Panie, nad jej duszą – rusałka.

Przekroczyli próg wyznaczony przez otwartą bramkę i znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu z drzwiami po obu stronach. Najpierw podeszli do tych na prawo, które po otwarciu ujawniły rachityczną klatkę schodową prowadzącą na wyższe piętra.

– Jeśli za tymi drugimi też są schody, to się wkurzę – zapowiedziała Linda.

Po otwarciu drzwi z lewej strony z gardeł obojga wyrwał się okrzyk. Nie był to jednak wyraz złości. Dosłownie ich zatchnęło.

Drzwi prowadziły bowiem do luksusowo urządzonego pokoju, którego główne atrakcje stanowiły ogromne łóżko z baldachimem, wanna z jacuzzi

i barek wyposażony we wszystkie alkohole, jakie komukolwiek mogłyby się zamaryć.

Oszołomiona Linda weszła głębiej, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Jeremi również zaniemówił, przede wszystkim na widok sprzętu do odtwarzania muzyki, na który ostrzył sobie zęby od lat, ale zawsze szkoda mu było tych kilkunastu tysięcy złotych.

Rozglądali się w milczeniu, każde zwracając uwagę na coś innego, aż spotkali się znów na środku pokoju idealnie na wprost łóżka, jakiego nie powstydzili się Ludwik XIV.

– Ja cię pierdziulę – odezwał się rudzielec, którego oczy wyglądały teraz jak dwie wykonane z bursztynu piłeczki do ping-ponga.

– Lepiej bym tego nie ujął – skwitował Jeremi. – Staram się nawet nie mrugać, żeby przypadkiem się nie obudzić.

– Czy tobie też to wygląda na...?

– Garsonierę? – wpadł jej w słowo Organek.

– Chciałam powiedzieć: burdelik, ale może być po twojemu.

Linda rozpięła kombinezon, sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, do której wcześniej włożyła telefon, i zaczęła fotografować pomieszczenie.

– Wiesz, co ja myślę? – zapytała, wykonując siódme z kolei ujęcie łóżka.

Organek nie odpowiedział, ale też wcale nie musiał.

– Myślę, że tu się odbywa obrzydliwy proceder stręczycielstwa i handlu żywym towarem – oświadczyła, pstrykając jak szalona. – Jakiś obleśny Niemiec ściąga młode dziewczyny, mając je wizją eldorado, a potem kończą tutaj, nagrywane w sytuacjach, które stają się ich smutną codziennością.

Jeremi nie miał aż tak bujnej wyobraźni, ale właściwie ta wizja nie była wcale aż tak niemożliwa.

– Ty wiesz, co mnie zastanawia? – brnęła dziewczyna.

– Chyba boję się zgadywać...

– Gdzie oni tu robią siku?

Cokolwiek by mówić, faktycznie była to kwestia istotna. Zakładając, że nie skuteczniano rozwiązań stosowanych przez średniowiecznych mieszczan, czemu z pewnością nie sprzyjał brak okien w garsonierze, wychodek gdzieś powinien być.

Jeremi rozpoczął poszukiwanie toalety od opukania ścian. Metodycznie, centymetr po centymetrze, stukał, nasłuchiwał, opukiwał. I nic. Chociaż...

Zrobił krok w tył i postukał jeszcze raz. Beton, beton, beton. Jednak nie. Ukrytych drzwi czy choćby uskoku w ścianie nie było.

Linda usiadła na samym brzegu łóżka, starając się nie myśleć o tym, jakim celom mogło ono służyć, i pogрузzyła się w zadumie. Skoro nie w ścianie, to gdzie indziej? Niemożliwe, żeby nie było tu toalety!

– Słuchaj, Lindo, a może to jest tylko scenografia? – podsunął Jeremi zrezygnowanym tonem.

Usiadł obok dziewczyny i zapatrzył się w podłogę.

– Myślisz, że ktoś tu robi zdjęcia do magazynów wnętrzarskich? – powątpiewał rudzielec.

– Albo do filmów dla dorosłych.

– Jeśli do filmów, to wracamy do tematu ubicacji.

Nagle usłyszeli hałas. Dobiegał z dziedzińca i zdawał się z każdą chwilą głośniejszy.

– Cholera, ktoś tu idzie! – syknęła Linda. – Musimy wiać!

Spanikowani, rzucili się w kierunku drzwi, ale od strony głównego wejścia słychać już było odgłosy rozmowy. Ktoś wchodził do szpitala i za chwilę odkryje ich podstęp.

Powodowany przeblyskiem zdrowego rozsądku, Jeremi zdołał zamknąć od środka furtkę w żelaznej kratce i w ostatniej chwili zaciągnął Lindę do drzwi prowadzących na klatkę schodową.

Kiedy zniknęli za niewidocznym z wnętrza pomieszczenia załomem, za którym znajdowało się wyjście na schody, usłyszeli echo kroków i po chwili podniesiony damski głos zagrział:

– Ja nie mam żadnej siostry! Panowie, kogo wy tu wpuściliście?!

Organek zamknął drzwi, starając się nawet nie oddychać. Znowu znaleźli się w pułapce, a ratowało ich jedynie to, że nikt poza nimi nie miał klucza.

ASPIRYNA, ZOSTAW PANA!

Mieszkanie Anety Piotrowskiej znajdowało się na Sępólnie, w jednym z najpiękniejszych zakątków Wrocławia. Osiedle, zbudowane w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku z myślą o mieszczańskie klasie średniej Breslau, mimo zniszczeń wojennych wciąż budziło zachwyty nie tylko przyjezdnych, ale i jego mieszkańców. Niska zabudowa układająca się w kształt śląskiego orła niezmiennie przypominała o dawnych właścicielach stolicy Dolnego Śląska.

Dwupiętrowa kamieniczka usytuowana była u zbiegu ulic Monte Cassino i Libelta, w bliskim sąsiedztwie kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny. Bączek rozglądał się ciekawie, zazdroszcząc wszystkim, którzy w odróżnieniu od niego nie musieli mieszkać w blokach z wielkiej płyty. I pewnie jeszcze mieli ogródek...

Wilczyński skręcił do bramy, wybrał numer na domofonie i czekał na jakąś reakcję. Żadna nie nastąpiła. Spróbował jeszcze raz, ale z takim samym skutkiem. Włożył ręce do kieszeni, odszedł spod bramy i przyjrzał się budynkowi z dystansu.

– Nie jestem zaskoczony – rzucił w stronę podkomisarza, który wciąż zastanawiał się, czy po drugiej stronie kamienicy znajdują się ukwiecone ogródki. – To teraz musimy zdecydować: wchodzimy na siłę, ze wsparciem, czy zaczynamy od sąsiadów.

Z pewnością jak zwykle musieliby sięgnąć do najskuteczniejszej metody pomagającej w podjęciu decyzji, czyli ciągnięcia słomek, gdyby nie pomoc od losu. Los okazał się tym razem wyjątkowo łaskawy, a pomoc – nieoceniona.

Brama otworzyła się od środka i wprost pod nogi Wilczyńskiego wypadła włochata kulka, merdająca ogonem w wyrazie bezbrzeżnej radości. Obwąchała buty i nogawki spodni nadinspektora, a następnie usiadła przed nim i Wilczyński mógłby przysiąc, że psina uśmiechała się do niego.

– Aspiryna, zostaw pana! – Młoda kobieta ze smyczą w ręce pokrzykiwała na psa, ale w jej głosie słychać było czułość. – Bardzo przepraszam, ona wyjątkowo lubi mężczyzn.

– Ależ nie ma za co – odparł nadinspektor z szerokim uśmiechem i schylił się, żeby pogłaskać psa po puchatej głowie. – Dobra psinka, kochana taka. I jaka mądra.

– Z tym raczej bym nie przesadzała... – Dziewczyna roześmiała się wesoło. – Głupolek z niej straszny, ale coś za coś.

Głupolek z zapałem oblizywał dłonie policjanta, a jego ogon wykonywał zaskakująco szybkie ruchy.

– Pani mieszka w tej klatce? – zapytał Bączek, który już przestał rozwijać botaniczne fantazje.

– Tak, na parterze. A co się stało? – Właścicielka psa o imieniu Aspiryna spojrzała na podkomisarza z niepokojem.

– Skąd taki pomysł? – Wilczyński uniósł brwi i wrócił do pozycji pionowej.

– Niech się panowie nie martwią, nie jestem wróżką, tylko pochodzę z rodziny policjantów i od razu wiem, jak jakiegoś widzę – wyjaśniła dziewczyna.

– Ha! No to nas pani rozszyfrowała – pogratulował jej nadinspektor. – No dobra, to kawa na ławę. Zna pani Anetę Piotrowską?

– Znam, jasne, że znam. My tu się w zasadzie wszyscy znamy, a z Anetą poznałam się na studiach. To ona pomogła mi wynająć tu mieszkanie.

Policjanci wymienili spojrzenia, od których aż iskry szły. Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście!

– A może przypadkiem wie pani, co się z nią dzieje? – Bączek postanowił wycisnąć dobrą passę jak cytrynę.

– Od kilku dni jej nie widziałam. Myślałam, że może gdzieś wyjechała – odpowiedziała ostrożnie dziewczyna.

Piesek w radosnych podskokach oddalił się na trawnik, załatwił potrzebę pod krzakiem i uradowany wrócił do swojej właścicielki.

– Widzę, że Aspiryna nie ma ochoty na dłuższe spacery – oceniła sąsiadka Anety Piotrowskiej. – Może wejdą panowie na herbatę, zanim czujne oczy i uszy zaczną się nami interesować?

Propozycja została przyjęta z wdzięcznością i po chwili trzy osoby ludzkie oraz jedna wyjątkowo włochata psia znalazły się wewnątrz chłodnego

dwupokojowego mieszkania, w którym pachniało świeżo zmieloną kawą i damskimi perfumami.

Bączek natychmiast zaczął ruszać nozdrzami jak rasowy ogar, co nie uszło uwagi gospodyni najwyraźniej zaliczającej się do osób wyjątkowo inteligentnych i domyślnych.

– Napiliby się panowie kawy? – zaproponowała.

– Chętnie! – Podkomisarz niemalże klasnął w dłonie z radości. – A czy mogę zajrzeć na balkon?

Oczywiście, że mógł, ruszył więc zwawo, a po chwili Aspiryna wyprzedziła go i merdając ogonem, wpadła na niewielki kwadratowy balkonik. Była zbyt mała, żeby wdrapać się na betonowy murek, Bączek wziął ją więc na rękę i rozejrzał się wokół.

Zgodnie z jego przewidywaniami pod oknami znajdowały się urokliwe ogródki, w których właściciele uprawiali głównie kwiaty. Pod balkonem należącym do mieszkania właścicielki Aspiryny także znajdował się skrawek ziemi, ale raczej nikt nie poświęcał mu szczególnej uwagi.

Odstawił psa na posadzkę, co wyraźnie nie spodobało się czworonogowi, i wrócił do kuchni, w której właścicielka przytulaśnego chow-chow i Wilczyński ucinali sobie pogawędkę na temat wyższości psów nad kotami.

– A ty, Michaś – zagadnął wesoło nadinspektor – wolisz psy czy koty?

– Nie mam preferencji, chyba nie nadaję się do życia z czworonogiem. – Bączek wysunął znajdujący się pod stołem taboret, ustawił go pod ścianą i usiadł.

– Gdybym pracowała w policji, też raczej nie miałabym Aspiryny – stwierdziła dziewczyna.

– A swoją drogą, to miała pani bardzo oryginalny pomysł na imię – pochwalił ją Wilczyński.

– Podoba się panu? To fajnie!

Woda w czajniku właśnie się zagotowała. Dziewczyna zalała wrzątkiem grubą warstwę zmielonych ziaren kawy i postawiła kubek przed Bączkiem.

– Pytajcie, panowie – zgłosiła gotowość do właściwej rozmowy. – Powiem wszystko, co wiem, choć raczej nie będzie tego zbyt wiele.

– Mówiła pani, że nie widziała Piotrowskiej od kilku dni. Uprzedzała, że zamierza gdzieś wyjechać? – Bączek potrafił zadawać właściwe pytania nawet w trakcie mieszania kawy.

– Nie przypominam sobie, żeby cokolwiek takiego planowała. Zresztą ona naprawdę rzadko wyjeżdżała, zwłaszcza odkąd zaczęła się z kimś spotykać.

Ta ostatnia informacja wyraźnie zainteresowała śledczych. Partner – lub partnerka, przecież są tolerancyjni – z pewnością powinien wiedzieć, co dzieje się z jego kobietą.

– Zna pani tę osobę? – podchwycił Bączek.

– Niestety nie. Aneta nie mówiła o nim zbyt wiele.

– To raczej dziwne... – ocenił Wilczyński. – Nie wydaje się pani?

– Dziwne, że nie mówiła o intymnych sprawach? – Dziewczyna nie zrozumiała.

– Dziwne, że na początku nowej relacji kobieta niewiele o niej mówi – doprecyzował Bączek. – Zwykle to etap szalejących w brzuchu motyli i potrzeby dzielenia się radością.

– Może ma pan rację – zgodziła się w zadumie. – Ja chyba założyłam, że ona nie chce rozmawiać na ten temat, i nigdy nie dopytywałam.

– Myśli pani, że miała powód, żeby trzymać to dla siebie? – dywagował Wilczyński.

– Jeśli pyta pan o moją opinię, to tak. Myślę, że miała powód.

– I podzieli się pani tą opinią? – upewnił się podkomisarz, unosząc kubek z gorącą kawą do ust.

– Oczywiście, ale nalegam, żeby potraktowali to panowie jako mój domysł.

Mężczyźni skinęli głowami, choć zamierzali uchwycić się każdej brzytwy, choćby była jedynie fantazją.

– Mam przeczucie – wyjawiała – że sytuacja tego mężczyzny jest niejasna. Albo Aneta związała się z kimś, kto nie do końca chciał być w związku, albo...

– ...albo jest w związku z kimś innym – domyślił się Bączek.

Dziewczyna pokiwała głową. Piesek o wyjątkowo oryginalnym imieniu położył pyszczek na jej stopach i szykował się do drzemki. Westchnął głęboko, oblizał się i zamknął oczy.

– I nie ma pani pojęcia, kto to jest? – Brzytwa na razie ratunku nie dawała, co wyraźnie odbijało się na strapionej twarzy Wilczyńskiego.

I tym razem odpowiedziała odmownie, co właściwie pogrzebało nadzieję na łatwy sukces.

Bączek dopił kawę, po czym obaj, wraz z Wilczyńskim, podziękowali za gościnę i podnieśli się ze stołków. Piesek cichutko pochrapywał, ale jego właścicielka musiała mieć już opanowaną sztukę uwalniania stóp spod puchatego cięzaru, bez trudu bowiem oswobodziła się, nie budząc bestii.

– Dziękujemy pani i prosimy nie zwracać uwagi na hałasy, które zapewne niebawem pani usłyszy – ostrzegł ją nadinspektor. – Musimy dostać się do mieszkania pani Piotrowskiej, więc pewnie zaraz przyjadą spece od zamków.

– A nie łatwiej byłoby użyć zapasowego klucza, który od niej dostałam? – zapytała zdziwiona.

Bączek znów poczuł, że fortuna wróciła, a może cały czas nad nimi czuwała.

NIEKTÓRE LEGENDY SKŁADAJĄ SIĘ Z PRAWDY



Kalina Rumin wparowała do budynku dawnego szpitala wściekła jak osa. Banda imbecyli! Skąd oni teraz biorą tych policjantów? Żeby każdy mógł im wmówić, że jest jej siostrą!

Bogiem a prawdą wcale nie uważała, że każdy miałby na tyle tupetu, odwagi i brawury, żeby podawać się za jej krewną. Wraz z wykrzyknięciem złości zorientowała się, że doskonale wie, kto mógłby się na to porwać. I w głębi duszy nawet ją to bawiło.

– Panie Organek, pani Miller! – zawołała, kiedy znalazła się na środku pomieszczenia służącego niegdyś za świetlicę lub jadalnię.

Odpowiedziało jej jedynie echo, odbijające się od wysokich ścian. Dwaj policjanci, którzy dopuścili się haniebnego zaniedbania, na wszelki wypadek zostali za progiem.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście?! – krzyknęła do nich prokuratorka.

– Nie ma, tylko to jedno – odpowiedział jej głos.

– W takim razie gdzie oni są?!

Głos najwidoczniej nie należał do wróżki i siedział cicho.

Kalina rozglądała się po przestronnej komnacie, do której prowadziło tylko jedno wejście, a zatem także było z niej wyłącznie jedno wyjście. Zaraz, zaraz, w takich miejscach zawsze są inne drogi wyjścia.

Nagle jej uwagę przykuła metalowa krata oddzielająca fragment pomieszczenia od reszty. Podeszła bliżej i usiłowała zajrzeć głębiej, jednak dość gęsto rozstawione pręty skutecznie to uniemożliwiały. Przeniosła wzrok na posadzkę i zatrzymała go dłużej na niepasującym do wzornictwa symbolu. Co to może być? Gałązka? Drzewo?

Wyjęła z torebki telefon, postukała w ekran, a po chwili zaczęła przeglądać grafiki przedstawiające symbole. Kiedy zobaczyła runę życia, serce jej drgnęło.

– Dawać mi tu ciecia! – krzyknęła do policjantów. – I niech nie zapomni wziąć klucza!

Cieć zjawił się po kilku minutach, dzwoniąc głośno solidnym pękiem kluczy. Policjanci nie wtajemniczyli go w szczegóły, więc przytruchtał z duszą na ramieniu.

– Co trzeba otworzyć? – zapytał tonem zupełnie nielicującym z jego niesympatyczną twarzą.

– Tę furtkę. – Kalina skinęła głową w stronę kraty.

– A, to będzie kłopot.

– Dlaczego?

– Bo ja nie mam klucza do tej bramki. Nigdy tam nie wchodziłem.

Prokuratorka omiotła staruszką spojrzeniem pełnym dezaprobaty i westchnęła ciężko.

– Trudno. Nie ma, to nie ma. Panowie! – zawołała do policjantów, którzy tym razem weszli do środka, ale zatrzymali się w bezpiecznej odległości. – Panowie, dzwońcie po ślusarza, chcę mieć ten zamek otwarty ASAP.

Funkcjonariusze rzucili się do wykonania rozkazu, jakby miało im to pomóc w naprawieniu błędu, a po chwili szpital opuściła także Rumin. Cieć zniknął jak kamfora tuż po przekroczeniu progu, ale chwilowo nie był do niczego potrzebny.

Kalina obeszała budynek, bezbłędnie typując okna wykuszu znajdującego się za tymczasowo niedostępną kratą. Przyjrzała się murom, powiodła wzrokiem nieco wyżej i nagle zrozumiała.

– Cholera by was wzięła! – mruknęła z przekąsem. – No jasne, że to zawsze muszą być schody ewakuacyjne.

Oczekiwanie na przybycie ślusarza i specjalisty od rozbijania zamków umiliła sobie spacerem po zaniedbanym parku, który niegdyś musiał być piękny. Jej uwagę przykuł zniszczony budynek znajdujący się nieco dalej i coś podpowiedziało jej, żeby do niego zajrzeć.

Pozbawiona dachu, ziejąca dziurami pozostałymi po oknach ceglana budowla była niewielka, ale i tak robiła upiorne wrażenie.

Nagle tuż obok Kaliny zmaterializował się leciwy cieć.

– Wie pani, co tu było? – zapytał tajemniczo.

– Nie mam bladego pojęcia. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno Lebensborn wykorzystywał to miejsce jako kacet.

– Kacet? Tutaj? – zdziwiła się prokuratorka.

– Tak mówią. – Staruszek pokiwał głową. – Zamykali tu dzieciaki, które nie chciały się uczyć, i eksperymentowali na nich.

Kalina wzdrygnęła się i zapragnęła jak najszybciej się oddalić.

– Wie pan, legendę łatwo wymyślić – odparła sucho. – Problem w tym, że niektóre nie mają w sobie ani ziarna prawdy.

– A niektóre składają się z samej prawdy. I to jest w nich najstraszniejsze.

Cieć nie zamierzał wyjaśnić swoich słów, a kobieta wcale nie była tym zainteresowana. Odeszła szybkim krokiem w stronę dziedzińca, na którym dwóch policjantów udawało, że coś robi.

Przysiadła na kamieniu, wyjęła telefon z torebki i zajęła się czytaniem książki. Wybrała ją na chybił trafił z obfitego katalogu, było jej wszystko jedno, byle nie myśleć o kacie, w którym ktoś eksperymentował na dzieciach.

WY SĄ SWOI



Odkryta przypadkiem klatka schodowa musiała być rzadko sprządana, czego nie można było powiedzieć o znajdującej się tuż obok toalecie.

Linda z zachwytem oglądała czyste wnętrze, zastanawiając się nawet nad tym, czy mogłaby skorzystać z tego przybytku, bo właściwie jej pęcherz zaczął się domagać. Bilans za i przeciw przemawiał za skorzystaniem, jednak decyzja przysła skądinąd.

– Lindo! – zawołał półgłosem Jeremi. – Chodź tutaj, musisz coś zobaczyć.

Panna Miller z ciężkim sercem opuściła wymuskaną toaletę i podążyła za głosem współnika.

– Gdzie jest „tutaj”? – zapytała, nie widząc go nigdzie.

– Spójrz w dół – odpowiedział głos, ale brzmiał, jakby dochodził z innego miejsca. – Pod podłogę.

Dziewczyna postanowiła niczemu już się nie dziwić i obesła schody z drugiej strony. W drewnianej posadzce widać było zarys znajdującego się w niej otworu. Podważyła brzeg i uniosła klapę, odkrywając tajne zejście.

– Co tam jest? – szepnęła w głąb dziury.

– Tunel. – Głos Organka odbił się głuchym echem. – W torbie masz latarkę, możesz śmiało schodzić.

Latarka latarką, ale nawet uzbrojona w reflektor Batmana wciąż byłaby narażona na spotkanie z pajakami i szczurami.

– Wiesz, chyba tu na ciebie poczekam – rzuciła, siląc się na lekkość. – Odpocznę sobie trochę.

– Jak uważasz – odparł wesoło Jeremi. – Na wszelki wypadek wymyśl sobie odpowiedzi dla pani prokurator, bo z pewnością za chwilę do ciebie dołączy.

Nagle pająki i szczury przestały być groźne, zwłaszcza gdy można było zapiąć aseksualny kombinezon pod samą brodę. Rudzielec opatulił się

szczelnie, nasunął kaptur głęboko na czoło, chwycił torbę i zaczął złazić po drabinie.

Po pokonaniu kilku szczebli Linda wyjęła z torby latarkę, zasunęła z powrotem klapę, a następnie niemal z zamkniętymi oczami zeszła do tunelu.

Kiedy stanęła na ubitej ziemi, poczuła chłód, choć i w samym szpitalu nie było gorąco. Rozejrzała się w każdą stronę, ale Organka nigdzie nie było widać.

– Psssst – zawołała scenicznym szeptem. – Gdzie się podziałeś?

– Chyba znalazłem wyjście – doleciało ją z przodu.

Zrobiła kilka kroków i w nagłym przypływie paniki puściła się biegiem. Po paru metrach dostrzegła światło latarki.

– Jeremi, zaczekaj na mnie! – zawołała błagalnym tonem. – Ja tu mam fatalne fengszuła.

Patolog roześmiał się przyjaźnie, ale przystanął, zgodnie z prośbą dziewczyny. Kiedy wreszcie do niego dotarła, chwyciła ramię mężczyzny i nie zamierzała go wypuścić, zanim nie ujrzy światła na końcu tunelu.

Ruszyli dalej, nie dopuszczając do siebie myśli, że mogliby nie znaleźć wyjścia, i już po kilkunastu minutach okazało się, że mieli rację.

Ni stąd, ni zowąd tunel kończył się pionową ścianą, do której przymocowano drabinę identyczną z tą pod podłogą w szpitalu. Jeremi bez wahania wspiął się po jej szczeblach, a gdy już mógł dosięgnąć do klapy, napał na nią całą siłą ramion. Przez uzyskaną w ten sposób szczelinę do wnętrza tunelu wpadło nieco światła.

– Chyba musisz mi pomóc – stęknął Organek. – Ciężkie to...

Linda odstawiła torbę i wdrapała się po drabinie, sapiąc jak lokomotywa. Resztką silnej woli zmusiła się do wypchnięcia wążącego trzy tony klabzdrona, po czym niemal spadła z chybotliwego stopnia. Jeremi na szczęście miał niezły refleks, dzięki czemu chwycił ją za kombinezon i pomógł złapać równowagę.

Kiedy sytuacja przestrzenna została opanowana, wychylili się przez prostokątny otwór i rzucili okiem na okoliczności, w których wylądowali.

– Chyba jesteśmy w jakimś kościele – oceniła zaskoczona Linda.

– Raczej w kaplicy – poprawił ją Organek. – Wyjdź już, pomogę ci się wspiąć, a ja wrócę po torbę i dołączę do ciebie. Świeć mi z góry latarką.

Podsadził Lindę na wysokość, z której dała radę przedostać się przez otwór, po czym zniknął w dole. Dziewczyna stanęła przy brzegu, skierowała snop światła na drabinę i czekała na swojego współnika.

– No i zobacz, jacy z nas Indiany Jonesi – rzucił zadowolony patolog, kiedy zamknął klapę w podłodze. – Co my tu mamy?

Wokół panował półmrok, ale przyzwyczajone do ciemności tunelu oczy z łatwością wyłapywały kształty drewnianych ław, mównicy i podestu, na którym stawia się katafalk.

– Myślisz, że doszliśmy do cmentarza? – Linda nie do końca rozumiała, jak to w ogóle możliwe.

– Tak właśnie myślę. Gorzej, że zostawiliśmy auto pod szpitalem.

– O Holandio, faktycznie...

– I tak jesteśmy spaleni i odpowiedzialności nie unikniemy – pocieszył ją Jeremi. – Możemy jedynie wykorzystać naszą chwilową przewagę.

Uwaga była słuszna, a czasu do kolacji u Kurzawy pozostawało coraz mniej, zdjęli więc w pośpiechu kombinezony, schowali je wraz z latarkami do niepozornie wyglądającej torby i ruszyli ku wyjściu z kapliczki.

Po otwarciu drzwi oślepiło ich ostre słońce, a zanim zdążyli się z nim oswoić, od strony niemieckich grobów usłyszeli:

– Widzę, że bardzo musieliście lubić tego pradziadka.

Organek zmrzążył oczy i dodatkowo zrobił daszek z dłoni. Kobieta, która dwa dni wcześniej wpuściła ich na teren cmentarza, zbliżała się nieśpiesznie. Na jej poprzecinanej zmarszczkami twarzy tym razem gościł przyjazny uśmiech.

– Wie pani, kto będzie o nas pamiętał, jeśli nie krewni? – odpowiedział uprzejmie.

– Ja to od początku wiedziałam, że pan nie jest opóźniony na umyśle. Nie udało się paniencie mnie zwiść.

Linda wyszczerzyła się szelmowsko i mrugnęła do kobiety.

– Mam nadzieję, że się pani nie gniewa – krygowała się.

– A skąd! Podobacie mi się, a ja do ludzi mam nosa. A jeszcze tajne przejście znaleźli, to znak, że wy są swoi.

Organek spojrział na kobietę z wyraźnym zaskoczeniem.

– To pani wie o tym tunelu? – zapytał całkiem głupio. Przecież gdyby nie wiedziała, toby nie mówiła...

– Kto ma wiedzieć, ten wie – odparła tajemniczo. – Ale już niewielu takich jest, co pamiętają.

– A wie pani może, kto ten tunel wykopał? – W Lindzie obudziła się historyczka, dla której takie smaczki były sensem życia.

Kobieta skinęła głową, rozejrzała się, po czym, uprzednio się przeżegnawszy, usiadła na zniszczonym nagrobku.

– W ostatnich latach wojny brat mojej mamy wykopał ten tunel razem z chłopakami. Długo im zeszło, bo musieli to robić nocami, a Niemcy oko tu na

wszystkich mieli.

Linda zastanawiała się, jak sformułować następne pytanie, żeby nie wyszła na fanatyczkę albo, co gorsza, na wariatkę. W końcu zdecydowała się na rozwiązanie najprostsze, które najczęściej okazuje się najlepszym:

– Ten tunel miał pomóc w ucieczce ze szpitala, prawda? Pani wuj ratował polskie dzieci.

Kobieta spojrzała na rudzielca z uwagą, po czym pokiwała głową. Na jej twarzy rysowała się duma.

– Polskie, czeskie, ukraińskie – potwierdziła. – Ile tylko się dało. Ale wszystkich uratować nie było możliwości.

Jeremi nie zabierał głosu, lecz swoje myślał. Nabierał pewności, że klucz z symbolem Źródła Życia nie trafił w jego ręce bez powodu. Teraz należało jedynie ów powód znaleźć.

– Musieli mieć kogoś w środku – ciągnęła Linda, a jej zainteresowanie tematem z każdą chwilą wydawało się gwałtownie wzrastać. – No wie pani, żeby te dzieci wyciągać.

Mieszkanka Mokrzeszowa uśmiechnęła się szeroko. Wyglądała na zadowoloną.

– Ma pani rację. Moja mama pracowała w Hajmie jako palaczka. Tatusia zabrali na samym początku wojny. Słyszałam, że został rozstrzelany, ale grobu nigdy nie znalazłam. – W jej głosie nie było smutku, ten już dawno został przeżyty.

– W Hajmie? – odezwał się wreszcie Jeremi.

– W Gaukinderheimie, domu dla sierot – wyjaśniła Linda. – Od dawna podejrzewano, że Mokrzeszów pełnił tę funkcję, ale nie istnieją żadne dokumenty, które mogłyby to potwierdzić.

– Myślałam, że produkowano tu Niemców – zdziwił się Organek. – Czy nie tym zajmował się Lebensborn?

– Dokładnie tym. Tyle że Niemców produkować można było, że się tak nieładnie wyrażę, z plemnika albo z wychowania. I tutaj działa się to drugie – zakończyła, kiwając głową do własnych myśli.

– Panienka wybaczy moje pytanie – odezwała się cicho starsza kobieta – ale mówiła, że jest niemieckiego pochodzenia. To było kłamstwo?

– W zasadzie kłamstwo – odpowiedziała Linda bez krzty zażenowania. – Mój dziadek przebywał w jednym z ośrodków Lebensborn, ale ostatecznie go nie zgermanizowano. Zostawił sobie niemieckie nazwisko, żeby pamiętać, jakich zbrodni dopuścili się hitlerowcy.

– Czyli pani pradziadek nie nazywał się Herman Kurtz? – upewniła się staruszka.

– Nie, a przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. Mój dziadek nazywał się Bernard Miller. A ten Kurtz to ktoś istotny? – rzuciła, kierowana przebłyskiem intuicji.

– Podobno był strasznym potworem – poinformowała mokrzeszowianka. – Po jego śmierci nazwano tak chłopca, którego okropnie skatował. Takie to poczucie humoru mieli naziści. – Kobieta splunęła pod nogi. – A ten chłopiec, ten mały Herman, po wojnie wrócił do Polski.

– Naprawdę?! – Na twarzy Lindy wykwitły wielkie rumieńce. – O borze cienisty, wie pani, jak go odnaleźć?

– Nigdy go nie szukałam – odparła zaskoczona kobieta. – Ale słyszałam, że używa polskiego nazwiska.

– Błagam, niech pani powie, że je pamięta! – W oczach rudzielca błyszczała ekscytacja.

– Pamiętać nie pamiętam – wyznało z żalem źródło wiedzy nieocenionej. – Wiem jednak, że urzędnicy po wojnie byli leniwi i nie lubili się wysilać. Zmienione nazwiska brzmiały podobnie do niemieckich. Czyli byłoby to najpewniej coś z „kurz...”.

– Jezus Maria, niech pani nie kończy! – krzyknął Organek. Wyglądał przy tym, jakby zobaczył ducha.

Linda też już pojęła znaczenie tych słów i nagle zakręciło jej się w głowie.



Berlin, 10 lipca 2010

*„Maszerujemy za Hitlera przez cierpienia i noc,
Niosąc sztandar wolności i chleba”.*

Przez całą drogę rozmawialiśmy. Doktor Gregor pozwolił mi pytać o wszystko i nie unikał odpowiedzi na żadne pytanie.

Początkowo nieśmiało, z czasem coraz pewniej pytałem o losy Polaków, polskich dzieci, o obozy. Wtedy też dowiedziałem się, czym było Auschwitz i gdzie wywieziono mamę. To dziwne, ale nie tęskniłem za nią. Nie potrafiłem sobie przypomnieć jej twarzy, taty też już nie pamiętałem.

Doktor kazał mi nazywać siebie „Vati”^{}, żebym jak najszybciej się przyzwyczaił. Na początku czułem się nieswojo, unikałem więc bezpośrednich zwrotów. Z czasem zaczęło przychodzić mi to naturalnie.*

– Dlaczego mnie zabrałeś? – zapytałem, kiedy zebrałem się na odwagę.

Wzdłuż drogi ciągnęły się hektary pól. Ciekawiło mnie, jak będą wyglądać latem, czy rośnie tu owies, czy może kukurydza.

– Chcę, żebyś został moim synem – odpowiedział miękko, nie odrywając wzroku od drogi.

– Mogłeś wziąć kogoś młodszego, nieznającego swojej przeszłości – naciskałem.

– Mogłem, ale chciałem ciebie.

– To dlatego, że mam tak samo na nazwisko? – wypaliłem.

Vati roześmiał się wesoło i pogłaskał mnie po miedzianych włosach.

*– Nein, mein Junge^{**} – odrzekł poważnie. – To był przypadek i zupełnie nie miał wpływu na moją decyzję. Jesteś mądrym chłopcem, a ja zawsze chciałem mieć mądrego syna.*

Ta odpowiedź nieco mnie oszołomiła, a jednocześnie wlała w serce radość. Po raz pierwszy w życiu ktoś nazwał mnie mądrym.

Podczas tej prawdziwie męskiej podróży dowiedziałem się, że doktor wraz ze swoją żoną, o której mówił „Haschen” (co, jak dowiedziałem się później, miało związek z panińskim nazwiskiem jego żony, która nazywała się Hase, czyli Zajac), nie mogli mieć dzieci. W rządzonych przez Hitlera Niemczech pary małżeńskie miały obowiązek zapewnić Führerowi kolejne pokolenia wyznawców, a jeśli nie mogły same, opiekuńcze państwo przychodziło im z pomocą. W ten sposób zarządzenie Heinricha Himmlera z dnia dziewiętnastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku uprawomocniło ośrodki Lebensborn jako jedyne, które miały służyć germanizacji dzieci z tzw. Warthegau.

Pod dom doktorstwa Millerów dojechaliśmy na krótko przed świtem. Mała chatka otoczona urokliwym ogródkiem wyglądała jak z bajki. Na progu oczekiwała nas żona Gregora, opatulona wełnianą chustką. Kiedy podszedłem do niej, w jej oczach zaszklily się łzy.

Doktor zaprowadził mnie do maleńkiego pokoiku, w którym mieściły się jedynie łóżko i niewielka szafka.

– Będzie musiał ci wystarczyć, Walt – szepnął do mnie przepraszającym tonem, a ja starałem się nie rozpłakać. Wzruszenie odebrało mi głos.

Umyłem się w ciepłej wodzie, a pani Miller przyniosła mi czystą piżamę. Pozwoliła mi nie myć zębów, a ja skrzętnie z tego skorzystałem. Zasnąłem niemal natychmiast i obudziłem się dopiero następnego dnia. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem, szukałem łóżka Bartka i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że znów mam dom.

Dla Himmlera było istotne, kto wychowywał porwane dzieci – każde z nas miało przecież zostać niemieckim patriotą. Państwo Inge i Gregor Miller najwyraźniej na opiekunów się nadawali. Moja przybrana matka, kobieta o spokojnym, przyjemnym usposobieniu, była nauczycielką w pobliskiej szkole. Gregor należał do najbardziej cenionych lekarzy Lebensborn i jak wszyscy ludzie Himmlera należał do SS. To jednak, jak bardzo szybko odkryłem, była jedynie zasłona dymna, a prawdziwy stosunek do Hitlera i jego fanatyzmu moi przybrani rodzice mieli zgoła odmienny.

*Był środek roku szkolnego, a ja musiałem szybko zacząć się asymilować. Mutti^{***} pomagała mi pracować nad akcentem i przygotowywała do rozpoczęcia nauki w nowej szkole. W Niemczech Hitlera dzieciństwo kończyło się w wieku dziesięciu lat, kiedy włączano nas do Jungvolk, młodszej sekcji Hitlerjugend. Jednak większość dzieci już w wieku pięciu, sześciu lat poddawana była nagminnej*

indoktrynacji i uczona miłości do Führera. Mieliśmy ślepo wierzyć, i zazwyczaj tak właśnie się działo, w słowa hymnu, którego ostatnia linijka brzmiała: „Nasz sztandar znaczy więcej niż śmierć”. Śmierć dla Hitlera nie znaczyła zupełnie nic.

Dzięki pozycji Gregora do Jungvolku wcielono mnie już po kilku dniach. Wiedziałem, czego się spodziewać i jak powinienem się zachowywać, żeby nikt nie odkrył podstępu mojego nowego ojca. Nie musiał mi mówić, żebym milczał na temat przeszłości, sam wiedziałem o tym aż za dobrze. „Ich bin ein Waisenkind”^{***}, powtarzałem w kółko i na tym dociekania się kończyły. Była wojna, ludzie ginęli i sierot nigdzie nie brakowało.

Życie w Volku przypominało życie harcerza – wolne od rodzicielskiej kontroli, za to pełne absorbujących zajęć, pośród których najważniejsze były wędrówki, mające nauczyć nas wytrwałego maszerowania, i wszelkie dyscypliny sportu. Trenowano nas na wytrzymałych, silnych i sprawnych.

Na marginesie szkoleń fizycznych trwała nieustająca indoktrynacja, która miała przygotować nas do kolejnego etapu: zasilenia szeregów Hitlerjugend. Wpajano nam przekonanie o boskości Führera, wyższości rasy aryjskiej nad każdą inną i potrzebie oczyszczenia Europy ze złej krwi. Tą złą była oczywiście moja, polska, ale nikt nie miał o tym pojęcia. Zapytałem o to kiedyś Gregora, a on bez mrugnięcia okiem odpowiedział:

– Ludzie są ludźmi bez względu na ich kolor skóry, pochodzenie, religię i przekonania. Ci, którzy głoszą co innego, powinni samych siebie uznać za niewartych życia.

Zapamiętałem te słowa na zawsze, tak samo jak zapach Apfelstrudla mojej Mutti, miękkość jej skóry, ciepło ramion i słoność łez, które roniła nad każdą moją raną, kiedy spadłem z drzewa albo wywróciłem się na rowerze.

Po pół roku w Volku nadszedł czas próby. Pierwszy i najważniejszy egzamin wyznawcy Hitlera nazywał się Mutprobe, próbą odwagi, i polegał na skoczeniu na główkę do basenu miejskiego z deski umieszczonej dziesięć stóp nad wodą. Pozytywnie zakończona próba oznaczała, że staliśmy się pełnoprawnymi członkami Hitlerjugend.

Ze względu na status moich rodziców nauczyciele traktowali mnie dobrze, choć zdarzało się, że i ja „zasłużyłem” na karę. Bicie uczniów było obowiązkiem nauczycieli, a gorliwi wyznawcy Hitlera nie widzieli w tym nic złego.

Pewnego dnia wróciłem do domu obolały i zapłakany, a moja Mutti natychmiast zareagowała.

– Gregor! – krzyczała do ojca, który oglądał siniaki na moich przedramionach. – Musisz coś z tym zrobić! To bestialstwo!

– Niewiele mogę, moja Haschen, dobrze wiesz, że nie wolno nam się zdradzić. Żaden rodzic nie okaże dziecku współczucia, a najczęściej jeszcze poprawi.

Gregor oczywiście niczego nie poprawił, ale w innych domach było to normą. Skoro uczeń zasłużył na chłostę od nauczyciela, znaczyło to, że przyniósł hańbę swoim rodzicom.

– Nie martw się, synku. – Inge głaskała mnie po głowie. – Będę cię odpytywać każdego ranka, żeby Herr Bruck już nigdy nie miał powodu do złości.

Byłem dobrym uczniem, od początku zdradzałem zamiłowanie do historii, ciekawiła mnie polityka i coraz lepiej władałem niemieckim. Nauczyciele szybko zauważyli, że mam dryg do języków, więc jeszcze przed gimnazjum zaczęłam pobierać lekcje łaciny i greki. Moim nauczycielem został ksiądz Keiser, który cieszył się w miasteczku opinią wyjątkowo surowego i wymagającego nauczyciela, jednak przede wszystkim jego serce biło dla narodowego socjalizmu, a umysł przesycony był antysemityzmem.

– Zwróć uwagę na ich nosy – powtarzał niemal za każdym razem. – Mają kształt szóstki do góry nogami, chociaż niektórzy z pomocą szatana opanowali sztuczki, żeby skryć się między nami.

Jedną z takich sztuczek miało być wyhodowanie jasnych włosów, co wydawało mi się zupełnie niemożliwe, bo przecież człowiek nie ma wpływu na to, jakiego koloru wyrosną mu włosy.

– Czy ja jestem Żydem? – zapytał Gregora któregoś dnia.

– Skądże, jesteś Niemcem! – zapewnił mnie natychmiast. – Jesteś Niemcem polskiego pochodzenia.

– Ale nie mam jasnych włosów – zauważyłem celnie.

– Adolf Hitler też nie ma – rzuciła oschle Inge i na tym właściwie temat się zakończył.

Rodzice nigdy nie pokazali mi, że martwili się, czy moje miedziane włosy nie staną się tematem dociekań, dopiero po wojnie Gregor wspominał, jak każdego dnia z drżeniem serca czekał na mój powrót.

– Najważniejsze było to, żeby Himmler zobaczył w tobie Niemca – powiedział mi w dniu, w którym wyjeżdżałem do Berlina na studia. – Na szczęście wszystko poszło gładko, a ja mogłem odetchnąć i ze spokojem myśleć o twojej przyszłości.

Dopiero po tej rozmowie przypomniałem sobie jedyną wizytę szefa SS w naszym domu. To było krótko przed końcem wojny. Odwiedził mojego ojca w drodze do któregoś z ośrodków Lebensborn. Inge upiekła z tej okazji placek,

a Gregor wrócił wcześniej do domu. Mnie nie wolno było wyjść, dopóki Vati mnie nie wezwie. Siedziałem w swoim pokoju, ubrany w mundur i gotowy do wyrecytowania formułek, których uczyłem się od kilku dni.

Docierały do mnie strzępki rozmowy – brzmiała zwyczajnie, jakby sąsiedzi opowiadali sobie, jak płynie im życie. Gregor opowiadał o moich postępach w nauce, o zdolnościach lingwistycznych i wyróżnieniach w zawodach sportowych. W końcu poproszono mnie, a ja wmaszerowałem, jak przystało na członka Hitlerjugend, z podniesioną głową, skupionym spojrzeniem i miną zwycięzcy.

Ubrany w czarny mundur mężczyzna otaksował mnie wzrokiem, zatrzymał go na wysokości moich oczu, po czym orzekł:

– Ma oczy matki. Widać w nich inteligencję.

Kolejne lata nauki zlewają mi się w ciąg obrazów. Do gimnazjum dostałem się bez problemu, wciąż szlifowałem języki klasyczne, a po zakończeniu wojny wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą, bo zniknęła wisząca nad naszymi głowami groźba zwerbowania mnie do SS. Tego Gregor obawiał się najbardziej.

Kiedy Niemcy opłakiwali klęskę i drżeli przed nieuchronnymi karami, my świętowaliśmy. Tata wyciągnął wino, które jeszcze przed wojną dostał od przyjaciół z Bordeaux, i obwieścił:

– Jesteśmy wolni!

Nie była to do końca prawda, w ciągu następnych dwóch lat Gregor wielokrotnie był przesłuchiwany, uznano go jednak za niewinnego. Po powrocie z jednego z procesów tak o nim opowiadał:

– To było dziwne przeżycie, czułem się, jakbym był równocześnie oskarżonym i oskarżającym. Na początku mi nie uwierzyli. Bo jak to: esesman gardzący nazizmem? Lekarz Lebensborn uznający kradzież dzieci za zbrodnię? Dopiero gdy opowiedziałem im o tobie, Walt, uznali mnie za ofiarę Hitlera.

Słuchałem tych słów w ogromnym napięciu i widziałem, że jego także wiele to kosztowało. W dodatku było coś jeszcze.

– Synu – odezwał się cicho, a jego głos zdawał się łamać – chcesz wrócić do Polski?

Zdębiałem. To pytanie nigdy wcześniej nie padło, a ja ani razu o tym nie myślałem.

Zerknąłem na Inge, która ścisnęła chusteczkę, a jej oczy były pełne łez.

– Nie, tato – odpowiedziałem z zaskakującym zdecydowaniem. – Jestem Niemcem polskiego pochodzenia i nic nigdy tego nie zmieni.

Tego dnia otworzyliśmy drugą butelkę wina z Bordeaux i postanowiliśmy, że zbrodnie Lebensborn zostaną ujawnione.

* Vati (niem.) – tata, tatuś; zdrobnienie od *Vater*.

** Nein, mein Junge (niem.) – Nie, mój chłopcze.

*** Mutti (niem.) – mama, mamusia; zdrobnienie od *Mutter*.

**** Ich bin ein Weisenkind (niem.) – Jestem sierotą.

NAZWISKA MAJĄ ZNACZENIE



– Coś nie tak powiedziałam? – zapytała mokrzeszowska autochtonka z wyraźnym strachem.

– Nie pani wina... – mruknęła oszołomiona Linda. – Skąd pani mogła wiedzieć, że my tę swołocz znamy?

Teraz kobieta wyglądała, jakby doznała szoku.

– Swołocz? Herman? – niedowierzała. – Panienska jest pewna, że my o tej samej osobie myślimy?

– Pewności nie mamy, ale na przypadkową zbieżność raczej bym nie liczył – odpowiedział Organek. – Coraz bardziej mi się wydaje, że przypadków w tej całej sprawie nie ma wcale, a ten galimatias to jakaś grubsza afera.

Słowo „galimatias” wyraźnie zainteresowało kobiety. Rozejrzała się nerwowo wokół siebie, pochyliła do przodu i ledwo słyszalnym szeptem zasugerowała:

– Może wejdziemy do kaplicy, coby nikt nas nie usłyszał?

Linda wymieniła spojrzenia z Jeremim, kiwnęli do siebie głowami i przyjęli propozycję. Kobieta ruszyła przodem, za nią Linda, a na końcu Jeremi. Zamknął drzwi, starając się zrobić to jak najciszej, po czym wszyscy troje usiedli w ostatniej ławce.

– Państwo mówią, co to za afery, bo coś mi się zdaje, że nie o Hermana Kurza chodzi – zażądała miejscowa. – A może o tego trupa, co go w pałacu znaleźli?

– To i o tym pani już wie? – wyrwało się Lindzie.

– Ja wiem o wszystkim, co się we wsi dzieje – odparła z dumą staruszka. – Zwłaszcza kiedy pojawia się policja.

– Policja pani powiedziała o znalezieniu zwłok? – zdziwił się Jeremi. – Nie wiedziałem, że tacy z nich szczodrzy informatorzy...

– A gdzie tam policja! Oni to zaprzeczą, że coś się dzieje, nawet jak ktoś się o trupa potknie. Edmund mi powiedział.

Nawet najbardziej wprawne oko nie dostrzegłoby oznak zdziwienia na twarzach panny Miller i doktora Organka. Nic zupełnie, stoicki spokój.

– Bo wiecie państwo – kontynuowała kobieta, zgodnie z przewidywaniami swoich rozmówców – Edmund byle kogo do pałacu nie wpuszcza, a najczęściej to w ogóle nikogo poza tymi, co przyjeżdżają czarnymi limuzynami.

– A tego, kto zostawił ciało dziewczyny? – podchwyciła Linda.

– No i właśnie tu jest pies pogrzebany, bo nikogo podobno nie wpuszczał, a klucze ma tylko on i właściciel.

– Myślicie, że wlaź tunelem? – zastanawiała się ruda dziewczyna.

– To raczej mało prawdopodobne – ocenił patolog. – Wniesienie ciała po drabince wymagałoby użycia ogromnej siły, nie mówiąc już o samej drodze. Moim zdaniem wyjaśnienie jest tylko jedno: sprawca miał klucz.

– Na pewno nie od Edmunda – zastrzegła natychmiast kobieta. – On jest tak wystraszony, że o mało się nie przekreślił. Podobno właściciel był wściekły.

– A kto to jest ten właściciel? Zna go pani? – zainteresowała się Linda.

– Jakiś Niemiec, ale nigdy go nie widziałam. A Edmund pary z pyska puścić nie chce, mówi, że ten sekret zabierze do grobu.

Jeremi pokiwał głową, trochę ze smutkiem, trochę z podziwem. Umiejętność dochowania cudzych sekretów zawsze uważał za jedną z największych cnót.

– Jak tak dalej pójdzie, to nigdy się nie dowiemy, kim była rusałka – stwierdziła kwaśno Linda, marszcząc czoło. Poczowała na sobie spojrzenie kobiety i wyjaśniła prędko: – Tak mówimy z Jeremim o tej biedaczce, którą znalazłam w szpitalu.

Staruszka przez chwilę milczała, po czym zachichotała.

– I niech mi ktoś powie, że nazwiska nie mają znaczenia – rzuciła ze śmiechem. – Aleście trafili!

– Pani wie, jak ta dziewczyna się nazywa? – Linda wytrzeszczyła bursztynowe oczyska. – Dlaczego pani nic nie mówiła?

– A co miałam mówić, skoroście nie pytali? – odparła kobieta z rozbijającą szczerością.

– Fakt – poparł ją Jeremi. – Teraz jednak pytamy. Jak więc nazywa się ta nieszczęśnica?

– I kim jest? – dodał rudzielec.

Leciwa mokrzeszowianka cmoknęła głośno, poprawiła usadowienie na niezbyt wygodnej ławce, po czym z powagą oznajmiła:

– Wasza rusałka nazywała się Magdalena Rusyniak i pracowała jako sprzątaczką w pałacu. Przychodziła tam dwa razy w tygodniu, sprzątała część mieszkalną, a przed zjazdami czarnych limuzyn także resztę parteru.

– Część mieszkalną? – podchwyciła Linda. – To tam ktoś mieszka?

– A myśli pani, że dlaczego włązy do tunelu są naprawione?

– Do kogo należy ta garsoniera? – zapytał rzeczowo Organek.

Kobieta wzruszyła ramionami i wyglądało na to, że naprawdę nie zna odpowiedzi. Na każdy kłopot jest jednak rozwiązanie i w tym wypadku nie było inaczej.

– Jeśli państwo chcecie, to mogę zapytać Edmunda – zaproponowała.

– Myśli pani, że nam powie? – powątpiewała Linda.

– Jak go odpowiednio zaszantażujemy, to powie nam nawet, kim jest właściciel pałacu. Już moja w tym głowa.

Tak Jeremi, jak jego współpracownicy nie mieli żadnych wątpliwości, że kobieta uzyska od Edmunda, czyli niesławnego cicia, wszystko, czego tylko będzie potrzebować. Bardzo ich to ucieszyło, a rosnące podekscytowanie dodało dwojgu przestępców, w dodatku recydywistów, energii i wigoru. Teraz wystarczyło dostać się do pałacu, złapać Edmunda i spokojnie wrócić do Wrocławia. A panią prokurator będą martwić się później.

TO NIE ONA



Podkomisarz Bączek walczył z przykrym uczuciem zgagi, które towarzyszyło mu zawsze, gdy za bardzo się zdenerwował. Albo podniecił, a aktualnie poziom jego ekscytacji sięgał zenitu.

Informacja o tym, że sąsiadka Anety Piotrowskiej może pomóc dostać się do mieszkania kobiety, ucieszyła obu policjantów jak mało co. Wilczyński niemalże zaczął tańczyć z radości.

Paulina Brąś, bo tak nazywała się właścicielka puchatego pieska, cofnęła się do kuchni po klucze i już po chwili wróciła w towarzystwie włochatej kulki, radośnie merdającej ogonem.

Kulka natychmiast podbiegła do Wilczyńskiego i zaczęła domagać się pieszczot.

– Ale z ciebie żebrak, Aspiryno – zestrofowała psa dziewczyna. – Panowie jeszcze gotowi pomyśleć, że wcale cię nie głaszczę, niewdzięczny futrzaku.

– A gdzieżby znowu! – zaoponował wyszczerzony nadinspektor. – Miłości nigdy za wiele, prawda, psinko?

– Powie nam pani, skąd wybór imienia? – Bączek od początku czuł potrzebę zadania tego pytania.

– Jasne, to żadna tajemnica – odparła wesoło dziewczyna, wychodząc na klatkę. – Ani specjalna rewelacja, tak w gruncie rzeczy. Niech pan potrzyma psa, bo jak tam wpadnie, to z radości zdemoluje pół mieszkania – poprosiła Wilczyńskiego.

Pies jakby zrozumiał, bo podbiegł do policjanta i wspiął się na tylne łapki.

Wilczyński uniósł sapiącą chmurkę, pozwalając zlizywać sobie pot z czoła.

– Zapraszam panów – rzuciła panna Brąś, kiedy drzwi do mieszkania Piotrowskiej stanęły otworem. – A wracając do imienia mojego pupila, to wyobrażają sobie panowie inne imię dla psa farmaceuty?

Rzeczywiście, znając te okoliczności, należało uznać, że Aspiryna jest imieniem całkiem trafionym. Ewentualnie mogłyby być jeszcze Atropina, Luteina, a dla samca Enterol, względnie Antybiotytk.

Mieszkanie Anety Piotrowskiej było lustrzanym odbiciem tego, które właśnie opuścili. Nawet meble wyglądały na kupione w tym samym sklepie, co zapewne wynikało z faktu, że właścicielem obu była jedna osoba.

– Niech panowie się rozejrzą, a ja podleję kwiatki – oznajmiła Paulina. – Fiołka już nie odratuję, ale dracena może jeszcze odżyć.

Policjanci skwapliwie skorzystali z możliwości obejrzenia mieszkania, w szczególności zaś interesowały ich zdjęcia jego lokatorki. Znaleźli je w sypialni, ustawione w kolorowych ramkach.

– To nie ona – stwierdził natychmiast Bączek, a zawód w jego głosie odbił się od podłogi. – Cholera jasna, ona nawet nie jest podobna...

Aneta Piotrowska rusałki rzeczywiście nie przypominała. Jej włosy były co prawda jasne, ale układały się w ogromne afro. Dziewczyna miała ładną twarz z wyraźnie zarysowaną szczęką, podczas gdy buzia pacjentki na stole Baczmańskiego przypominała idealny owal.

– I co? – zagadnęła Brąś, wetknąwszy głowę do sypialni.

– Niestety to nie jej szukamy – odpowiedział ze smutkiem Wilczyński.

– Ale to chyba dobrze? – Dziewczyna zmarszczyła nos. – Przynajmniej wiemy, że nie jest martwa.

– Skąd...? – zaczął i urwał Bączek. – No tak, rodzina policjantów.

– No. – Wyszczrzyła się Paulina. – Ale wciąż nie wiemy, dlaczego jej nie ma.

– Może pani zgłosić zaginięcie – podsunął Bączek.

– Albo odszukać chłopaka – zasugerował Wilczyński.

– Zrobię jedno i drugie – zdecydowała dziewczyna. – Właściwie dobrze, że się panowie zjawili. W życiu nic nie dzieje się bez powodu.

Policjanci pokiwali głowami, omietli mieszkanie ostatnim spojrzeniem i tym razem definitywnie pożegnali się z Pauliną Brąś oraz jej puchatym czworonogiem.

Wsiadając do samochodu, Bączek wybrał numer Kaliny Rumin i krótko zameldował:

– To nie ona. Szukamy dalej.

Prokuratorka rozłączyła się bez słowa. Akurat zjawił się ślusarz i za chwilę miało nastąpić otwarcie tajemniczej furtki prowadzącej do jeszcze bardziej tajemniczej komnaty.

PRZEDSTAWIENIE CZAS ZACZAĆ



Jeremi wraz z Lindą i ich nową współniczką jak gdyby nigdy nic opuścili kapliczkę, przeszli przez cmentarz, przemaszerowali dystans dzielący ich od ogrodzonego szpitala i weszli prosto na policjantów wpuszczających do środka ślusarza.

Ponieważ nie mieli już na sobie białych kombinezonów i zachowywali się jak zwykli zbłąkani turyści, stróże prawa nie zwrócili na nich uwagi. W dodatku zjawili się w towarzystwie pani Kukli, co samo w sobie było już najlepszym dowodem, że to żaden element przestępczy.

Pani Kukła wymieniła powitalne formułki z funkcjonariuszami, których znała po imieniu, prawdopodobnie zresztą od ich urodzenia, po czym zażądała widzenia z Edmundem. Akurat wałęsał się po dziedzińcu, usiłując zaglądać do środka przez okna, więc szybko udało się wykonać rozkaz leciwej mieszkanki.

– Tylko niech się pani streszcza, pani Kuklowa – bąknął, gdy znalazł się za ogrodzeniem. – Ja tu muszę spraw pilnować.

– Bardzo dobrze to panu dotychczas wychodzi – wypaliła Linda, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– A ta tu czego szuka? – warknął cięć, piorunując rudzielca wzrokiem. – Trzeciego razu nie będzie.

Panna Miller wrzuciła ramionami i postanowiła już się nie odzywać. Niech sobie ten Edmund sapie, ile dusza zapragnie, zobaczymy, jaki będzie hardy za chwilę.

– Oczywiście powiedziałaś, Edmundzie, że znasz tę nieszczęsną dziewczynę? – zapytała jadowitym tonem staruszka.

Cięć wyraźnie się zmieszał, jeszcze wyraźniej zaczerwienił, co właściwie nie wymagało już dodatkowego komentarza.

– Czego chcesz, babo? – warknął paskudnie.

– Informacji – odparła bez mrugnienia okiem.

– Jakiej znowu informacji?

– Kto mieszka w tej garsonierze?! – wyręczyła ją Linda.

Nagle zza ogrodzenia doleciały ich głosy: jeden damski i jeden męski. Każdy z nich zdradzał zdenerwowanie.

Linda z Jeremim nie zamierzali dać się złapać *in flagranti*, wystrzelili w kierunku toyoty i zanim prokuratorka pojawiła się po tej stronie blachy falistej, odjechali z piskiem opon.



– Chyba zapomniał pan mi o czymś powiedzieć – wycodziła Kalina.

Ciec skulił się w sobie, łypnął na panią Kukłę, u której jednak pomocy nie znalazł, po czym spojrział na oskarżycielkę, siląc się na hardość.

– Kiedy zamierzał nas pan poinformować, że ktoś tu mieszka? – kontynuowała coraz bardziej wściekła Rumin. – I czy mnie się zdawało, czy przed chwilą była tu rudowłosa dziewczyna?

Odpowiedzi na żadne z tych pytań nie nadchodziły. Pani Kukła udawanie zniedołężniałej staruszki bez piątej klepki opanowała znacznie lepiej niż Orgonek, zatem nie wydawała się nikim istotnym.

Co innego cieć, jemu czarnowłosa Kalina nie zamierzała odpuścić. Wydrze z niego wszystko. A jeśli nie ona, to z pewnością zrobi to Bączek. Już on ma te swoje czary-mary.

Robiło się późno, pora proszonej kolacji u Kurzawy nieuchronnie się zbliżała, prokuratorka wydała więc polecenie zawiezienia ciecia do komendy, sama zaś udała się do domu w celu zmiany odzienia. W kwestii przyparcia swojej „siostry” do muru także miała plany, te jednak mogły poczekać do jutra. W końcu dziewczyna nie ucieknie, choćby nawet spróbowała.

Na progu domu Mieczysława Kurzawy Kalina zjawiła się z siedmiominutowym poślizgiem. Linda czekała na nią na ulicy, chodząc tam i z powrotem wzdłuż równo przyciętego żywopłotu.

– Już mnie chyba zauważyli – poinformowała panna Miller swoją „osobę towarzyszącą”.

– Nie tylko oni, ale o tym porozmawiamy sobie później – rzuciła prawniczka półgębkiem. – Gotowa? To idziemy, przedstawienie czas zacząć.

Ledwo Linda dotknęła dzwonka, a drzwi otworzyły się na oścież, ukazując uśmiechnięte twarze Mieczysława Kurzawy i jego żony.

– Pani profesor! – krzyknął rudzielec na widok kobiety. – Co pani tu robi?!

– Dzień dobry, Lindo – odpowiedziała uśmiechnięta sześćdziesięciolatka. – Zdaje się, że mieszkam, i to już dosyć długo.

Nagle wzrok kobiety padł na zbliżającą się od furtki czarnowłosą postać. Kurzawa też ją zauważył i uśmiech zniknął z jego wąsatej twarzy.

– Dzień dobry, Kalina Rumin – przedstawiła się prokuratorka. – Mam nadzieję, że nie gniewają się państwo za tę niespodziankę, ale trochę się bałam puścić siostrę samą.

– Siostrę? – Kurzawę wyraźnie zatkało.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę, Lindo. – Jego małżonka także wydawała się zaskoczona.

– A tak, przyrodnią – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem dziewczyna. – Mój tatuś sprawił mi ich całkiem sporo, ale z Kaliną trzymamy się blisko.

– Przyrodnią, ach tak – bąknął siwy patolog. – Zapraszam, niech panie wejdą, zaraz naszykujemy jeszcze jedno nakrycie.

Małżeństwo cofnęło się, robiąc przejście dla przybyłych. Linda weszła pierwsza, zaraz za nią Kalina i zgodnie z prośbą gospodyni skierowały się prosto do salonu. Kurzawa zamknął drzwi, wyraźnie strapiiony. Zdążył jeszcze wymienić zaniepokojone spojrzenie z żoną, zanim ta zniknęła w kuchni.

– Napiją się panie czegoś? – zaproponował grzecznie.

– Tylko wody – odpowiedziały chórem.

Gospodarz skinął głową i zostawił swoje goście same.

– Niezła rezydencja – szepnęła prokuratorka. – Mógłby tu mieszkać szwadron wojska.

– I właściwie pewnie mieszkał – odpowiedziała Linda równie cicho. – Zanim Niemcy spindolili w podskokach z Breslau, te domy należały do elit SS. Oporów był dzielnicą elitarną i w zasadzie do dzisiaj uznawany jest za jedną z najdroższych. Mieszkają tu lekarze, sędziowie, adwokaci. Pani też by tu pasowała.

Rumin uśmiechnęła się kwaśno. Może i by pasowała, ale jej rodzina już niekoniecznie.

– Bardzo proszę, niech panie siadają – rozległ się miękki głos pani domu, a wraz z nim wewnątrz wypełnił zapach pieczonego mięsa. – Mam nadzieję, że nie są panie wegetariankami?

Na widok, bo niestety nie pod wpływem zapachu wybornego pieczonego mięsa, które podano w owalnej kamionce, Linda pomyślała, że natychmiast

zrezygnowałyby z wegetarianizmu, gdyby kiedykolwiek strzelił jej do głowy taki pomysł. Na szczęście nie strzelił.

– O Matyldo, a cóż to za wspaniałości? – zapytała, z trudem panując nad śliniankami.

– To tradycyjna niemiecka potrawa, nazywa się kasseler. Peklowana szynka wieprzowa uduszona w sosie z czerwonego wina – wyjaśniła była nauczycielka Lindy.

– A do tego *gebratener Kohl und Kartoffelklößen* – oznajmił jej mążzonek, niosąc miskę z parującymi kluseczkami ziemniaczanymi.

Oszołomione niemalże królewskim przyjęciem, Linda z Kaliną usiadły przy stole, to samo uczynił Kurzawa. Gospodyni wróciła do kuchni po zasmażaną kapustę i talerz dla niespodziewanego gościa.

Kiedy wszyscy czworo zajęli już miejsca, żona Kurzawy, jak przystało na idealną panią domu, dopilnowała, aby każdy nałożył sobie solidną porcję wszystkiego, zapewniając, że dodatkowa również została przewidziana.

Linda nabiła kawałek kruchego mięsa na widelec, a gdy tylko podrażniła kubki smakowe, na jej twarz spłynęła błogość.

– O święty Wawrzyńcu – jęknęła. – Musiałeś czuwać nad panią profesor, kiedy przygotowywała to danie.

– Panią profesor? – zdziwiła się Kalina. – Pani także jest lekarzem?

– Historykiem – wyjaśniła z uśmiechem gospodyni.

– I to najlepszym na świecie! – dodała Linda. – To dzięki pani profesor zainteresowałam się historią współczesną, a zwłaszcza tematem Lebensborn.

Linda, pochłonięta pałaszowaniem rozpluwającego się w ustach mięsa, nie zauważyła, jak na ostatnie wypowiedziane przez nią słowo zareagowali gospodarze. Kalina jednakże nie spuszczała z nich wzroku i natychmiast wychyciła ich poruszenie.

– Chyba zapomniałaś mi powiedzieć, że żona profesora Kurzawy była twoją nauczycielką – stwierdziła z nutą przygany.

– No w życiu! Pojęcia o tym nie miałam, bo pani profesor nazywała się Irmina Prejs, a nie żadna Kurzawa – zapewniła dziewczyna. – Z całym szacunkiem, panie doktorze.

Irmina Prejs uśmiechnęła się ciepło i pokiwała głową.

– To prawda, wciąż się tak nazywam. Co nie zmienia faktu, że od blisko czterdziestu lat jestem żoną Mieczysława Kurzawy – wyjaśniła.

Wspomniany mążzonek wciąż milczał, ale z jego miny można było wnioskować, że prowadzi w myślach prawdziwą walkę. Bystre oko prokuratorce

dostrzegło to bez trudu.

– Coś pana trapi, doktorze? – zapytała niemal troskliwie.

Dwie pozostałe kobiety spojrzały na patologa – jedna z ciekawością, druga z niepokojem. On sam zaś wyglądał na zaskoczonego.

– Mnie? Trapi? Nie, nie. Musiałem się zamyślić – odpowiedział, lecz nie zabrzmiało to szczerze.

– A może moja obecność pokrzyżowała panu plany? – drążyła prokuratorka.

– Skądże znowu! – zaprzeczył Kurzawa odrobinę zbyt szybko.

– Przy mnie może pan rozmawiać z Lindą o wszystkim. – W głosie czarnowłosej kobiety pobrzmiwała pewność, na jaką mogą sobie pozwolić jedynie ludzie świadomi swojej przewagi.

– No właśnie, o wszystkim – dorzucił rudzielec, przełknąwszy kluseczkę bez gryzienia. – O trupach też, ona zawodowo ma z nimi styczność, więc niech się pan nie martwi.

– A właściwie czym się pani zajmuje? – zagadnęła Irmina, kupując mężowi trochę czasu.

– Jestem prokuratorem. Można więc powiedzieć, że mam z patologami wiele wspólnego.

– Często uczestniczy pani w sprawach... kryminalnych? – Żona Kurzawy wyraźnie starała się skierować rozmowę na inne tory.

– Niestety częściej, niżbym sobie życzyła. Zwłaszcza w sprawach najcięższego kalibru.

– Ma pani na myśli...? – Pani Prejs zawiesiła głos, jak gdyby następne słowo nijak nie mogło przejść jej przez gardło.

– Mam na myśli porwania, grupy przestępcze, handel narkotykami, morderstwa, podrzucanie zwłok w opuszczonych budynkach.

Widelec wypadł Lindzie z ręki, a broda wylądowała w talerzu. Kurzawa widelca nie upuścił, ale zastygł jak woskowa lalka. Celny strzał Kaliny okazał się przebłykiem geniuszu.

– Dobrze, panie Kurzawa, chyba już pora wyłożyć karty na stół – powiedziała Rumin, przybrawszy swój zwykły służbowy ton. – W jakim celu zaprosił pan tu Lindę? Co ma pan wspólnego ze zwłokami z Mokrzeszowa? Dlaczego doktor Organek został wysłany na przymusowy urlop?

– I czy przypadkiem nie nazywa się pan Herman Kurz? – wypaliła Linda, a widelec tym razem wypadł z dłoni Irminy Prejs.

Siwy patolog osłupiał do tego stopnia, że przez chwilę przestał nawet oddychać. Mógłby się biedak udusić, gdyby z tego stanu nie wyrwał go natarczywy dzwonek do drzwi.

Cztery pary oczu odruchowo spojrzały w kierunku przedpokoju, a niewiele mniej oszołomiona od męża Irmina wyszeptała:

– Matko z córką, a kogo tu niesie?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać. Nieco przytłumiony, choć wciąż wyraźny głos zawołał:

– Irka, tu Piotr! Wpuść mnie, potrzebuję pomocy! Gliny już są na moim tropie!

Kalina Rumin oparła łokcie na stole, splotła dłonie pod brodą i gestem zabroniła małżonkom wstać od stołu.

– Państwo pozwolą, że ja otworzę – rzekła ze złośliwym uśmiechem. – Bardzo jestem ciekawa, dlaczego gliny miałyby być na tropie państwa gościa. Powinnam zadzwonić po wsparcie?

Kurzawa i jego żona patrzyli na nią nieprzytomnym wzrokiem. Było jasne, że pojawienie się na ich progu nieoczekiwanego i raczej niezbyt mile widzianego gościa było obojgu nie na rękę. A pojawienie się dwojga niechcianych gości zapowiadało katastrofę.

Nagle patolog odzyskał barwy na twarzy, pochylił się lekko, spojrzął prokuratorce w oczy i stwierdził niemal radosnym tonem:

– Wie pani co? Bardzo dobrze. Doigrał się w końcu, a ja nie zamierzam mu więcej pomagać. Wystarczająco dużo dla łajzy zrobiłem.

Kalina skinęła głową, podniosła się od stołu i poszła otworzyć drzwi.

Na jej widok stojący na progu mężczyzna odruchowo się cofnął i sprawdził, czy nie pomylił domów.

– Dzień dobry, proszę się nie denerwować, dobrze pan trafił – przywitała go z uśmiechem Rumin. – Proszę wchodzić, czekamy na pana w salonie.

– Na mnie czekacie? – Mężczyzna wybałuszył oczy.

– Na pana, na pana. Bo to pan urządzuje w opuszczonym szpitalu w Mokreszowie, prawda, panie...?

– Piotr – wydukał. – Piotr Prejs.

– Czyli wszystko się zgadza. – Kalina zamknęła drzwi i ruszyła w ślad za przybyłym. Na szczęście w drodze do drzwi wysłała wiadomość do Bączka.

WIEM, SKĄD MAM TĘ ŁYŻECZKĘ!



Jeremi wszedł do mieszkania i natychmiast opadło go poczucie, że coś mu umknęło. Może nie było to niewyłączone radio w samochodzie, ale myśl, która co jakiś czas nieśmiało pukała w czoło od wewnątrz.

Staął w progu salonu, który wciąż wyglądał jak po wizycie armii Hunów, skrzywił się brzydko – choć był chyba jedyną osobą na świecie, która nawet skrzywiona olśniewała urodą – wzruszył ramionami i poszedł do kuchni.

Adrenalina nadal buzowała w jego żyłach, o ciśnienie zatem nie musiało się martwić, a więc i kawa wydawała się zbędna. W odróżnieniu od zwłok, rzecz jasna, bo te przecież nigdy nie są zbędne.

Zagotował wodę w czajniku i przez dłuższą chwilę prowadził sam ze sobą ożywioną dyskusję na temat tego, czy lepiej wypić zieloną, czy może jednak czerwoną herbatę. Ostatecznie nasypał do kubka białej, odczekał, aż woda przestygnie, zalał liście, przykrył kubek spodeczkiem, a na spodeczek położył łyżeczkę w łowickie wzorki.

Usiadł na stołku, ale zaraz się podniósł, podszedł do okna, poprawił niesymetryczne ułożenie rzymskiej rolety, znowu usiadł i ponownie wstał. Ewidentnie coś go trapiło.

– O co ci chodzi, chłopie? – strofował sam siebie. – Uspokój się, przecież nic takiego się nie dzieje.

Drugi Jeremi, adresat poprzedniej wypowiedzi, zdawał się z opinią Jeremiego nie zgadzać:

– Nic się nie dzieje? Nic się nie dzieje?! A znikające i pojawiające się zwłoki sprzątaczkę to niby co? Nic?! A martwy Marek Nowak?! A Herman Kurz vel Mieczysław Kurzawa?! Tyle się dzieje, bracie, że ty już tej kuwety nie ogarniasz!

Ten drugi wyraźnie znajdował się pod wpływem Lindy, bo nawet słownictwo od niej pożyczzył, niemniej miał sporo racji.

Od wczesnej młodości systematyczny i uporządkowany Organek opanowywał chaos, zwłaszcza ten myślowy, w najlepszy znany mu sposób, mianowicie w ordynarnym dwa de. Kartka, długopis, strumień świadomości, a później ten strumień należy pokierować.

Ruszył do salonu, chwycił pierwszy kawałek papieru, na jaki trafił, długopis na szczęście miał w kuchni, bo tam rozwiązywał krzyżówki, i rozpoczął opanowywanie chaosu.

Po dwóch minutach przypomniał sobie o herbacie, rzucił się jak po ogień, zdjął spodeczek, chwycił kubek, do którego wrzucił łyżeczkę, i wrócił do swojej świątyni dumania.

– No dobrze, co my tu mamy? – powiedział na głos, odkładając długopis. – Od początku: ktoś podrzucił zwłoki rusałki (zaraz je zabrał), w przełyku rusałki znalazłem klucz, który okazał się otwierać wrota do jaskini rozpuszty (wciąż nie wiemy, czyja to jaskinia). Klucz zaprowadził nas do byłego ośrodka Lebensborn, w którym odbywają się tajemnicze sabaty (to należy sprawdzić). Ktoś się włamał do mojego mieszkania, a zaraz potem do mieszkania Lindy. Czegoś szukał. (Najprawdopodobniej papierów od jej dziadka, ale skąd pomysł, że mogłyby być u mnie?) Marek Nowak zmarł na zawał, chociaż nigdy nie chorował na serce (zdarza się). Zwłoki rusałki zostały podrzucone w dawnym ośrodku Lebensborn (nie wiadomo, czy te sprawy mają ze sobą coś wspólnego). Ktoś szukał klucza, który ja wyjąłem z gardła dziewczyny. Mieczysław Kurzawa jest zrabowanym przez Lebensborn dzieckiem, germanizowanym pod nazwiskiem Herman Kurz. Ten sam Kurzawa vel Kurz zaprosił Lindę na kolację (niby w sprawie wywiadu, ale wcale w to nie wierzę).

Dwukrotna lektura zapisanego tekstu tylko rozsierzdziła Organka. Wcale nie opanował chaosu, a jedynie upewnił się, że to jakiś idiotyzm. Co, do ciężkiej cholery, mają ze sobą wspólnego Marek Nowak i nazistowska organizacja z czasów drugiej wojny światowej?! Dlaczego klucz do pomieszczenia wyglądającego jak plan filmów pornograficznych znajdował się w gardle nieżyjącej dziewczyny? I dlaczego ona właściwie umarła?! I czego Kurzawa chce od Lindy, którą widział dokładnie raz w życiu?

Z nerwów chwycił łyżeczkę i merdał nią z wyjątkową energią, zupełnie ignorując zniecierpliwiony dźwięk obtłukiwania kubka od środka. Merdał i merdał, i merdał, i merdał... W końcu nawet merdanie zaczęło go denerwować, wyciągnął więc łyżeczkę zamaszystym ruchem, kilka listków herbaty odkleiło się od niej, co nie przeszkadzało Jeremiemu machać tą łyżeczką jak batutą.

Machnął kilka razy, szepcząc do siebie postawione wcześniej pytania, po czym nagle zamarł i spojrzął na łyżeczkę, jakby dopiero teraz odkrył jej istnienie.

– Jezus Maria! Jezusmariaiwszyscyświęci! Ja wiem, skąd mam tę łyżeczkę! I wiem, kto urzęduje w garsonierze!

Naładowany gwałtownym rzutem adrenaliny, rzucił się do telefonu i wybrał numer Bączka. Po kilkunastu sygnałach połączenie zostało przerwane.

Wyszukał w internecie numer do komendy, wybrał pierwszy z brzegu i po trzech prośbach o przełączenie do wydziału kryminalnego wreszcie usłyszał w słuchawce upragnione słowa:

– Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu, wydział kryminalny. Katarzyna Śliwka, w czym mogę pomóc?

– O jakże ja się cieszę, że panią słyszę! – krzyknął rozemocjonowany Jeremi. – Mogę pani obiecać, że od dzisiaj śliwki to będą moje ulubione owoce!

– Bardzo dziękuję... – W głosie asystentki słychać było wyraźne zmieszanie. – Pan na pewno na policję chciał dzwonić?

– Tak, droga pani, a konkretnie do podkomisarza Bączka, ale nie odbiera komórki!

– Możliwe, przed chwilą wyjechał. To coś ważnego?

– Tak ważnego jak konieczność chronienia archiwów Watykanu przed ateistami!

– To faktycznie priorytetowe – oceniła bez nuty sarkazmu asystentka. – Podkomisarz pojechał do ZMS-u, może go pan tam złapie. Trafi pan?

– Z zamkniętymi oczami! Jest pani nieoceniona, całuję rączki!

Pani Kasia nie zdążyła podziękować za komplement oraz całowanie rączek, niemniej zrobiło jej się bardzo miło i do końca dnia miała wyśmienity humor.

Orgonek dopił herbatę, wypluł fusy, które zgarnął z ostatnim łykiem, a przy tym cały czas trzymał w dłoni łyżeczkę w łowickie wzory. Ostatni raz zerknął na niemal niewidoczny napis z reklamą firmy farmaceutycznej znajdujący się na rączce i ruszył do samochodu, jakby się za nim paliło.



– Słuchaj, Kazik – zagadnął Bączek, skręcając w Kazimierza Wielkiego. – Nie wydaje ci się, że czegoś nam tu wciąż brakuje?

Wilczyński głowę miał nie od parady, więc natychmiast zorientował się, że „tutaj” oznacza sprawę, nad którą pracują, a nie wewnątrz służbowego pojazdu.

– Mnie to się wydaje, że cały czas mamy więcej niewiadomych niż wiadomych, a od tych wszystkich zwrotów akcji to mi się w globusie kręci.

– No bo tak: Kalina ustaliła tożsamość dziewczyny, ale nic nam to nie daje. Dziewczyna była samotna, żadnych krewnych w zasięgu, sąsiedzi niewiele o niej wiedzą, a ta czarownica z Mokreszowa pary z gęby nie puściła.

– Ważne, że coś już wiemy, a reszta się znajdzie – stwierdził Wilczyński.

– A ten Nowak? Dostał zawału i wszystkie tajemnice zabrał ze sobą do grobu. Żona nic nie powie, bo myśli, że padł w trakcie kopulacji z kochanką.

– Naprawdę tak myśli? – Nadinspektor wytrzeszczył oczy. – Trzeba ją wyprowadzić z błędu, żeby sama zaraz nie chciała nam się wieszać.

– I o co chodzi z tym Mokreszowem? Po kiego dzwona ktoś tę dziewczynę tam zostawiał? Na widoku właściwie?

– A na to pytanie ja chyba znam odpowiedź, Michaś. Gdzie najlepiej ukryć trupa? Pośród innych trupów, na cmentarzu.

– To już we Wrocławiu miejsca brakuje i będziemy rozwozić nieboszczyków po okolicy?

– Zastanów się, Michałek: łatwiej wejść na mały cmentarzyk na zadupiu czy do wielkiej nekropolii z monitoringiem?

Ten argument przekonał Bączka, ale jeszcze nie całkiem.

– Jakbym to ja chciał ukryć trupa, to skorzystałbym z cmentarzyka na jakimś bliższym zadupiu – dywagował podkomisarz.

– Chyba że znałbyś ten konkretny cmentarzyk na tym konkretnym zadupiu i wiedziałbyś, jak się na niego dostać z trupem pod pachą bez zwracania na siebie uwagi wioskowej czarownicy.

Kolejny punkt dla Wilczyńskiego. Nie od parady miał ten swój globus.

– Mam nadzieję, że Remik pomoże nam rozwikłać pozostałe zagadki, bo dosyć mam już tej sprawy... – wyznał Bączek i zatrzymał samochód na jedynym wolnym miejscu przy Mikulicza-Radeckiego.

Jego szef żywił podobną nadzieję, bo i jemu ta patologiczna, nomen omen, sprawa zaczynała doskwierać. Poza tym szykował się do przejścia na emeryturę, do czego jego żona namawiała go bezskutecznie od wielu lat, a z rozgrzebanym dochodzeniem na pewno emerytem nie zostanie. Spać by nie mógł, więc co to za odpoczynek?

W milczeniu przemaszerowali korytarzem Zakładu Medycyny Sądowej, po czym bez pukania weszli do gabinetu doktora Baczmańskiego.

– Witajcie, koledzy! – Patolog ucieszył się jak zwykle, gdy odwiedzali go jedyni akceptowani przez niego policjanci. – Dobrze, że już jesteście, mam dla was kilka ciekawych informacji, choć zagadki tak zupełnie nie udało mi się rozwiązać.

– Może być niezupełnie, dawaj, co masz! – rzucił Wilczyński i usiadł w wysłużonym fotelu.

– Ołów.

– Co: ołów? – Nadinspektor najwyraźniej oczekiwał wykładu wraz z pokazywaniem cynaderek i innych takich.

– Ołów zabił dziewczynę i Marka Nowaka.

– Jak ołów? Spadł na nich? Przygwoździł? Rozwalcował?

– Nie, Kazik. – Bączek złapał już retorykę patologa. – Wzięli i zeżarli coś, co zawierało ołów, i się zatruli. Sałatą na przykład.

– Albo go wdychali – dodał Baczmański. – Metale ciężkie często są wdychane.

– To ile tej sałaty musieliby zeżreć? – Wilczyński w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Ze dwa tiry lekko – odparł patolog poważnie.

– Ty pewien jesteś, Remik? – Bączek nie potrafił sobie wyobrazić dwóch tirów sałaty.

– Mówiłem ci, Michał, że mi się te ich powiększone nereczki i wątróbki nie podobały, więc zleciłem chromatografię gazową i *voilà*. Ołowica, bez dwóch zdań.

– W jaki sposób patolog mógł zatruć się ołowiem? – zastanawiał się Wilczyński. – Wdychać raczej nie miał skąd, chyba że trupy wydzielają ołów. Wydzielają?

– Nie wydzielają – zaprzeczył doktor.

– Względnie żarł tę sałatę, ale to raczej mało prawdopodobne. Ile człowiek jest w stanie wcisnąć w siebie sałaty?

– Znam takich, którzy samą sałatą się żywią – bąknął podkomisarz. – Ale jeśli nie powietrze i nie sałata, to co?

– Ja chyba mogę odpowiedzieć na to pytanie. – Głowa Jeremiego Organka zagłądała do gabinetu, którego drzwi rzadko bywały zamknięte. Poza Bączkiem i Wilczyńskim mało kto miał odwagę się tu zapuszczać.

– O wszelki duch, doktor Organek! – wykrzyknął Baczmański, jakby zobaczył królową Elżbietę II. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Proszę, zapraszam, niech pan wejdzie!

– Bardzo dziękuję, doktorze Baczmański, ale cała przyjemność jest po mojej stronie. – Jeremi wyraźnie spłonął, nie spodziewając się tak ciepłego przyjęcia. – Jest pan moim idolem od wielu lat.

– Ależ, drogi kolego, niech się pan nie wygłupia! – Postrach studentów medycyny machnął ręką, równocześnie jaśniejąc z dumy. – To ja pana podziwiam, taka muzyka, klękajcie narody!

Bączek z Wilczyńskim przynosili wzrok od jednego do drugiego patologa, jakby oglądali pasjonującą rozgrywkę tenisową, i z każdą chwilą zdumienie na ich twarzach zdawało się potęgować.

– Ekhm – chrząknął nadinspektor. – Nie chciałbym przerywać tych uprzejmości, bardzo fajnie, że panowie się tak wzajemnie podziwiają, możecie spółkę partnerską założyć, ale czy pan Organek nie przyszedł tu przypadkiem w jakimś celu?

– W celu, w celu i w dodatku z powodu – potwierdził pośpiesznie Jeremi. – Zdaje się, że wiem, co mogło zatruć Marka Nowaka i Magdalenę Rusyniak. Co by pan powiedział na leki, doktorze? – zwrócił się do Baczmańskiego.

Remigiusz Baczmański zamrugał dwa razy, po czym klepnął się w wysokie czoło.

– Oczywiście! Jest pan genialny, doktorze Organek!

– No dobra, geniusze – zirytował się swoim brakiem geniuszu Wilczyński. – Może od początku i w sposób dostępny dla ludności: jakie leki i co mają wspólnego z naszymi ofiarami?

Bączek zamknął oczy, bo i jego nagle olśniło. Kretyn, imbecyl, powinien był to od razu sprawdzić!

– Migreny, Kazik – szepnął. – Oboje cierpieli na migreny.

*DER ERSTE SCHRITT IST DER SCHWERSTE**

– A wiesz, kto jeszcze cierpi na migreny? – Wilczyński masował skronie, jakby i on właśnie doznawał tej rozkoszy.

– Według statystyk to nawet dziesięć procent ludzi – odpowiedział odruchowo Jeremi. – Ja na przykład też.

– Pan też? To wyrazy współczucia! – Baczmański wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Domyślam się, że nie chodzi ci o doktora Organka. – Bączek patrzył na szefa z uwagą. – Aneta Piotrowska?

Wilczyński pokiwał głową, której wciąż fundował masaż. Zarówno Baczmańskiemu, jak i Organkowi nazwisko wymienione przez podkomisarza zupełnie nic nie mówiło, czekali więc grzecznie na rozwinięcie przez niego myśli. Nie doczekali się jednak, bo telefon Bączka wydał z siebie dźwięk informujący o nadejściu wiadomości. Policjant sięgnął do kieszeni, rzucił okiem na ekran i uniósł brwi.

– O, dzwonił pan – rzucił do Jeremiego. – Nie słyszałem, pan wybaczy. Wiadomość od Kaliny, ale jakaś zaszyfrowana.

– Pokaż! – zażądali równocześnie Wilczyński z Baczmańskim.

Bączek podał telefon nadinspektorowi, a patolog zaglądał mu przez ramię.

– „Brat jest podejrzany, przyjedźcie asap, obiad okej” – przeczytał na głos Wilczyński. – Faktycznie jakieś dziwne. Może za dużo wina u tego Kurzawy wypila?

– Kurzawa nie pije alkoholu – poinformował Organek. – Ale może gościom podał...

– A ten brat? Coś to panu mówi? – dopytywał Bączek.

– Właśnie niewiele... Z tego, co wiem, to on nie ma brata. Jego żona ma – przypomniał sobie nagle. – I ja właśnie z TYM bratem tu do panów

przyszedłem! I z łyżeczką!

– Następny gada hieroglifami... – Wilczyński pokręcił głową z politowaniem.

– Nie, nie! – krygował się Jeremi. – Już wszystko wyjaśniam. Mam w domu łyżeczkę, o, taką. – Wyjął z kieszeni spodni niewielki przedmiot upstrzony łowickimi zdobieniami. – I nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się u mnie wzięła. Dopiero dziś zauważyłem, że ona jest personalizowana: na rączce widnieje logo firmy farmaceutycznej. A ta firma, i tu jest właśnie moja rewelacja, należy do brata żony Kurzawy. Tę łyżeczkę zostawił kiedyś u mnie Marek Nowak, a on ją dostał, kiedy zdecydował się wziąć udział w badaniach klinicznych leku. Nie zgadniecie, na co ten lek ma pomagać...

Nie musieli zgadywać. Musieli natomiast szybko działać. Wiadomość od prokuratora dosyć jasno polecała im niezwłoczną wizytę w domu Kurzawy.

– Lecimy, Remik – rzucił Bączek. – Dzięki za wszystko, jak zwykle jesteś nieoceniony. Panu też dziękujemy, doktorze Organek, ale i tak nie uniknie pan zwierzeń na temat dzisiejszej wizyty w Mokrzeszowie.

Jeremi uśmiechnął się blade.

Nie liczył na to, że mu się upiecze, ale nikłą nadzieję jednak miał.

– A właściwie – dodał podkomisarz, mierząc go surowym wzrokiem – to pojedzie pan z nami. Pogawędzimy po drodze, a na miejscu może pan się przydać.

Na wylewne pożegnania patologów nie było już czasu, Jeremi zdążył tylko skinąć głową Baczmańskiemu i ruszył za policjantami.

Utytułowany postrach wrocławskiego Zakładu Medycyny Sądowej wyglądał na szczerze zasmuconego nagłą ewakuacją kolegów. Tym bardziej kiedy się zorientował, że nie powiedział im o jeszcze jednym odkryciu. Był przy okazji bardzo ciekaw, czy doktor Organek zgodziłby się z jego tezą, że w gardle Magdaleny Rusyniak po jej śmierci znajdował się niewielki metalowy przedmiot. Fakt ten łatwo można by przeoczyć, bo też mało kto wpada na pomysł, żeby pobrać wymazy ze wszystkich ran i otworów, ale doktor Baczmański niedawno ogłądał *Milczenie owiec* i coś go podkusiło.



Piotr Prejs wyglądał na zdumionego, wystraszonego i oczarowanego równocześnie. Urodziwa czarnowłosa kobieta, która z uśmiechem Mony Lisy

otworzyła drzwi domu jego siostry, była idealnie w jego typie. Gdyby tylko miał jakiś typ, bo „ładna, zgrabna i seksowna” to chyba zbyt ogólna kategoria.

– Niech pan siada, panie Prejs – poleciła Rumin. – Pani Irmina zapewniała, że jedzenia nie zabraknie, a pan zapewne głodny?

Wciąż nie do końca rozumiejąc, co się właściwie dzieje, mężczyzna usiadł przy stole i wlepił w siostrę pytające spojrzenie. Irmina wzruszyła ramionami, więc przeniósł wzrok na szwagra. Tu było jeszcze gorzej, szwagier bowiem wyraźnie miał ochotę go udusić.

– Pani jest może jakąś... gospodynią? – zapytał w końcu Piotr, żeby przerwać krępującą ciszę.

– Można tak powiedzieć – zgodziła się Kalina. – Proszę się nie krępować, my już właściwie zjedliśmy. Moją siostrę pan zna?

Prejs pokręcił głową. Rudowłosa Linda wyraźnie nie była „w jego typie”, bo nie poświęcił jej zbyt wiele uwagi. Skinął dziewczynie głową i wrócił do lustrowania twarzy prokuratorce.

– Trudno uwierzyć, że to pani siostra – stwierdził.

– Przyrodnia, z jednego ojca – wyjaśniła Linda.

– Czyli pani urodę musiała wziąć po matce. – Prejs wyszczerzył się nieładnie i puścił oko do Kaliny.

– Strasznie pan niegrzeczny – skwitowała Linda, życząc mu w duchu, żeby udławił się kawałkiem mięsa, który właśnie zniknął w jego paszczy. – Pan chyba też od macochy, bo pani profesor taktu i ogłady nie brakuje.

– Zawsze mówiłem, że musieli go podrzucić – bąknął Kurzawa, wyraźnie zadowolony z uszczypliwości panny Miller. – A teraz, cymbał jeden, wreszcie się doigrał.

– Czy ktosz mi wyjasni, o czo tu chodzi? – Zdezorientowany Prejs jednocześnie usiłował mówić i przeżuwać.

Kalina wcale nie kwapiła się do wyjaśniania, przeciwnie: zamierzała poznać się jeszcze chwilę nad bratem profesor Prejs. Patrzyła na niego w milczeniu, a nieodgadniony wyraz jej twarzy powoli przechodził w wyraźne zniesmaczenie.

Linda tymczasem ze swoimi uczuciami zupełnie się nie kryła. Odsunęła od siebie talerz, wykrzywiając buzię w obrzydzeniu.

– I do tego mlaszcze jak wieprz – westchnęła. – Pani profesor, jest pani pewna, że to pani krewny? DNA pani sprawdzała? Może jednak adoptowany?

Irmina uśmiechnęła się blado, po czym zacisnęła usta. Widać było, że sytuacja mocno ją krępuje.

Zmiótlszy z talerza solidną porcją duszonego mięsa, Piotr Prejs rozparł się na krześle niczym pan na włościach i dopiero teraz dotarło do niego, że to on ma być gwiazdą wieczoru.

– Czemu tak na mnie patrzycie? – zapytał ostrożnie. – Czy ja coś może przerwałem? W takim razie nie ma najmniejszego problemu, już mnie nie ma. Zresztą moja pani na pewno na mnie czeka.

Z trudem odsunął krzesło od stołu i już był gotów się żegnać, kiedy poczuł, że ręka Kaliny przytrzymuje jego ramię.

– Obawiam się, że będzie musiała jeszcze trochę poczekać, panie Piotrze – poinformowała sucho prokuratorka. – Najpierw wyjaśni pan, dlaczego szuka pana policja.

Krew odpłynęła z twarzy mężczyzny, a na ustach zastygło nieme pytanie. Nie próbował nawet sprawdzać siły, z jaką czarnowłosa nieznajoma trzymała jego ramię, tak bardzo był zaskoczony.

– Ach to! – zaryzykował blef i zaśmiał się sztucznie. – To był tylko żart. Chciałem zrobić siostrze dowcip.

Rumin ani na sekundę nie zwolniła uchwytu. Przeciwnie, nacisnęła nieco mocniej, zmuszając dowcipnisa do spojrzenia na nią.

– Panie Prejs – wycedziła – radzę dobrze przemyśleć następne słowa. Dla pana informacji: za chwilę pojawią się tu oficerowie policji prowadzący dochodzenie w sprawie znieważenia zwłok. To jest ten moment, kiedy pan dokładnie przemyśli swoje odpowiedzi, a ja nie oskarżę pana o składanie fałszywych zeznań.

Jeśli Piotr Prejs wcześniej był blady, to teraz wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć. Na szczęście siedział, a po przeciwnej stronie stołu miał lekarza, więc nikt szczególnie się tym nie przejął. Poza Irminą, której oczy wypełniły się łzami.

Pełną napięcia ciszę przerwał nagle ogłuszający dzwonek zapowiadający nadejście gości. Tym razem Kalina nie ruszyła się z miejsca, pozwalając gospodarzom czynić honory. Żona nie czuła się na siłach, drzwi poszedł więc otworzyć Kurzawa, a gdy mijał szwagra, posłał mu najbardziej złośliwy uśmiech, jaki można sobie wyobrazić.

Po chwili, wbrew przewidywaniom wszystkich obecnych, do salonu wszedł elegancki starszy pan, którego strój świadczył o wysokim statusie materialnym, a dobrotliwy wyraz twarzy natychmiast budził zaufanie.

– Dobry wieczór państwu – przywitał się, a choć mówił piękną polszczyzną, czułe ucho Lindy zdołało wychwycić delikatny obcy akcent. –

Nazywam się Walter Miller i jestem ogromnie zaszczycony, że mogę wreszcie panią poznać, panno Miller.

Staruszek rozpiął marynarkę kaszmirowego garnituru i uklonił się dziewczynie. Linda odruchowo skinęła głową i wpatrywała się w przybysza szeroko otwartymi bursztynowymi oczami. Miała ochotę poprosić Kalinę, żeby ją uszczypnęła, ale z wrażenia odebrało jej zdolność artykulacji.

– Pani Lindo – odezwał się Kurzawa, stojący kilka kroków za mężczyzną. – Chciałbym pani przedstawić pani wujecznego dziadka.

– Kogo?! – wypalił rudzielec, wciąż wpatrzony w niezwyklego dżentelmena.

– Brata pani dziadka – odpowiedział miękko patolog.

– Pozwól, Mietku, że sam się przedstawię pannie Lindzie, skoro dotychczas nie wiedziała, kim jestem. – W głosie staruszka słychać było przyganę.

– Nie zdążyłem... – zmieszał się Kurzawa. – Nie wiedziałem, że przyjedziesz tak szybko.

– Dobrze już, dobrze. – Mężczyzna machnął ręką. – Najwyższa pora wyłożyć karty na stół. *Der erste Schritt ist der schwerste.*

* *Der erste Schritt ist der schwerste* (niem.) – Najtrudniejszy jest pierwszy krok.

PRZECIEŻ PAN JEST NIEMCEM!

Stół został uprzątnięty, a na prośbę tajemniczego gościa pani domu postawiła na nim jedynie sześć filiżanek, dzbanek z herbatą i cukiernicę.

– Niech pani od razu przygotuje jeszcze dwa kubki i zaparzy mocną kawę – poradziła Linda. – Pan Bączek herbaty, zdaje się, nie pija.

Irmina Prejs przyjęła przypomnienie o zbliżającej się wizycie policji z głośnym stęknieniem i podreptała z powrotem do kuchni. Jej mążonek również otrzymał zadanie, które wykonał bez szemrania.

Kiedy tylko gospodarze opuścili jadalnię, Walter Miller zajął miejsce naprzeciwko Lindy i spojrzał jej w oczy. Rudowłosa dziewczyna poczuła, jak jeżą jej się włosy na karku, gdy zdała sobie sprawę, że oczy te mają – identyczny z jej – bursztynowy kolor.

– Pan naprawdę jest moim krewnym – wyszeptała.

– Bez cienia wątpliwości – odparł staruszek z uśmiechem. – Teraz może już tego nie widać, ale nie tylko oczy mamy takie same.

– Czyli jest pan moim...?

– Stryjecznym dziadkiem, tak to się chyba nazywa. Jestem młodszym bratem pani dziadka, choć w tym wieku trudno mówić o młodości.

– Ale przecież pan jest Niemcem! – drążyła Linda, mimo że właściwie ostatni bastion jej sceptycyzmu już runął.

– Nie, moja droga. – W bursztynowych oczach mężczyzny pojawiły się wesołe ogniki. – Jestem Niemcem polskiego pochodzenia, a moją historię pozna pani za chwilę.

Jakby tylko na to czekał, Kurzawa wrócił do jadalni, ściskając w rękę grubą kopertę.

– Skąd pan to ma?! – wrzasnęła Linda, rozpoznając skradzioną zawartość sejfów w garażu. – Co ja mówię? Przecież wiem, skąd pan to ma. To on, pani prokurator, to on ukradł dokumenty z mojej pracowni!

– Dokumenty? – udała zdziwienie Kalina. – Mówiła pani, że zginął pani akt urodzenia.

– Pani? – Kurzawa zorientował się, że coś tu nie gra. – To nie są panie siostrami?!

– Skąd!!! – krzyknęły równocześnie.

– Prokurator? – zdziwił się stryjeczny dziadek Lindy.

– Widzę, że nie tylko ja mam tu coś do wyjaśnienia – wtrącił się uradowany tym faktem Piotr Prejs.

– Wygląda na to, że będę miała do państwa więcej pytań, niż zakładałam – stwierdziła ostrym tonem Rumin. – Zacznijmy od tych dokumentów, pani Miller. Dlaczego zataiła pani ich zniknięcie?

Linda bynajmniej nie wyglądała na speszoną, o wiele bliżej jej było do wściekłości. Przeszywała Kurzawę bazylijskowym wzrokiem i cudem nie przepaliła mu czoła na wylot.

– A co miałam pani powiedzieć? – wycodziła w stronę prokuratorki. – Że zniknęła koperta? I co by pani o mnie pomyślała?

– Pewnie o wiele mniej złych rzeczy, gdyby powiedziała pani, dlaczego ta właśnie koperta była na tyle cenna, żeby chować ją w sejfie – wyjaśniła ze stoickim spokojem Kalina.

– W tym właśnie sęk, że ja nie mam pojęcia, czy ona jest cenna, bo nie wiem, co się w niej znajduje.

Czarnowłosa prawniczka spojrzała na Lindę, jakby ta przemówiła w którymś z wymarłych języków. Podobnie patrzyli na nią Kurzawa i Walter Miller.

– Nie otworzyła jej pani? – zapytał zdumiony elegancki starszulek.

Linda pokręciła głową.

– Lak na kopercie jest złamany – zauważył patolog.

– Założę się, że to robota mojego tatusia – bąknęła dziewczyna. – Nie mógł się pogodzić z myślą, że dziadek przekazał ją mnie, a nie jemu. A ja schowałam ją w sejfie i zapomniałam o niej na lata.

– Co jest w tej kopercie? – Kalina się zniecierpliwiła. – Rozumiem, że panowie, w przeciwieństwie do pani Miller, wiedzą?

Kurzawa poruszył głową, co mogło być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. Rumin przeniosła wzrok na Millera, który wpatrywał się w Lindę.

– Doskonale wiem, co znajduje się w tej kopercie, pani prokurator – odpowiedział po chwili. – Wiem, ponieważ sam to do niej włożyłem.



– A więc jak to było z tymi „rozkazami od prokuratora”? – zapytał zaczepnie Bączek, spoglądając na Jeremiego we wstecznym lusterku.

– Wygląda na to, że pan doskonale wie, jak było – odparł w typowy dla siebie sposób Organek.

– W jakim celu weszliście na miejsce popełnienia przestępstwa? – ciągnął niezrażony podkomisarz.

Tym razem odpowiedziała mu cisza. Jeremi utkwiał spojrzenie w szybie i przygryzł dolną wargę, co oznaczało, że intensywnie się zastanawia. Bączek już wcześniej zauważył u niego ten tik, postanowił więc zaczekać. Powstrzymał subtelnym gestem Wilczyńskiego, który szykował się do ponaglenia patologa, i przeniósł wzrok na drogę.

– Wiecie już na pewno o garsonierze – odezwał się w końcu Organek.

Bączek skinął głową do lusterka.

– I o tym, że wcale nie tak łatwo się do niej dostać.

Znów skinięcie.

– A o tym, że ja mam klucz?

Skinięcia nie było, za to w oczach kierowcy pojawiło się zainteresowanie.

– Już i tak mam kłopoty, więc lepiej będzie, jak powiem wszystko – ocenił Jeremi z rezygnacją.

– I wreszcie mówi pan z sensem. – Wilczyński odwrócił się na fotelu pasażera. – Pan nam teraz grzecznie wyśpiewa, skąd mieliście klucz, a my może nie zażądamy zwrotu kosztów ślusarza.

Akurat zwrot kosztów ślusarza najmniej martwił Organka, o wiele bardziej przejmował się ewentualnym oskarżeniem o utrudnianie śledztwa, ale już się stało i nie było sensu brnąć w kłamstwa. Opowieść o znalezieniu klucza, odkryciu runy, a następnie poszukiwaniu tropów tajemnicy z czasów drugiej wojny światowej zajęła niemal całą drogę, a gdy wreszcie dotarł do ostatnich słów, policjanci nie mieli czasu na reakcję, bowiem telefon Wilczyńskiego rozdzwonił się w rytm *Autobiografii Perfectu*.

– Remik? Już się za nami stęskniłeś?! – przywitał swojego rozmówcę nadinspektor i włączył tryb głośnomówiący. – Słyszemy cię wszyscy.

– Słuchajcie, chłopaki, nie zdążyłem wam powiedzieć, że wasza ofiara, ta z Mokrzeszowa, miała po śmierci w gardle metalowy przedmiot – ryczał

z głośnika Baczmański. – Nie wiem, czy to ważne, ale wolałem, żebyście o tym wiedzieli.

– A widzisz, doktor Organek już był uprzejmy nam to przed chwilą powiedzieć – odparł zadowolony Wilczyński.

– O! – Zdziwienie patologa było niemal namacalne. – I odkrył to bez badania?

– A gdzie tam! – Nadinspektor zarechotał. – Organoleptycznie sprawdził, imaginuj sobie, Remik, a nawet ów przedmiot ma przy sobie. Ma pan, prawda?

– Tak, mam – potwierdził Jeremi i sięgnął do kieszeni.

– I co to takiego? – dociekał Baczmański, nieco zawiedziony, że jego rewelacja nie doczekała się należnych zachwytów.

– Klucz, doktorze. Stary taki, żeliwny. – Organek pokręcił kluczem na wysokości oczu Bączka obserwujących go w lusterku.

– Tak, to mógł być klucz. No to w zasadzie tyle miałem wam do zakomunikowania. Szerokości!

Baczmański rozłączył się, zanim Jeremi zdążył zadać mu nurtujące go pytanie. Podobne pytanie musiało kłębić się w głowie Bączka, bo rzucił nagle:

– Remik powiedział, że ten klucz znalazł się w gardle kobiety po jej śmierci. To można ustalić ze stuprocentową pewnością?

– Można – potwierdził patolog. – Sam zamierzałem to zrobić, ale, jak panowie wiedzą, zwłoki mi zniknęły.

Wilczyński nagle roześmiał się głośno i przez chwilę nie mógł się uspokoić. Zaskoczeni Bączek i Organek spoglądali na niego z niepokojem.

– Właśnie sobie wyobraziłem, jak pan wpada do tego Kurzawy i pyta: „Przepraszam, gdzie się podziały moje zwłoki?” – wyjaśnił nadinspektor, wciąż zanosząc się śmiechem. – Niezłą musiał mieć minę.

– Podejrzewam, że podobną do tej, jaką będzie miał za chwilę – odpowiedział z uśmiechem Bączek.

Zatrzymał samochód, zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik.

– Idziemy, panowie. Zaraz odpytamy profesora Kurzawę o konszachty z Lebensborn, a jego szwagra o scenografię filmów porno z prywatnym tunelem na cmentarz.



Berlin, 10 lipca 2010

Dzięki pozycji Gregora, którą zawdzięczał swojemu wspaniałemu charakterowi, wielkiemu sercu i latom pomagania ludziom, zdobyłem najlepsze wykształcenie, a przede wszystkim miałem możliwość pracy z dokumentami.

Władze nowo powstającego państwa zadbały o to, by szybko rozprawić się z hańbiącą historią III Rzeszy, i dotarcie do dokumentów robiło się coraz trudniejsze. Archiwa, do których miałem nieograniczony dostęp, ubożały z każdym dniem, a świadectwa zbrodniczej działalności Lebensborn stawały się coraz trudniej dostępne, rozproszone po lokalnych Jugendamtach, którym nie zależało na ujawnianiu tożsamości zrabowanych dzieci.

Według oficjalnych danych na terenie Polski istniało pięć ośrodków, w których organizacja Himmlera pod przykrywką działalności opiekuńczej zajmowała się germanizowaniem zrabowanych dzieci. Na tej liście Kunzendorf nie widniał, w żadnym dokumencie nie odnalazłem nawet wzmianki, która mogłaby połączyć dawny lazaret ze Źródłem Życia. A przecież ja, Walter Miller, wciąż pamiętający o swojej pierwszej tożsamości, całe życie miałem nosić na plecach blizny od razów otrzymanych w Gaukinderheimie od Hermana Kurza, po którym nazwisko dostał mój najbliższy kolega.

Gregor i Inge, widząc, jak ważne było dla mnie ujawnienie prawdy, włączyli się do walki o odzyskanie tożsamości przez tysiące Polaków wyrwanych z korzeniami, pozbawionych wiedzy na temat swojego pochodzenia.

A Niemcy? Ci, którzy wiedzieli, robili wszystko, by się ze swoją wiedzą nie ujawnić. Ci, dla których Hitler był bogiem, nigdy nie uwierzyli w prawdę. Dla nich Lebensborn ratował sieroty, dawał im dach nad głową, zastąpił rodziców. Skalkulowane okrucieństwo hitlerowskiego fanatyzmu nigdy nie doczekało się zasłużonej kary.

W połowie lat sześćdziesiątych Gregor nagle wyjechał do Polski. Ja i Inge nie mieliśmy pojęcia o celu jego wizyty, a kiedy wrócił, miał dla mnie dobre wiadomości.

– Słyszałeś, synu, o Romanie Hrabarze? – zapytał, kiedy jak zwykle usiedliśmy przy stole, suto zastawionym przez Inge.

Przyznałem, że to nazwisko było mi zupełnie obce.

– Walt, to jest człowiek, który od lat gromadził dokumentację na temat polskich dzieci wywiezionych do Niemiec i Austrii w celu germanizacji – wyjaśnił Vati. – Jest szansa, że pomoże nam znaleźć twoje rodzeństwo.

Bartek i Wandzia – od jak dawna o nich nie myślałem? Nie, nigdy nie zapomniałem. Wciąż pamiętałem paluszki Wandzi wplecione we włosy Bartka, kiedy niósł ją, przerażoną i zmęczoną, na rękach do budynku, który miał być ostatnim przystankiem na drodze w nieznane.

Gregor opowiedział mi o spotkaniu z mecenasem Romanem Hrabarem, pełnomocnikiem polskiego rządu ds. rewindykacji dzieci, i Wiktorem Pietruszką, zastępcą Hrabara, którzy zgromadzili bezcenne dowody działalności uznanej po wojnie za ludobójstwo i zbrodnię przeciwko ludzkości.

– W biurze delegatury PCK w Esslingen Hrabar zgromadził dokumentację dotyczącą najmłodszych ofiar planu Himmlera. Na moją prośbę udostępnił nam wszystko, co udało mu się zebrać na temat Lebensborn, w tym dzieci repatriowanych – zakończył mój ojciec, a ja czułem, że ze wzruszenia nie wyduszę ani słowa.

Współpraca z PCK i innymi organizacjami zajmującymi się odszukiwaniem zrabowanych dzieci pochłonęła Gregora i Inge, a ja musiałem skończyć studia. Nie bez powodu studiowałem historię, nie bez celu zająłem się historią współczesnych Niemiec, jednak zdobycie przeze mnie wykształcenia było dla moich rodziców najważniejsze.

– Herr Doktor Walter Miller! – Gregor pękał z dumy, a Inge nie potrafiła powstrzymać łez wzruszenia.

Tymczasem ja wiedziałem, że to dopiero początek długiej listy zadań do zrealizowania, a na samym jej szczycie widniały dwa imiona: Bartek i Wandzia.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku odnalazłem siostrę. Nazywała się Greta Meyer i mieszkała w Stuttgarcie. Pojechaliśmy do niej z Gregorem, a ja całą drogę zastanawiałem się, czy ją poznam. A także czy ona pozna mnie.

Drzwi otworzyła nam zadbana kobieta, w której twarzy z trudem dostrzegłem zapamiętane rysy mojej bliźniaczki. Wandzia była cicha i skromna; stojąca przed nami Greta Meyer dorównywała mi wzrostem, a w jej oczach

widziałem zaciętość. Tam nie było już Wandzi, zobaczyłem to od razu, a ona jedynie to potwierdziła:

– Ja nie mam rodziny w Polsce. Jestem stąd, jestem Niemką.

Gdy ją zabrano, miała dziesięć lat, a rodzina, która ją adoptowała, straciła córkę w wypadku. Wandzia szybko im ją zastąpiła.

Do domu wracaliśmy w milczeniu. Choć spodziewałem się, że moja siostra przeszła gruntowny proces niemieczania, miałem nadzieję. I ta nadzieja, aż do dzisiaj, tli się w moim sercu.

Znalezienie Bartka było zdecydowanie trudniejsze. W dokumentach Hrabara informacje o dzieciach niewywiezionych do Rzeszy kończyły się na ostatnim znanym ośrodku Lebensborn – Mokrzeszów w nich nie figurował. Dokumentacja z obozu w Łodzi została niemal w całości zniszczona, a polski rząd unikał otwartej konfrontacji z Niemcami. Traciłem resztki nadziei.

Pomoc przyszła z zupełnie niespodziewanej strony. Pewnego dnia Gregor otrzymał list. Jego nadawcą była Janina Kukla, palaczka w Gaukinderheimie, która wraz z braćmi pomogła w wyprowadzeniu kilkorga dzieci z ośrodka. W liście pisanym łamanym niemieckim dziękowała „Herr Doktor” za jego dobroć, dzięki której „Niemcy odzyskali ludzkie oblicze”. Do listu dołączona była fotografia przedstawiająca uśmiechniętą dziewczynę w towarzystwie trzech kilkunastoletnich chłopców. Jednym z nich był mój brat. Zdjęcie, jak wskazywał opis na odwrocie, wykonano we Wrocławiu, trzy lata po zakończeniu wojny.

NORMALNIE EUKALIPSA!



– Pan... Pan naprawdę jest moim stryjczym dziadkiem – wydukała Linda, kiedy wybrzmiały ostatnie słowa pamiętnika Waltera Millera zamkniętego w kopercie przez dziesięć lat. – Mój dziadek miał na imię Bartłomiej.

– Zgadza się, Bartłomiej Miłek był moim starszym bratem. – Walter pokiwał głową ze smutkiem. – Gdybym wiedział, że zachował niemieckie nazwisko, być może szybciej bym go znalazł.

W pomieszczeniu zapadła głęboka cisza. Wstrząsające wspomnienia przeczytane drżącym głosem Lindy zawisły pod sufitem, otulając obecnych w jadalni szorstkim szalem. Nikt nie odważył się zabrać głosu. Jak bowiem znaleźć właściwe słowa? Czy to w ogóle jest możliwe?

Z hipnotycznego odrętwienia wyrwał ich dopiero głośny dźwięk dzwonka, który rozniósł się echem po domu.

– Doktorze Kurzawa! Pani prokurator! Proszę natychmiast otworzyć! – Donośny głos podkomisarza Bączka przebijał się przez solidne drzwi, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że ich sforsowanie nie będzie żadnym problemem.

Kalina podniosła się pierwsza, a zaraz za nią ruszył Kurzawa. Prokuratorka bez słowa wpuściła do środka dwóch funkcjonariuszy, z niejakim zdziwieniem przyjęła zaś obecność dodatkowego wsparcia w postaci Jeremiego Organka.

– Proszę nie pytać – bąknął przeproszającym tonem patolog. – Wcale nie zamierzałem się tu wpraszać.

O ile Rumin wyglądała na jedynie odrobinę zaskoczoną, o tyle Kurzawa nie potrafił ukryć swojego zdumienia:

– Jeremi?! Przecież miał pan odpoczywać! Jeszcze pan tu potrzebny...

– Na ten temat też sobie porozmawiamy – zapowiedział Wilczyński, taksując mijanego gospodarza wyjątkowo nieprzychylnym spojrzeniem. –

A teraz poprosimy o kawę.

– Mówiłam! – oznajmiła triumfalnie Linda.

Na widok Organka uśmiech powrócił na jej usta, a wraz z nim dziewczyna odzyskała hart ducha. I charakter.

– Jeremi, nie uwierzysz, co tu się odjaniepawliło! – wykrzyknęła z emfazą. – Normalnie eukalipsa!

Radosne słowotwórstwo w wykonaniu rudowłosej panny Miller podziało kojąco na pozostałe osoby rozgrywającego się dramatu. Irmina Prejs uśmiechnęła się i z zaskakującą werwą ruszyła do kuchni, żeby przynieść dzbanek z zaparzoną kawą. Walter Miller z nieskrywaną dumą patrzył na swoją krewną, a sama Linda szczyrzyła się do Organka, który z ulgi na widok rozpromienionej dziewczyny bezwiednie i szeroko się uśmiechał.

– Podkomisarz Michał Bączek i nadinspektor Kazimierz Wilczyński – dopełnił formalnej prezentacji młodszy z oficerów. – A kim są ci dwaj panowie?

– Ten tutaj to mój stryjeczny dziadek, Walter Miller – przedstawiła starszego dżentelmena Linda. – A ten drugi to brat pani profesor, podobno go panowie szukają.

Policjanci wymienili między sobą spojrzenia, a następnie przyjrzeni się rzeczonemu bratu.

– Można zapytać, dlaczego pani uważa, że szukamy tego pana? – zapytał Wilczyński, nie spuszczać wzroku z Piotra Prejsa.

– To nie ja tak uważam, tylko ten pan – odparła prosto linijnie Linda. – Ja mogę co najwyżej wyrazić przypuszczenie, że ma ku temu podstawy.

Siedzący dotąd cicho Prejs zerknął na dziewczynę lękliwie. Odchrząknął znacząco, poprawił swoje usadowienie na obitym perkalem krzesła, po czym przemówił, starając się brzmieć godnie i poważnie:

– Wydaje mi się, że zaszła tu jakaś niewiarygodna pomyłka. Nie wiem, dlaczego mieliby mnie panowie szukać, przecież ja ani się nie ukrywam, ani nie mam powodów, żeby się ukrywać. – Na jego wysokim czole pojawiły się krople potu świadczące o wyjątkowym zdenerwowaniu. – Jestem poważnym i poważnym farmaceutą, a nie przestępcą.

Nadinspektor Wilczyński uśmiechnął się złośliwie i zerknął w stronę Kaliny Rumin. Prokuratorka nie miała pojęcia, do czego zmierzają prowadzący czynności śledcze, ufała jednak ich doświadczeniu.

Bączek tymczasem wziął Prejsa na przetrzymanie, pozwalając mężczyźnie pocić się dalej. Stał niewzruszony, wbijając twarde spojrzenie nieruchomych oczu w usta farmaceuty.

Usta, które nieudolnie kłamały.

– Dlaczego mi nie wierzycie? – gorączkował się brat Irminy. – Czy ja jestem o coś oskarżony? Ja w ogóle nie powinienem tu być! Mietek, zrób coś!

Wywołany do tablicy Mietek ani drgnął. On także przyglądał się szwagrowi spod krzaczastych brwi. Po chwili jego siwy wąs uniósł się nieznacznie, a usta wykrzywił złośliwy grymas.

– Tym razem, bracie, Mietek już ci nie pomoże. Sam wypijesz to piwo – wycedził z satysfakcją. – Ucho u dzbana się urwało.

Powodowany nagłym skojarzeniem, Jeremi wyciągnął z kieszeni łyżeczkę w łowickie wzory i odezwał się cicho:

– Jeśli się nie mylę, to należy do pana.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Organka i skupiły na kolorowym przedmiocie w jego dłoni. Piotr Prejs zbladł raptownie, a krople potu zamieniły się w strużki.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – wychrypiął farmaceuta. – Takich łyżeczek są setki, to gadżety promocyjne.

– A można wiedzieć, przy jakiej okazji Marek Nowak mógł wejść w jej posiadanie? – rzucił Bączek.

– Pan wybaczy, ale nie może pan oczekiwać, że znam nazwiska wszystkich ludzi, którzy weszli w posiadanie jednej z setek łyżek – odparował ze złością Prejs.

– Pan wybaczy, ale nie może pan oczekiwać, że uwierzę w te brednie – zripostował Bączek. – Kłamie pan, panie Piotrze, w dodatku marnie to panu wychodzi.

Przez kilka sekund mężczyźni mierzyli się wzrokiem, lecz ten pojedynek miał z góry ustalony zwycięzcę. Kłamstwo nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem, a trwanie przy nim, gdy zostało zdemaskowane, może mieć tylko jeden skutek.

Choć wydawało się, że opór farmaceuty został już przełamany, podkomisarz wciąż nie powiedział ostatniego słowa.

– Co pan wie na temat śmierci Magdaleny Rusyniak? – zapytał tonem, od którego serce Prejsa na moment się zatrzymało.

– Ko... Kogo? – jękał się zaszczuty mężczyzna.

– Bez żartów, panie Piotrze, bo cierpliwość mi się kończy – syknął Bączek, zdradzając, że cierpliwość już mu się skończyła. – Kim ona dla pana była? Gosposią? Wspólniczką? Kochanką?!

Na dźwięk ostatniego słowa Prejs podskoczył na krzesło i zapowietrzył się jak ryba wyjęta z wody. Jego blade usta poruszały się bezwiednie, a w oczach widać było już tylko panikę.

– Piotr – odezwała się cicho Irmina – nie masz wyboru. Powiedz prawdę.

– Ona nie była moją kochanką! – wykrzyknął bliski płaczu. – I nie wiem nic na temat jej śmierci, znalazłem ją martwą! Musicie mi uwierzyć, ja jej nie zamordowałem!

Mimo że policjanci nie mieli w tej kwestii żadnych wątpliwości, rozpaczliwe wyznanie mężczyzny zrobiło na nich wrażenie. Tym razem mówił prawdę, wciąż jednak wiele rzeczy pozostawało niewyjaśnionych.

– Ale to pan przewiózł ciało do sekcji, którym zarządza pański szwagier – stwierdził bardziej, niż zapytał Bączek. – Chciał pan ukryć jej śmierć, zgadza się?

Prejs milczał. Spod zaciśniętych powiek po jego policzkach płynęły łzy.

– I cały ten pański plan z pewnością by się powiódł, gdyby nie drobne zawirowanie – ciągnął bez litości podkomisarz. – Wszystko byłoby dobrze, gdyby na zmianie pojawił się Marek Nowak. Wystawiłby kartę zgonu z przyczyną niemającą prawa budzić żadnych pytań i wątpliwości, pański szwagier podpisałby się pod ekspertyzą, a Magdalena Rusyniak zostałaby pochowana jako, dajmy na to, bezdomna. Tymczasem zamiast Marka Nowaka na zmianie pojawił się doktor Organek. – Bączek przeniósł wzrok na Kurzawę. – Czy moje rozumowanie jest poprawne, profesorze?

Siwowłosa patolog nie musiał odpowiadać. Jego mina doskonale korespondowała z uczuciami, które w tej chwili żywił do swojego szwagra.

– Co było dalej, panie Prejs? – Rumin przejęła pałeczkę. – Dlaczego zwłoki pani Rusyniak znalazły się w Mokreszowie, w dodatku rozkrojone jak świńska tusza?

Na hasło „Mokreszów” Walter Miller drgnął i spojrzał pytającym wzrokiem na Kurzawę. Patolog przytknął oczy.

– To wszystko wymknęło się spod kontroli – wyszeptał.

– I kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? – W głosie Waltera zabrzmiały ostre tony.

– Przepraszam, a jaki pan ma związek z tą sprawą, bo chyba umknęła mi ta informacja? – wtrącił się Bączek.

– Niewielki, panie komisarzu – odparł starszy dżentelmen. – Poza tym, że szpital w Kunzendorfie jest moją własnością.

Gdyby Linda akurat stała, to z dużą dozą prawdopodobieństwa nogi by się pod nią ugięły. Na szczęście jednak siedziała, więc jedynym, co świadczyło o szoku, którego doznała, były szeroko otwarte usta.

– Ogromnie mi przykro, Lindo, że dowiaduje się pani o tym fakcie w takich okolicznościach – zwrócił się do niej miękko starsuszek. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to miejsce stanie się świadkiem kolejnych zbrodni. Nie takim celom miało służyć.

Ostatnie słowa zostały skierowane do Kurzawy, który wyglądał, jakby całe jego jestestwo skupiało się obecnie na ekspresowym opanowaniu sztuki teleportacji, a w najgorszym razie – rozpływania się w powietrzu.

– To pan jest tym *men in black* w czarnej limuzynie! – wykrzyknęła Linda w przypływie nagłego olśnienia. – Pan wykorzystuje ten szpital jako centralę waszej szemranej organizacji!

Walter uśmiechnął się ciepło i pokiwał głową.

– Zgadza się, ale tylko częściowo – odpowiedział. – Rzeczywiście jest to miejsce, w którym prowadzę swoją działalność, ale mogę panią zapewnić, że nie jest ona szemrana.

– Czy możemy wrócić do pani Magdaleny Rusyniak? – wtrąciła się prokuratorka. – Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Prejs.

Piotr Prejs, który przez chwilę zszedł z linii ostrzału, zdążył odzyskać kolory i zdolność spokojnego oddychania. Uwolniony od ciężaru męczącej tajemnicy, wyjaśnił:

– Ze względu na, jak to pan określił, drobne zawirowanie nie udało się przeprowadzić sekcji, musiałem więc działać szybko. Zapakowałem ciało z powrotem do samochodu i zabrałem do miejsca, w którym nikt by go nie szukał.

– I tam je pan otworzył – dopowiedział Bączek. – Można wiedzieć, w jakim celu?

Organek otworzył usta, ale podkomisarz nieznacznie pokręcił głową, zabraniając mu się odezwać.

– Yyyy... – zająknął się Prejs. – Tak jak mówiłem, sekcji nie zrobiono.

– To niby miała być sekcja?! – Jeremi nie wytrzymał. – Kto rozcina zwłokom krtań i tchawicę, żeby przeprowadzić obdukcję?

– Doskonałe pytanie, doktorze Organek – wycedził przez zęby Bączek. – Proszę o odpowiedź, panie Piotrze. Nie wiedziałem, że farmaceuci potrafią przeprowadzać autopsje.

Zmieszany mężczyzna nie wiedział, co zrobić z oczami. Kilka razy zaczynał zdanie, nie skończył go jednak, poprzestając na wydrukanych sylabach, z których niewiele można było wywnioskować.

– A może, tak tylko zgaduję, szukał pan czegoś w przełyku pani Rusyniak? – Podkomisarz spojrział wymownie na Jeremiego. – Może tego, co znajduje się w ręce doktora Organka?

Wszyscy natychmiast spojrzeli we wskazanym kierunku, poza Lindą, która nie odrywała wzroku od swojego nowo poznanego krewnego. Luźne dotychczas myśli i pozornie niepowiązane wątki zaczęły powoli tworzyć spójną całość.

– No, niech pan coś powie, Prejs. – Wilczyński się zniecierpliwił. – Tego klucza pan szukał czy nie?

Farmaceuta skinął głową, potwierdzając teorię Bączka.

– To jeszcze jedna sprawa zostaje nam do wyjaśnienia – podsumował podkomisarz. – W jaki sposób ten klucz znalazł się w gardle nieżyjącej Magdaleny Rusyniak?

Zanim przyparty do muru szwagier Kurzawy ponownie zabrał głos, dzwonek do drzwi obwieścił nadejście kolejnego gościa. Irmina zerwała się z krzesła i pośpieszyła otworzyć i już po chwili do uszu zgromadzonych wokół stołu doleciał podniesiony damski głos, z całą pewnością nienależący do gospodyni:

– Nie kryj go, Irka! Ja dobrze wiem, że on mnie zdradza! I to od lat! A ty go jeszcze kryjesz! Jak ci nie wstyd?!

Głos ucichł i przez moment słychać było jedynie szlochanie i niewyraźne dźwięki, będące prawdopodobnie próbą uspokojenia przybyłej. Próba, należyć dodać, niezbyt udaną.

– Kłamiesz! Wy jesteście po jednych pieniądzach, cholerne Szwaby! – darła się coraz głośniej kobieta. – Myślisz, że ja nie wiem o tej fładrze, którą trzymał w tym swoim tajnym miejscu?! Tej, która umarła?! Ciekawe, ile ich jeszcze ma!

– Pani Prejs, proszę wpuścić gościa, czekamy tu na panie! – krzyknęła od stołu Kalina.

Na dźwięk żeńskiego głosu awanturująca się kobieta ucichła, a zaraz potem wparowała z głośnym tupaniem do jadalni.

– A nie mówiłam?! – wrzasnęła i zatrzymała się nagle, dostrzegłszy liczny komitet powitalny. – Kto to jest? Kim są ci wszyscy ludzie?

– To państwo z policji – odparła spokojnie profesor Prejs – a także Linda Miller i jej stryjeczny dziadek Walter. Swojego męża, zdaje się, rozpoznajesz.

Targana zbyt wieloma emocjami naraz, kobieta z trudem utrzymywała się w pionie. Jej klatka piersiowa unosiła się niebywale szybko, a oddech rwał się co kilka sekund.

– Niech pani siada, pani Prejs – powiedziała Kalina, ustępując jej miejsca. – Teraz już chyba mamy wszystkich. Chyba że jeszcze kogoś się pan spodziewa, komisarzu?

Bączek zaprzeczył ruchem głowy, po czym dodał:

– Co prawda nie spodziewam się, że zjawi się na progu, ale wciąż nie zdążyłem o nią zapytać. Panie Piotrze, czy znane jest panu miejsce pobytu Anety Piotrowskiej?

Nie ruszałka, nie łyżeczka, nie klucz ani nawet nie małżonka. Dopiero nazwisko Anety Piotrowskiej sprawiło, że Piotr Prejs pękł. A kiedy pękł, wszystko stało się jasne. Przynajmniej w sprawie zwłok, których zniknięcie spowodowało lawinę zaskakujących zdarzeń.



Nie każdy człowiek rodzi się utalentowany. Pan Bóg rozdziela nierówno, co od zarania dziejów stanowi źródło inspiracji dla pisarzy, którzy osnuwają konflikty wokół zawiści, zazdrości i ambicji. Dla złodziei, którzy bogatym zabierają, żeby dać biednym, którymi w ich mniemaniu najczęściej są oni sami. I dla morderców, którzy kierowani emocjami wykorzystywanymi przez pisarzy, eliminują z drogi niewygodnych im ludzi.

Piotr Prejs urodził się bez talentu, a Pan Bóg w swojej łasce obdarował go jedynie kochającymi rodzicami, urodą rodem z nordyckich eposów i starszą siostrą, która zgarnęła całą pulę. Irmina była piękna, mądra, błyskotliwa i wszystko przychodziło jej z łatwością. Piotr miał pod górkę już na starcie, bo nawet mleka matki nie potrafił porządnie ssać i trzeba było go karmić butelką. Później było tylko gorzej: do niczego się nie nadawał, miał dwie lewe ręce, języków nie znał, matematyki nie rozumiał, nie miał pamięci do dat i groziło mu, że będzie pracował dla wodociągów albo innych służb komunalnych. W rodzinie medyków, prawników i profesorów zawód śmieciarza byłby ujmą na honorze, należało więc coś przedsięwziąć. Wskutek przedsięwzięcia Piotr, marzący po cichu o medycynie, choć nie rozróżniał kości promieniowej od

splotu słonecznego, został przyjęty na zaoczną farmację, w czym wyraźnie pomogły wpływy papy neurochirurga i mamy sędzi.

Studia skończył, nawet czegoś się na nich nauczył, co odkrył z wielkim zdziwieniem, ale ambicje nie pozwalały mu na pracę dla kogoś. Własna apteka także urągała jego ego, a więc papa z mamą – oboje już dawno emerytowani – pomogli synowi w rozkręceniu firmy farmaceutycznej. Jednak i to z czasem przestało mu wystarczać.

Po śmierci rodziców rolę finansowego i każdego innego wsparcia przejęła Irmina, przymykająca oko na bezużyteczność młodszego brata. Mimo że Piotr dawno przestał być dzieckiem, o czym powinno świadczyć choćby trwające od siedmiu lat małżeństwo z niejaką Jadwigą, dla siostry wciąż pozostawał młodszym braciszkiem. Folgowiała jego coraz dziwniejszym pomysłem, sprzątała, co mogła, ratowała go z większych lub mniejszych kłopotów. Ostatnim – według wszelkich znaków na niebie i ziemi genialnym – projektem Piotra Prejsa było wyprodukowanie skutecznego leku na migreny. Dopuszczenie leku do użytku wymaga jednakże stosownych testów, więc i tym razem pomoc siostry okazała się bezcenna. Oczywiście wyłącznie metaforycznie bezcenna, bo w rzeczywistości miała całkowicie wymierną wartość, porównywalną do czteropokojowego mieszkania na wrocławskim Ołtaszynie.

Próby kliniczne trwające nieustannie od niemal siedmiu miesięcy przynosiły oczekiwany skutek. Zaczynało wyglądać na to, że pozbawiony talentu Piotr Prejs ostatecznie okaże się całkiem użyteczny dla świata jako wynalazca leku, na który czeka dziesięć procent ludzkiej populacji. Opracowana przez niego formuła w testach dawała znakomite rezultaty. Problemem okazał się tym razem drugi biegun – tak zwane placebo.

Wysokie koszty od lat zmuszają producentów z całego świata do przenoszenia produkcji do Azji. Piotr nawet na to był za skąpy, ograniczył się jedynie do sprowadzenia z Chin składnika wchodzącego w skład placebo, które podawał wyselekcjonowanej grupie badanych. Nie wziął pod uwagę, że standardy jakości w fabrykach znajdujących się poza Europą znacząco odbiegają od norm narzuconym rodzimym wytwórcom. Na pomysł zaś, żeby zbadać skład surowca dostarczanego jego firmie z Azji, nigdy nie wpadł.

Na domiar złego był tak leniwy, że nawet chętnych do testów zebrał najpierw wśród... pracowników szpitala, w którym jego szwagier pełnił wysoką funkcję. Tylko dzięki temu mógł swobodnie poruszać się po placówce i werbować męczonych migrenami ludzi. Z czasem, skuszeni otrzymanymi za udział w projekcie pieniędzmi oraz dobrze rokującym lekiem, przyprowadzali

swoich znajomych. Tak właśnie poznał Anetę Piotrowską, w której zakochał się na zabój, ku swojej radości – z wzajemnością.

Po kilku miesiącach testów i rozkwitającego romansu wybłągał szwagra o pomoc w zorganizowaniu miłosnego gniazdko, do którego jego podejrzliwa żona nigdy nie trafi. Mokrzeszów znajdował się na tyle daleko, że wydawał się bezpieczną przystanią.

Pierwsze kłopoty pojawiły się mniej więcej dwa tygodnie przed niefortunną środą. Coraz bardziej podejrzliwa żona Piotra zorientowała się, że małżonek często jeździ w okolice Świdnicy, a przecież fabryka i cała jego działalność znajdowały się pod Wrocławiem. Zaczęła go śledzić – zjawiała się w szpitalu o dziwnych porach, jeździła za nim, dopóki się nie zorientował. Pewnego dnia pojechała za mężem aż do Mokrzeszowa i gdy Piotr po kilku godzinach odjechał, wtargnęła na teren szpitala, uprzednio robiąc karczemną awanturę strzegącemu obiektu dziadkowi.

Jak zwykle po wizycie Piotra w garsonierze zjawiała się Magdalena Rusyniak, żeby posprzątać. Pani Prejs tym razem się nie ujawniła; przyglądała się kobiecie zza winkła, tocząc pianę z ust. Wróciła dwa tygodnie później.



– I co się wydarzyło, kiedy wróciła pani po tych dwóch tygodniach? – zapytała Rumin, przerywając opowieść Piotra. – Chciałabym to usłyszeć bezpośrednio od pani.

– A czy ja wiem, co się wydarzyło? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Weszłam, tak jak wcześniej, a ta jędrza leżała na posadzce i wiała się, jakby ją prąd poraził. Chciałam jej jakoś pomóc, ale się brzydziłam. A jak już przestałam się brzydzić, to było za późno.

– Gdyby wezwała pani pomoc, prawdopodobnie uratowałyby jej pani życie – stwierdziła twardo prokuratorka. – Magdalena Rusyniak zmarła wskutek zawału serca.

Ta informacja oszołomiła oboje małżonków, jednak Kalina nie zamierzała okazywać im nawet cienia litości.

– Czy to pani włożyła jej do gardła klucz?

– Tak, ja – szepnęła kobieta.

– Dlaczego? – wysapał Piotr. – Po co to zrobiłaś, głupia babo?

– Ty jeszcze pytasz dlaczego?! – syknęła jego żona. – Ty zdradziecka szujo! Ciesz się, że tobie tego klucza nie wepchnęłam, nie powiem gdzie! Po co? A po to, żebyś nie mógł wejść do tego swojego kurwiwołka, oto po co!

Bączek wypuścił powietrze, które wstrzymywał w płucach od dłuższej chwili, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie wiedziała pani, że istnieje tunel prowadzący do tej części szpitala? – zapytał, wbijając kobiecie kolejną szpilę.

– Nie, nie wiedziałam – odparła, łkając. – A w dodatku sądziłam, że tamta dziewczyna to jego kochanka, a pan teraz mówi o jakiejś Anecie.

Podkomisarz poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Prawda, Aneta Piotrowska. Co się z nią stało? – zapytał farmaceutę.

– O Jezu, mam nadzieję, że nic – przestraszył się Prejs. – Tydzień temu poleciała na wycieczkę, lasta kupiła, do Egiptu.

– I nikogo o tym nie powiadomiła? Telefonu nie odbiera? – dociekał Bączek.

– No, nie odbiera, bo go zgubiła. Kupiłem jej nowy, na kartę, ale roaming za drogi.

Pomijając natłok informacji, od których niemal wszystkim kręciło się w głowach, podkomisarz Bączek i nadinspektor Wilczyński w tym samym momencie poczuli ogromną ulgę. Wiadomość o tym, że nie muszą szukać Anety Piotrowskiej w kostnicach, szpitalach i rzekach, była najlepszą informacją tego dnia. I z radością przekażą ją właściciele włochatej Aspiryny.

Kalina Rumin zsunęła się na krzesło, odchyliła głowę, pozwalając, by czarne kędziorki rozsypały się po oparciu, i zadumała się głęboko. Czuła, jak skronie zaczynają jej pulsować, zwiastując zbliżający się atak bólu głowy. Pod zamkniętymi powiekami błyskały srebrne kryształki. Gdyby tylko ten lek naprawdę przynosił ulgę...

Nagle wyprostowała się i spojrzała na Piotra, który w niczym nie przypominał już nordyckiego herosa. Nieuchronność skutków tragicznych wydarzeń postarzyła go o kilka lat.

– Panie Prejs, w jaki sposób Magdalena Rusyniak mogła zatruć się placebo? Ona także brała udział w pana badaniach? – zapytała prokuratorka, wyłapując kolejną białą plamę.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie brała. Przez pewien czas trzymałem leki w Mokrzyszowie, więc miała do nich dostęp – wyjaśnił. – Gdybym tylko przypuszczał... Gdybym w ogóle brał pod uwagę taką możliwość...

Nie ulegało wątpliwości, że na wiele rzeczy było już zbyt późno. Jedynie na wyrzuty sumienia czas miał dopiero nadejść.

Małżeństwo Prejsów bez szemrania zastosowało się do polecenia Wilczyńskiego, który zdecydował o przewiezieniu ich do komendy. Sprawa, która na pierwszy rzut oka wydawała się absurdalna, miała zakończyć się w zupełnie nieoczekiwany sposób.

– Miała pani rację, Lindo – rzucił Bączek, choć właściwie nie było to żadne pocieszenie. – I dobrego nosa. Gratuluję intuicji.

Rudzielec uśmiechnął się blado.

– Moja intuicja mi mówi, że wciąż się nie wyjaśniło, skąd moja koperta wzięła się w domu pana Kurzawa – zauważyła.

– A moja – dodał Jeremi – że twoja wizyta w szpitalu, Lindo, nie była tak całkiem przypadkowa.

– Mam nadzieję, że nie miała nic wspólnego ze sprawą nieumyślnego spowodowania śmierci – rzucił ostrzegawczo Wilczyński.

– Nie, panie nadinspektorze – zapewnił Kurzawa. – Ta sprawa ma związek wyłącznie z historią rodziny panny Miller.

Kalina spojrzała w bursztynowe oczy Lindy.

– Niech się pani nie martwi – uspokoiła ją rudowłosa bohaterka. – Jestem tu bezpieczna. Jeremi na pewno o to zadba.

Organek uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową, potwierdzając, że zadba o swoją podopieczną.

– Bez obaw – dodał Walter. – Wszystkim nam zależy wyłącznie na jej bezpieczeństwie.

WCHODZĘ W TO



Po wyjściu dwojga podejrzanych w asyście trojga stróżów prawa przy stole zapadło milczenie. Jeremi zajął miejsce, na którym wcześniej siedziała Kalina, wysyłając w ten sposób jasny sygnał każdemu, kto miałby zamiar skrzywdzić Lindę.

Irmiona Prejs wyniosła do kuchni kubki z niewypitą kawą i wróciła z tacą zastawioną ciastkami. Na widok babeczek udekorowanych truskawkami Linda omal nie podskoczyła na krześle.

– Często się – zachęciła pani domu, uśmiechając się łagodnie. – Wiem, że truskawki to twoje ulubione owoce.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, po czym zawahała się i spojrzała na Kurzawę.

– Chyba nie chcecie mnie otruć? – Zrobiła groźną minę i łypnęła przez stół spod płomiennorudej grzywki. – Jeremi, jakby co, to zrobisz mi autopsję.

– Nikt tu nie zamierza pani zabijać – zapewnił ją stryjeczny dziadek. – Nie po to od lat staraliśmy się panią odnaleźć.

Tym razem pod grzywką pojawiło się zdumienie.

– Mnie odnaleźć? A cóż to znowu za historia?

– Drogie dziecko, ależ to całkiem proste. Całe swoje życie, jak miała pani okazję przeczytać, podporządkowałem misji odnalezienia ofiar Lebensborn i ich krewnych – wyjaśnił cierpliwie Walter. – Nie po to jednak, by pisać na ten temat książki, choć cieszy mnie, że robią to inni. Moim celem, tak jak wcześniej celem mego ojca, jest walka o reparacje, które należą się każdemu z ponad dwustu tysięcy zrabowanych dzieci. A pani, droga Lindo, jest bezpośrednią spadkobierczynią jednego z nich.

– Ja? Spadkobierczynią? – Linda wciąż niezupełnie rozumiała słowa mężczyzny. – Ma pan na myśli mojego dziadka Bartłomieja?

– Mam na myśli mnie, moją siostrę, mojego brata, a także mojego kolegę Hermana Kurza.

– Ha! Mówiłam, że to pan jest tym Hermanem! – Dziewczyna wycelowała widelczyk w stronę Kurzawy.

Wąsaty patolog uśmiechnął się wesoło.

– Powinienem to potraktować jako komplement – odpowiedział. – Herman Kurz był moim starszym bratem. Niestety nigdy go nie poznałem. Gdy trafił do Mokrzeszowa, moja mama była ze mną w ciąży.

– To wciąż nie wyjaśnia, dlaczego włamaliście się do naszych domów – wtrącił sucho Jeremi, mierząc wzrokiem swojego szefa.

– To nie my – odparł tamten natychmiast. – Choć rzeczywiście to ja odpowiadam za przejęcie dokumentów z domu panny Miller. Musieliśmy to jednak zrobić – dodał miękko – zanim dotarłaby do nich organizacja od lat usiłująca zniszczyć wszelką dokumentację, która mogłaby stanowić podstawę do wysunięcia roszczeń wobec państwa niemieckiego.

– To prawda – włączył się Walter. – Od ponad półwiecza dokumenty gromadzone przez organizacje rewindykacyjne systematycznie są wykradane i niszczone. Zaczęło się już za czasów mecenasa Hrabara i trwa do dzisiaj. Neonaziści wciąż istnieją, a rząd niemiecki z ogromną niechęcią patrzy na powracający co jakiś czas temat ofiar Lebensborn. Musieliśmy zejść do podziemia i stworzyć własne struktury.

– Pani profesor, czy to prawda? – Mimo absurdalności sytuacji, w której się znalazła, Linda wciąż darzyła zaufaniem swoją dawną nauczycielkę.

– Tak, Lindo, to prawda. Walter od lat kontynuuje dzieło Hrabara. I nie tylko on – dodała Irmina pośpiesznie. – W Niemczech istnieją fundacje, z którymi jesteśmy w nieustającym kontakcie. Coraz trudniej jest o naocznych świadków, bo czas mija, a większość z nich to dziś osiemdziesięcio-, dziewięćdziesięciolatek. Dlatego tak ważne było, żeby dotrzeć do ciebie i przekazać ci świadectwo człowieka, który może być jedynym żyjącym i posiadającym pełną dokumentację na potwierdzenie zbrodni hitlerowców.

– Ale po co ja wam do tego? – dociekała dziewczyna. – Skoro pan żyje i ma na wszystko kwity?

– Mnie zostało już niewiele życia – wyjaśnił z uśmiechem starsuszek. – A pani ma przed sobą znakomitą przyszłość.

– Czyli Jeremi miał rację? Ten wywiad to nie był przypadek? – zwróciła się do Kurzawy.

Patolog zaprzeczył ruchem głowy i mrugnął do niej.

– Wychodzi na to, że jednak nie jest pan taką całkowitą swołoczą – stwierdziła z nutą zawodu. – Ale na zieloną trawkę pan go posłał! – przypomniała sobie.

– Doktor Organek powinien odpocząć – odparł poważnie Kurzawa. – A może nie przyznał się pani do tego, że jego onkolog zalecił mu wyjazd do sanatorium?

– Chyba mu umknęło – wycedziła Linda, przenosząc wzrok na swoją przyboczną straż. – Jeremi?

– Zalecił, a nie nakazał – odparował George Clooney grający w zespole rockowym. – Gdyby nakazał, to pewnie bym się zastosował.

Linda posłała mu pełne jadu spojrzenie, po czym postanowiła ostentacyjnie na niego nie patrzeć. Wróciła do poprzedniej pozycji, spojrzała w bursztynowe oczy nowo nabytego dziadka i skinęła głową.

– Okej, wchodzę w to. Na pohybel nazistom, chcę być milionerką. Taki im proces wytoczę, że przyszłe pokolenia Niemców będą używać imienia Linda w charakterze najgorszego przekleństwa.

EPILOG



Osiem miesięcy później

Kondukt żałobny sunął ospale główną aleją cmentarza Grabiszyńskiego.

W ostatniej drodze Mieczysławowi Kurzawie towarzyszyli jego współpracownicy i kilkoro ludzi wyglądających, jakby trafili tam przypadkiem. Nikt nie płakał, a żałosne zawodzenie księdza nie doczekało się wtóru.

Irina Prejs szła tuż za trumną, samotna, cicha, z wysoko podniesionym czołem. Elegancka i pełna godności.

Nieco mniej godności prezentowała tymczasem zamykająca pochód para, w której skład wchodził wysoki i wyjątkowo przystojny pięćdziesięcioletek oraz o wiele od niego młodsza kobieta o płomiennorudych włosach. Nie dość, że jedno miało na sobie wytartą skórzaną ramoneskę, spod której wystawała koszulka udekorowana maskotką zespołu Iron Maiden, a drugie płaszczyk w krzykliwym odcieniu zieleni, to na domiar złego zdawali się zainteresowani wszystkim, tylko nie powodem swojej dzisiejszej wizyty na cmentarzu.

– Myślisz, że gdyby mniej palił, to pożyłby jeszcze trochę? – zagadnęła Linda, jakby pytała o coś zupełnie trywialnego.

– Trudno powiedzieć, sekcji nie było – odparł Jeremi z żalem.

– A nie ciekawi cię to wcale? – drążyła dziewczyna.

– Jasne, że ciekawi, ale niewiele mogę z tym zrobić. Irmina wyraźnie zabroniła, a nie było żadnych podstaw, żeby sprzeciwić się jej woli.

– Ciekawa jestem, jak wyglądają płuca osoby oddychającej głównie nikotyną. Pewnie jak w *Constantinie*, co?

– Raczej nie aż tak spektakularnie. – Jeremi roześmiał się na wspomnienie przywołanej przez Lindę sceny.

Drepczący tuż przed nimi starszy pan obrócił się przez ramię, skrzywił i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Kto to? – szepnął rudzielec. – Sztynny jakiś...
– To nowy szef prosektorium – odpowiedział również szeptem Organek. – Poczucia humoru za grosz. Przy nim Kurzawa był kabareciarzem.

– Łojesu, wyrazy współczucia.

– Właściwie to ja jestem tobie winien wyrazy współczucia, Lindo – stwierdził z powagą. – Wybacz, że nie wziąłem udziału w pogrzebie Waltera.

– Nic nie szkodzi, ty miałaś swoje rzeczy do poukładania. – Dziewczyna spojrzała na niego z troską. – Ale już wracasz do pracy?

Jeremi skinął głową i uśmiechnął się ciepło.

– Kryzys zażegnany – obwieścił wesoło. – I niecierpliwie czekam, aż powiesz mi, jak się mają sprawy.

– Masz na myśli słowo na „L”? – upewniła się Linda. – Póki co marnie... Walter skontaktował mnie z Christophem Schwartzem, ale przed nami jeszcze długa droga. A władze naszego kraju raczej niechętnie zabierają głos w sprawie zrabowanych dzieci. Chyba czekają, aż wszyscy wymrą.

– A co z...? – Jeremi urwał, wskazując głową w stronę dębowej trumny jadącej na przędzie. – Opowiesz mi resztę tej historii?

Kondukt zatrzymał się przy przygotowanym wcześniej miejscu, w którym miało spocząć ciało Mieczysława Kurzawy. Na parceli znajdował się już jeden grób, jednak został przysłonięty wieńcami, nie było więc widać, do kogo należy.

Linda i Jeremi trzymali się na uboczu, nie złożyli wdowie kondolencji, gdyż uczynili to już wcześniej, skinęli jej tylko głową, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Nic tu po nas – stwierdziła panna Miller, kiedy żałobnicy zaczęli się rozchodzić. – Jeśli nie musisz wracać dziś do pracy, to zapraszam do siebie, opowiem ci o moim dziadku.

Organek z radością przyjął zaproszenie; po wielu miesiącach rehabilitacji, terapii i odpoczywania od życia (oraz śmierci) odczuwał silny imperatyw nadrobienia straconego czasu. I choć nigdy nie przyznałby tego na głos, okrutnie stęsknił się za ekstrawertycznym rudzielcem.



Berlin, 16 sierpnia 2021

Najdroższa Lindo!

Nie potrafię wyrazić, jaką radość sprawia mi możliwość zaadresowania tego listu do Ciebie. Jestem przekonany, że historia, którą Ci opowiedziałem, znajdzie dzięki Tobie szczęśliwe zakończenie. Głęboko wierzę w to, że wieloletnia praca włożona w odszukanie moich krewnych nie pójdzie na marne, a ofiary nazistowskich zbrodni doczekają się zadośćuczynienia.

Umieram, ale nie czuję żalu. Miałem w życiu szczęście, jakiego nie zaznał mój brat, a choć krzywd jemu wyrządzonych naprawić nie sposób, niech list ten stanie się jego pomnikiem. Przywróć, Lindo, pamięć o moim bracie, o wszystkich tych, którzy w milczeniu dożyli swych dni, nosząc na plecach stygmatyzujące pamiątki z czasów, kiedy życie ludzkie nie miało żadnego znaczenia.

Kiedy Gregor otrzymał list, do którego dołączono zdjęcie, było oczywiste, że natychmiast uruchomimy maszynę mającą pomóc nam dotrzeć do chłopców z fotografii. Bez wahania ruszyliśmy do Polski, wykorzystując wszystkie dostępne nam znajomości.

Odbudowujący się Wrocław zaskoczył mnie ogromem zniszczeń, z drugiej zaś strony ujął niezwykle piękną architekturą, w której od razu znać było rękę i zamysł najlepszych niemieckich budowniczych.

Budynek, w którym zrobiono zdjęcie przedstawiające panią Kukłę z trzema młodzieńcami, pełnił funkcję gimnazjum. Bartek był już dawno dorosły, nie mógł zatem przebywać w placówce jako uczeń. Dyrektorka szkoły, kobieta o wyjątkowo surowej fizjonomii, nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia, informację o tym, że poszukiwana przez nas osoba od kilku lat nie jest już jej pracownicą, przyjąłem z ulgą. Niestety w ślad za nią nadeszło przerażenie – ostatnim znanym adresem pani Kukli był Mokrzeszów.

– Nie bój się, synu. – Gregor jak zwykle potrafił natychmiast rozpoznać mój nastrój. – Stawienie czoła lękom to pierwszy krok na drodze do ich oswojenia. Będę tam z tobą.

Gdy tylko na horyzoncie ujrzałem górującą nad wsią sylwetkę monumentalnej budowli z żółtej cegły, poczułem mrowienie w karku, a serce zaczęło bić jak szalone. Momentalnie zaschło mi w gardle, ręce drżały, a pod powiekami pojawił się piasek. Gregor położył mi dłoń na ramieniu, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zapytał mnie, czy chcę zostać jego synem. I tym razem jego pełen czułości dotyk podziałał kojąco.

Odnalezienie pani Kukli nie nastąpiło z trudnością, jej rodzina była znana i szybko wskazano nam drogę do podupadającego gospodarstwa. Rozpoznałem ją niemal natychmiast, a i ona przyglądała mi się z zainteresowaniem. Na widok Gregora rozplakała się szczerze i niewiele brakowało, żeby rzuciła mu się do stóp.

Zawstydzony ojciec robił, co mógł, żeby zapanować nad rozemocjonowaną kobietą, ale okazało się to niezwykle trudne. Dopiero gdy wyjawiliśmy powód naszej wizyty, ochłonęła i odzyskała zdrowy rozsądek.

– Bernard? Nie znam takiego – odparła, marszcząc czoło. – I on tu u nas był? W Gaukinderheimie?

– Tak, tutaj – potwierdził Gregor. – To starszy brat mojego przybranego syna, Waltera.

– Waltera? Waldzia! – wykrzyknęła kobieta. – No przecież że pamiętam! Waldzio podkradał z kuchni piętki chleba, łobuz jeden. – Pociągnęła mnie za ucho, jak wówczas, gdy byłem dziesięcioletnim gałganem. – I ten drugi, jak mu było...?

– Herman. Herman Kurz – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Antek Kurzawa – przypomniała sobie pani Kukla. – Ja tam nigdy o nim inaczej nie myślałam, tylko Antek. Podobno zmarł jakiś czas temu, biedaczysko. Kiedyś tu mówili chłopcy, jak się spotkali po latach.

Informacja ta natychmiast nas zainteresowała, gdyż nam nie udało się dotrzeć do Hermana, co mogło wynikać z faktu, że już nie żył. Urzędy meldunkowe Lebensborn bardzo dbały o zacieranie śladów dokonywanych przez organizację zbrodni, a śmierć zrabowanego dziecka prawdopodobnie natychmiast została ukryta.

Gregor sięgnął do sfatygowanej skórzanej teczki, z którą niemal nigdy się nie rozstawał, i wyjął z niej list.

– Proszę spojrzeć, droga pani, szukamy tego chłopca. – Wskazał palcem na wizerunek Bartka.

– Herr Doktor, ale to żaden Bernard, toż to Bartek! – oburzyła się pani Kukłowa. – Ale tu go nie ma – dodała ze smutkiem. – Wyjechał do jakichś krewnych do Kanady.

Wymieniliśmy z ojcem zdumione spojrzenia, bo o żadnych krewnych w Kanadzie nie miałem pojęcia. Poza Wandzią i Bartkiem nie miałem nikogo, z kim mogły łączyć mnie więzy krwi. A przynajmniej o nikim innym nic mi nie było wiadomo.

– A wie pani, co się z nim działo po tym, jak go stąd zabrali? – zapytał Gregor miękko. – I kto mógłby mieć z nim kontakt w tej Kanadzie?

Kobieta zamyśliła się i znać było, że od dawna z nikim nie rozmawiała na temat dzieci z Mokrzeszowa. Fotografia sprzed kilkunastu lat także wydawała się zaledwie mętnym wspomnieniem.

– Jeśli ktoś, to tylko młodszy Kurzawa – odpowiedziała po chwili. – Chyba się poznali i nawet tu razem byli, ale to tak dawno temu, że mogłam to sobie równie

dobrze wymyślić.

– Ale jak to: młodszy Kurzawa? – Nie rozumiałem. Przecież Herman umarł jako dziecko.

– Matka Antka w ciąży była, jak jej męża i starszego syna hitlerowcy zabrali – wyjaśniła. – I pogrobowo ten dzieciak się urodził, a brata nigdy nie poznał.

Na tym nasza wizyta w Mokrzeszowie się skończyła. Wracaliśmy bogatsi o nową wiedzę i kolejne pytania domagające się odpowiedzi.

Odszukanie Mieczysława Kurzawy nie było żadnym problemem – mieszkał we Wrocławiu, kształcił się na medyka, jednak pierwszy wysłany do niego list pozostał bez odpowiedzi. Dopiero rok później, kiedy znów odwiedziłem Polskę, udało mi się z nim skontaktować.

Temat Lebensborn nie był mu obcy, doskonale orientował się w kwestii zrabowanych polskich dzieci i, jak się miało okazać, on także postawił sobie za cel ujawnienie skali hitlerowskich zbrodni. Kiedy dowiedział się, że jestem bratem Bartłomieja Millera, nie mógł w to uwierzyć.

– I nie odszukał go pan po wojnie? – pytał z oburzeniem charakterystycznym dla młodych idealistów. – Opływał pan w dostatki, podczas gdy on musiał wyjechać z kraju, żeby zapomnieć?

Moje wyrzuty sumienia zostały tego dnia obudzone i nasycone pretensjami młodzieńca – dla niego okrucieństwa Źródła Życia stanowiły jedynie bajkową opowieść o złym wilku, który pożarł mu brata. Choć dzieliło nas zaledwie dziesięć lat, wydawało się to przepaścią nie do pokonania. On wojny nie pamiętał, ja nigdy już nie miałem o niej zapomnieć.

Rozstaliśmy się w atmosferze dalekiej od sympatii, a w dodatku nie dowiedziałem się niczego więcej na temat losów mojego brata. Na całe szczęście za każdym mądrym mężczyzną stoi jeszcze mądrzejsza kobieta – w wypadku Mieczysława Kurzawy była nią Irmina Prejs, córka mężczyzny, który podzielił los setek tysięcy potomków Niemców zamieszkujących we wschodniej Polsce. Wywieziony w głąb Rzeszy, zmuszony do pracy w obozach dla przesiedlanych folksdojczów, dawny profesor wychował swoją córkę na kobietę światłą, wrażliwą i odważną. To za jej namową Kurzawa skontaktował się ze mną, prosząc o ponowne spotkanie.

Choroba Gregora na dwa lata uniemożliwiła mi wyjazd z kraju. Opiekowałem się umierającym ojcem, pragnąc oddać z nawiązką całe dobro, jakie od niego dostałem. Wiedziałem, że bez niego Inge nie wytrwa zbyt długo, i moje obawy okazały się słuszne. Odeszła miesiąc później, a ja znów byłem sierotą.

Irmina Prejs z miejsca zrobiła na mnie dobre wrażenie i wiedziałem, że uda mi się z nią nawiązać nić porozumienia. Pod jej wpływem także początkowo niechętny mi Kurzawa zaczął przekonywać się do moich racji i wkrótce rozmawialiśmy o wspólnych celach. Co jednak najważniejsze, dowiedziałem się, że mój brat wrócił do Polski, i znów ożyła we mnie nadzieja na jego odnalezienie.

List składający się z kilkudziesięciu stron został przekazany memu bratu przez mojego nowego sojusznika – zarówno on, jak i Irmina wyjaśnili mi, że adres Bartka musi pozostać dla mnie tajemnicą do czasu, aż on sam zechce mi go ujawnić. Nie miałem innego wyjścia, pozostawało jedynie mieć nadzieję.

Nieodebrany list wrócił do mnie z krótkim komentarzem Kurzawy:

– Przykro mi, Walterze, nie chciał na niego spojrzeć.

Uczucia, jakie mi wówczas towarzyszyły, można porównać jedynie do tych, jakie budziły złe sny, w których od nowa przeżywałem piekło wojny. Musiałem je mieć wymalowane na twarzy, bo Irmina natychmiast zaczęła mnie pocieszać:

– Musisz mu wybaczyć, Walt. Tego, co on przeżył, nie da się opisać, te rany nigdy się nie zbliznią. Opuść, tak już musi być.

Nigdy się z tym nie pogodziłem, ale z czasem nauczyłem się z tym żyć. Dopiero po śmierci Bartka dowiedziałem się, że założył rodzinę. Kurzawa uszanował jego wolę – mój brat nie chciał, bym w jakikolwiek sposób pojawił się w jego życiu, przez co ja nie miałem pojęcia o istnieniu moich krewnych.

Bartek nigdy nie przeczytał mojego listu. Dla niego Waldek umarł w wieku dziesięciu lat, tak samo jak Wandzia. Jego rodziną byli ci, którzy przeszli to samo piekło: obozu dla sierot w Łodzi, przymusowej pracy dla Rzeszy, głodu, zimna i wszechogarniającej samotności. Syty głodnego nigdy nie zrozumie, a choć i ja zaznałem głodu, nie miałbym odwagi, by jakkolwiek porównywać nasze losy.

Jest nas coraz mniej – dzieci niczyich, pozbawionych tożsamości, nieznających swoich korzeni. Codziennie umieramy, nie zaznawszy sprawiedliwości. Dlatego tak ważne jest, Lindo, żeby moje świadectwo nie przepadło, żebyś Ty upomniała się o to, co należało się Twojemu dziadkowi. Pamiętaj, że kropla drąży skałę nie siłą, lecz częstym spadaniem.

Twój stryjeczny dziadek

Walter Miller



– Wiedziałaś, że twój dziadek miał rodzeństwo? – zapytał Jeremi, kiedy Linda chowała list do koperty, udając, że wcale nie płacze, tylko coś jej wpadło do oka.

– Ani o tym, ani o rodzinie w Kanadzie – zaprzeczyła. – Gdybym miała choć zarys podejrzenia, pewnie sama bym ich odszukała. Ciotka w Stuttgarcie już nie żyje, Waltera nie ma, Kurzawa odszedł. Zostaliśmy sami, doktorze Organek.

Jeremi wzruszył ramionami, przeczesał nienagannie ułożoną fryzurę i uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie przeszkadzało nam to w rozwiązaniu sprawy znikniętych zwłok, więc oceniam nasze szanse na całkiem solidne – stwierdził. – A jeśli dołożymy do tego legat, który zostawił po sobie twój stryjeczny dziadek, oraz fakt, że w całości zapisał go tobie, to byłbym skłonny zaryzykować tezę, że jesteśmy na dobrej drodze do spektakularnego sukcesu.

Linda zasępiła się i wbiła bursztynowe spojrzenie w szare oczy Jeremiego.

– Możliwe, że masz rację – oceniła ostrożnie. – I możliwe, że czuję się zachęcona. Jest tylko jedno „ale”.

– Hm?

– Żeby nasz plan się udał, nie wolno nam nigdy więcej natykać się na zwłoki.

– Wymagasz ode mnie rzeczy niemożliwych – przypomniał jej patolog. – Nie planuję zmiany profesji, za stary na to jestem.

– No dobra, racja, to było nieprzemysłane. Ale obiecaj mi, że żadnych więcej nadprogramowych zwłok nie będzie. Tylko te niezbędne.

Jeremi obiecał, dlaczego miałyby nie obiecać, przecież nie był w stanie przewidzieć, że zrobił to w złą godzinę...

OD AUTORKI



Pracując nad przygotowaniem niniejszej książki do druku, z wypiekami na twarzy przypominałam sobie przygody, jakie moi Najwspanialszy Czytelnicy wymyślili dla bohaterskiego patologa i jego pyskatej pomocnicy. Jeremi Organek oraz Linda Miller to postaci, które pojawiły się na kartach powieści jako wynik absolutnie bezprecedensowej współpracy, z której jestem dumna i do której będę zachęcać każdego autora. Pomysłowość czytelników, nieszablonowe zagadki i ogromny entuzjazm sprawiły, że w ciągu dwóch miesięcy powstała komedia, jakiej dotychczas nie było. Mamy tu bowiem do czynienia także z niezwykle ważkim zagadnieniem historycznym, a po takie beletrystyka zazwyczaj nie sięga.

Lebensborn, kojarzony najczęściej z eugeniką, miał dla naszego kraju zupełnie inne znaczenie. Setki tysięcy zrabowanych polskich dzieci poddano germanizacji, odarto je z tożsamości, kazano im zapomnieć, kim były, i zrobiono z nich Niemców i Austriaków. Niektórym udało się wrócić po wojnie, niektóre jej nie przeżyły, nie zadowolili swoich „nowych rodziców”, o większości nic nie wiemy – prawdopodobnie stały się częścią narodu niemieckiego. Wciąż jednak wiele rodzin poszukuje swoich przodków, a instytucje powołane do uczczenia pamięci ofiar nazizmu nie składają broni. Jeremi Organek dokłada cegiełkę do tych działań, a ja liczę na to, że jednak uda się nie zapomnieć o tym, co dla wygody lub z niewygody zostaje przemilczane w podręcznikach historii.

Dziękuję Państwu za zaangażowanie i aktywny udział w projekcie „Jeremiaszek”. To była znakomita zabawa i wielka przyjemność.

Dziękuję Wydawnictwu Mięta – Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie i Kasi Zajac – za włożenie wysiłku w wydanie tej książki, która już po wsze czasy zajmie szczególne miejsce w moim sercu.

Magdzie Matuszewskiej, Gabrysi Niemiec, Krystianowi Gaikowi i Małgosi Kuśnierz – znakomitym redaktorom – dziękuję za mrówczą pracę nad poprawianiem lapsusów i kwadratowych zdań. Od zawsze powtarzam, że pisanie książek to praca zespołowa 😊

Mam nadzieję, że rudowłosa Linda i piękolicy Jeremi podbiją nie tylko serca, ale też rynek wydawniczy. Tego sobie, Państwu i Mięcie życzę z całego serca!

*Małgosi
Starosta*

Redakcja: Gabriela Niemiec
Korekta: Krystian Gaik, Małgorzata Kuśnierz
Projekt okładki i stron tytułowych: White Doe
Zdjęcie autorki: Wojtek Biały
Skład i łamanie: Cyprian Zadrożny
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3
tel: 691962519

biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-71-4